

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/83

1954



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

J. MIEROSZEWSKI :

KRYZYS EMIGRACJI I DROGI WYJŚCIA

P. HOSTOWIEC :

DZIESIĘĆ LAT LITERATURY KIEROWANEJ

SPIS RZECZY :

Józef Czapski :	***	3
Paweł Hostowicz :	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	7
Czesław Miłosz :	<i>Teodor Bużnicki</i>	25

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Polacy i... poganie</i>	51
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	63
	a) <i>Emigracyjna Guatemala</i>	63
	b) <i>Sursum corda</i>	66

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Stanisław Zarzewski :	<i>Po Dunkierce politycznej</i>	68
-----------------------	--------------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

Jerzy Zubrzycki :	<i>Socjologia polskiej emigracji (dokończenie)</i>	77
-------------------	--	----

PRZEGLĄD NIEMIECKI

Londyńczyk :	<i>Przegląd niemiecki</i>	94
Bogdan Konaszewicz :	<i>20 lipiec - Dr John - Rapallo</i> ..	98

KRONIKA KULTURALNA

K. A. Jeleński :	<i>Biennale 1954</i>	103
KAJ :	<i>Szaraczek na szaro</i>	111
(p.) :	<i>26-ty Kongres PEN-Clubów</i> ..	113
Jan Brzękowski :	<i>O roli awangardy</i>	115

KSIĄŻKI

Marian Pankowski :	<i>Mowa bez ziemi (I)</i>	118
Józef Czapski :	<i>„Piórem umaczanem w niebie”</i> ..	123
KAJ :	<i>Claudiel odmienny</i>	126
(j) :	<i>Notatki wydawnicze</i>	128
—	<i>W dwóch słowach</i>	131
(j) :	<i>Przegląd miesięczników</i>	134
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	136

JAK PISZEMY

Stanisław Westfal :	<i>Na średniowiecznym progu (dokończenie)</i>	138
---------------------	---	-----



Jerzy Rencki :	<i>A.B.C. instytucji międzynarodowych (III.)</i>	144
----------------	--	-----

Jerzy Hauptmann :	<i>List do Redakcji</i>	148
-------------------	-------------------------------	-----



J. Karski, St. Korboński, K. Ziemiński, W. Gortat, J. Grucel, Wł. Diamand, B. Sirko, St. Zarzewski, A. Janta, J. Krzeczunowicz :	<i>Listy do Redakcji</i>	150
--	--------------------------------	-----



—	<i>Résumé en langue française</i> ..	159
---	--------------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień-Septembre 1954

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Jerzy ZUBRZYCKI urodzony 12 stycznia 1920 roku w Krakowie. Studia ekonomiczne i socjologiczne w School of Economics and Political Science (University of London), 1945-1948. Tamże staż naukowy i studia doktoranckie przy katedrze socjologii i demografii 1949-1953. W przygotowaniu proces habilitacyjny na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie pod kierunkiem prof. Floriana Znanieckiego.

W latach 1949-1953 wykłada socjologię i historię gospodarczą na Wydziale Ekonomicznym Polish University College w Londynie. Od 1953 roku współpracownik redakcji kwartalnika demograficznego „Population Studies” w Londynie. Napisał studium *Zdrowotność i dynamika populacyjna* w IV Zeszytach Krajowym „Kultury”.

Adres londyńskiego biura „KULTURY” jest następujący:
Juliusz Mieroszewski,
11, Gainsborough Road,
London, W.4., Tel.: CH1swick 3231

Zwracam się z prośbą do wszystkich czytelników Kultury, którzy są w posiadaniu utworów następujących poetów: Teodor Bujnicki, Tadeusz Hollender, Władysław Sebyła, Lech Piwowar, Światopełk Karpiński, Leon Szreder, Stefan Napierski, Karol Topornicki (Gajcy), Marek Chmura (Stoiński) — o użyczenie mi oryginałów lub kopii. Wdzięczny będę również za wszelkie szczegóły biograficzne dotyczące tych autorów. Przy okazji składam podziękowanie Janowi Brzękowskiemu za udzielenie mi wierszy Józefa Czechowicza.

Czesław MIŁOSZ

Melchior Wańkowicz (4 Arbor Place, Glen Cove, L.I., N.Y.; USA) prosi o informacje lub o adresy informatorów dotyczące Gold Coast w ogóle i Ferry Command w szczególności oraz udziału Polaków w wypadzie na Dieppe.

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, PARIS (XVIII^e)

*
* *

Kiedy trzasnął w nas wyrok opuszczenia domu w którym przepracowaliśmy razem już z osiem lat, opuszczenia domu z całym archiwum, 6-ma tysiącami książek zebranych w bibliotece, drugą biblioteką kompletów pism krajowych i emigracyjnych, magazynem wydawnictw własnych etc., a więc szukania nowego dachu w kraju, gdzie czytamy w gazetach: „Samobójstwo — z powodu niemożności znalezienia mieszkania” — przyznaję się, że należałem do ludzi małej wiary i widziałem oczami wyobraźni jak to się będziemy wynosić z tym wszystkim... pod któryś z mostów Paryża.

Nieraz już Kultura była w tarapatkach, właściwie prawie z nich nie wychodzimy, tu jednak sprawa wydawała się bez wyjścia. Ale redaktor powiedział mi najspokojniej: „To jest chwila dla nas wyjątkowo pomyślna, teraz albo nigdy zdobyć musimy dom dla Kultury, mamy przy tym możliwość przekonania się, czyśmy się wgryźli w „teren”, czy mamy przyjaciół”.

— Dom? Ile na to potrzeba pieniędzy? — spytałem niepewnym głosem.

— Nie tak wiele, jakieś 10 milionów franków.

Poczułem się w świecie absolutnej fantazji, komu nawet można MÓWIĆ o takich sumach, zacząłem liczyć na palcach (jednej ręki mi wystarczyło) naszych prawdziwych i JEDNO-CZEŚNIE majątnych przyjaciół.

Jeżeli dziś plan ten zamiast być fantastyczny zdaje się realny, jeżeli wierzymy, że dojść do skutku MUSI, zawdzięczamy to trzem ludziom którzy przyszli nam z pomocą hojną i NATYCHMIASTOWĄ.

Pomoc przyszła w kolejności od Edwarda Berenbaua z Urugwayu, od Stefana Zamoyskiego z Londynu i od hr. Gilles de Boisgelin z Paryża.

Edwarda Berenbaua znaleźliśmy od dawna, nie tylko jako wier- nego abonenta Kultury, wielokrotnie opowiadał nam o nim i jego żonie Małcużyński, ilu Polaków z takiej czy innej wybawił opresji, ile polskich organizacji na świecie wspiera ten wielki przemysłowiec i polski patriota.

„Turyści z Bocianich Gniazd”, książka serdeczna, pozornie tylko prosta, szyta ścięgiem tak bogatym i misternym, przyjęta przez czytelników jak żadna inna, nagrodzona, i już dzisiaj na warsztacie angielskiego tłumacza, może nie powstałaby nigdy, gdyby nie Edward Berenbau. Dowiedział się on, że w jego fabryce pracuje pisarz polski, Straszewicz, i tego samego dnia dał mu takie warunki pracy, że pisanie książki, o której skończe- niu już sam autor wątpił, stało się możliwe.

Z tą samą szybkością zareagował Edward Berenbau, gdyśmy mu plan domu dla Kultury wyłożyli. „Daję panom milion — powiedział — nie potrzebuję zwrotu, wierzę, że znajdziecie jesz- cze innych przyjaciół, którzy wam dla tej sprawy ile będzie potrzeba, dołożą”.

Jeszcze nikt nam dotychczas nie przyszedł z pomocą tak hojnie i błyskawicznie, ten gest PIERWSZY, w chwili gdy sytuacja Kultury zdawała się bez wyjścia — jak żaden inny dodał nam otuchy; są więc ludzie majątni gotowi do ofiar ma- terialnych, dla podtrzymania niezależnego pisma na emigracji wtedy kiedy w pismach krajowych, w oceanie kierowanego ga- dulstwa, słowo wolne jest to właśnie które cenzor tropi i wy- kreśla.

Dwa dni po otrzymaniu tej sumy przyszła wiadomość druga: „Mam dla was trzy i pół miliona pożyczki — telefonuje Stefan Zamoyski — raty zwrotu omówimy”.

Stefan Zamoyski jest znany czytelnikom Kultury; jemu po- święciliśmy jeden z naszych numerów, on, a potem paru jego bliskich, przyszło naszemu piśmu parokrotnie z pomocą. Ten człowiek zdecydowany, o pozorach prędzej oschłych, ma rzadkie poczucie obywatelskiego obowiązku. Wyraża je nie wzniosłymi słowami, ale pomocą konkretną sprawom, których pożytek do- cenia. Już kiedyś pisałem że w nim „trumny gadają”. Nie można pisać historii Kraju i czasów Wielkiej Emigracji nie wspominając paru Zamoyskich, ich oddania całkowitego sprawie, hojności upar- tej, zapamiętałej, niezawodnej. Żeromski, który miał mało czułości dla polskich „panów”, lekkomyślność, rozrzutność i obojętność im krwawo wytykał, napisał parę niezapomnianych stron hołdu jed- nemu z nich, ofiarnemu z ofiarnych, właścicielowi potężnej fortu- ny, który całe życie ciułał grosz do grosza, milion do miliona,

tylko wyłącznie nimi szafując dla spraw polskich, sam dla siebie oszczędzając dosłownie na zapalkach.

„Gdzie wuj sypia?” zapytał go jeden z jego siostrzeńców, oglądając pół pusty pokój starca w Zakopanym. „Na stole, synu, na stole”, odpowiedział, „nie jestem godny łóżka”. Dziwak? Mo- że święty. Nie jest łatwo potem nazywać się Zamoyski. Znaczy przykład i tylko przykład. Więcej niż znaczy — czasami ZMUSZA.

Trzecim ofiarodawcą jest hr. Gilles de Boisgelin, Francuz, który chce, by była Europa, i pracuje dla niej w OTANIE jako najbliższy współpracownik lorda Ismaya. Jest żonaty z Polką, Wańkowiczówną. Ten dar nas samych zaskoczył.

Parę dni po rozmowie z Zamoyskim dzwoni telefon w Mai- sons Laffitte, głos Boisgelin'a: „Szukacie pieniędzy na dom dla Kultury, liczę na mnie, służę wam milionem, zwróćcie kiedy będziecie mogli”. Jeszcze parę zdawkowych zdań i słuchawkę odwiesił.

Spytalem go kiedyś co robił podczas wojny. „Kończyłem studia, potem... miałem inne zajęcia, zaraz po wojnie wyjechałem do Waszyngtonu na placówkę”. Dopiero później, z boku, dowie- działem się, że te „inne zajęcia”, o których mówił tak lakonicz- nie — to żywy udział w Résistance, przestrelone nogi, ale o tych sprawach tak samo jak i o dzisiejszej pracy mówić nie lubi.

Tę pomoc — o którą nawet nie myśleliśmy prosić — milkli- wego, przesadnie skromnego Francuza, odczuliśmy prawie sym- bolicznie, szerzej niż dar jednego człowieka. Francja sama dziś się boryka z trudnościami, które chwilami zdają się ponad jej siły, dla tamtej emigracji była schronieniem, sztabem wolności, ojczyzną takich przyjaciół jak Montalambert, Lammenais. Teraz spotykamy znów przyjaciół gotowych dla jej spraw zdobyć się na hojność, przyjaciół dla których nie jest ona powodem do nud- nych frazesów o „Pologne digne et malheureuse”, ale oderwanym strzępem Europy.

Ale czy to jedyny powód hojności Boisgelin'a. Może i w nim „trumny gadają”?

Babka jego, właścicielka jednej z większych fortun Francji, po śmierci męża ukryła się pod nieznanym prawie nikomu adre- sem w wynajętym służbowym pokoiku. Zeszła ludziom z oczu na zawsze. Od tej chwili wszystko co posiadała zaczęła rozdawać ludziom w potrzebie, instytucjom religijnym i społecznym. Gdy Pasteur borykał się z trudnościami finansowymi, odwiedziła go starsza pani, nieznamoma. Długo i cierpliwie czekała, aż ją naresz- cie przyjął.

„Ile panu potrzeba pieniędzy dla pańskich prac” spytała go od drzewi. Pasteur zdziwił się po co tej kobiecie w ubogiej czarnej sukni taka wiadomość. Odpowiedział od niechcenia, że brak mu dwóch milionów. Pani wyciągnęła szybko z woreczka tę właśnie sumę, położyła ją na stole i wyszła.

Niech mi wybaczy Gilles de Boisgelin, że powtarzam to co mi sam kiedyś opowiedział o swej babce, ale lakoniczny jego telefon z tamtym gestem łączy jeden i ten sam styl.



Dać, to zawsze czegoś się wyrzec, ale też na chwilę zniszczyć uwierającą każdego z nas obręcz samotności. Trzeba jednak **UMIEĆ** dać.

Berenbau, Zamoyski, Boisgelin — każdy z nich przyszedł nam z pomocą nie tylko hojnie ale i pięknie. Pomogli oni nam uwierzyć, że przyjaciele, każdy w miarę swoich możliwości, nie tylko Kulturę poratują, ale pomogą nam jej działanie rozszerzyć i utrwalić.

Kultura po raz pierwszy zwraca się do wszystkich swych czytelników: do tych, którym materialne warunki ułożyły się pomyslnie jak również do większości, dla których już cena rocznego abonamentu jest finansową ofiarą — pomóżcie nam w **MIARĘ WASZYCH MOŻLIWOŚCI**.

Musimy **WSPÓLNIE** z naszymi czytelnikami nie tylko istnienie Kultury utrzymać i pożyczki, ofiarowane nam w pełnym zaufaniu, spłacić, ale całą naszą dotychczasową działalność rozbudować.

Będzie to najefektywniejsza obrona samej zasady: konieczności istnienia na emigracji pisma niezależnego, teraz kiedy w kraju podstawy dla takiego pisma zostały na długo zniszczone. Nie ludźmy się zresztą — i poza krajem pismo niezależne drażni niejednego. Niezliczona ilość przeróżnych tabu, niebezpieczeństwo **KĄŻDEJ** emigracji: skleroza sztanc i frazesów — dławią myśl wolną i wszelkie realne rzutowanie w przyszłość. Nawet najpiękniejsza z cech człowieka **WIERNOŚĆ** może być wypaczona, może stać się ciężarem martwym. Naszą największą ambicją jest być **GŁOSEM WOLNOŚCI** tak dla Polaków rozmięcionych aż po pustynie Australii, po Kongo i Alaskę, dla których Kultura jest nieraz jedynym docierającym do nich słowem polskim, jak i dla Kraju, gdzie wbrew wszystkim zakazom Kultura dociera i będzie docierać.

Józef CZAPSKI

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

DZIESIĘĆ LAT LITERATURY KIEROWANEJ

Z okazji 10-lecia Polskiej Republiki ludowej odbył się w roku bieżącym szereg zjazdów poświęconych omówieniu doświadczeń i wysnuciu z nich wniosków na przyszłość. Pierwszy obradował kongres Zjednoczonej Partii Robotniczej, potem — w kwietniu rb. — zebrała się Rada kultury i sztuki. Organ tejże Rady, *Przeгляд kulturalny*, poświęcił tej sesji specjalny numer zawierający wybór mów wygłoszonych przez ministra kultury i sztuki oraz przez artystów i „działaczy kulturalnych” uczestniczących w obradach. Większa część wydrukowanych mów zajmuje się krytyką stanu obecnego i jest cennym dokumentem dla każdego, kto chciałby zrozumieć sytuację literatury krajowej i zagadnienia literatury kierowanej przez państwo.

Patrząc ze strony, zwłaszcza jeżeli sam żyje w warunkach tzw. wolności kultury, musi zachować w ocenie takich dokumentów wielką ostrożność, aby nie utracić niezbędnego zmysłu proporcji. Dla równowagi sądu czytelnika — i mego własnego — chciałbym poprzedzić streszczenie obrad zjazdów kilku uwagami ogólnymi.



Naprzód więc kilka słów o zjazdach i obradach literatów w ogóle.

Ktokolwiek bywał na takich zjazdach wie, że są one źródłem rozczarowania i nudy. Być może dlatego, że zarówno twórczość literacka jak jej recepcja przez czytelnika to jest dwie czynności stanowiące samo życie literatury, są aktami z natury rzeczy indywidualnymi, być może także dla innych przyczyn obrady zbiorowe pisarzy robią wrażenie dyskusji jałowych, toczących się na stronie od literatury, dokoła spraw nie interesujących ani autorów ani czytelników.

W swej książce o Alfredzie Jarry Madame Rachilde opowiada, że na zebraniu paryskiej Soci t  des gens de lettres dostrzegła raz młodego człowieka, który chodził milczący od grupy do grupy nie znając widocznie nikogo. Po pół godzinie takich wędrówek przyniósł krzesło i stanąwszy na nim po  rodku sali zaczął strzelać z rewolweru na wszystkie strony. Z trudem tylko udało się go rozbroić. Był to Jarry. Podobne uczucia nurtują zapewne wiele niedoświadczonych uczestników zjazdów, w których wybitniejsi pisarze nie biorą zazwyczaj udziału.

Jako mówcy kongresowi, literaci rzadko wyrastają ponad poziom bardziej w tego rodzaju krasom wstwie zaprawionych starostów, landratów czy pod-prefektów. Widząc pisarza na kongresie czy przy innej prozaicznej czynności, oglądamy go w oderwaniu od tego co stanowi g ówny sens jego działalności, tak jak oglądałby go analfabeta, i widok ten nie wnosi zazwyczaj nic do zrozumienia i oceny literatury współczesnej.

O tych właściwościach wszystkich w ogóle kongresów literackich nie należy zapominać, jeżeli chcemy zrozumieć dlaczego na zjazdach warszawskich, w dniu otwarcia wielkich  luzów samokrytyki, nikt z obecnych literatów nie znalazł nic istotnego do obwieszczenia. Zresztą, przy założeniu literatury kierowanej, najważniejsza lub jedynie ważna jest mowa ministra czy innego urzędowego sternika literatury. Sytuacja kierowanych nie zachęca ich zapewne do istotnych wynurzeń.

W ocenie postawy inteligencji łatwo jest popaść w błędy i anachronizmy. Wymawiając słowo „pisarz” myślimy mimo woli o Mickiewiczu, Lelewelu czy Mochnackim; mówiąc o „inteligencji” myślimy o grupie, która przez półtora wieku stanowiła podstawę wszystkich polskich ruchów niepodległościowych i oporu przeciw okupantom.

Dzięki swej formacji historycznej inteligencja polska różniła się, a w pewnej mierze różni się i dziś jeszcze, od takich grup społecznych innych krajów europejskich. Jeszcze w początku bieżącego stulecia inteligencja warszawska była rodzajem nieuchwytnego w formach zakonu, do którego nie dawał wstępu ani sam dyplom, ani stanowisko społeczne, a którego członkowie poznawali się nawzajem nieomylnie po kilku słowach rozmowy. O czymś podobnym myślimy mimo woli i dziś mówiąc o inteligencji.

Te szczególne rysy powstałe z stu lat ucisku politycznego należą jednak już do przeszłości. W latach międzywojennej niepodległości dawna inteligencja znikła i miejsce jej zajęła liczniejsza lecz luźna grupa „pracowników umysłowych” i „inteligencji zawodowej”, podobna do takichże grup Europy zachodniej. Sam nawet wyraz „inteligencja” utracił dawny sens i wyszedł z obiegu. Mówiąc dziś o inteligencji polskiej nie możemy zapominać o jej ostatniej ewolucji przedwojennej, ani o tym,

że najoporniejsza jej część zginęła w egzekucjach i obozach lub rozproszyła się na emigracji.

W Europie zachodniej absolwenci szkół średnich i wyższych stanowią grupę najbardziej zróżnicowaną wewnątrz, szarpaną przez sprzeczne interesy, nieorganizowaną zawodowo i nie mieszczącą się dobrze w ramach organizacji gospodarczej i społecznej naszego kontynentu. Grupa ta jest pięta achillesowa starych demokracji, które w miarę wydatków na oświatę i wzrostu liczby dyplomowanych widzą mnożących się wśród nich wrogów demokracji i zwolenników wszelkiego rodzaju prądów skrajnych. Każdy, chociażby efemeryczny, dyktator a nawet obcy okupant może w tej grupie znaleźć od razu całe zastępy zapalczywych zwolenników i wykonawców. Najbardziej zależna od każdorazowego rządu, grupa ta jest najmniej odporna na przymus. Nie wchodząc w złożone przyczyny tego stanu rzeczy ujawnionego przez wypadki ostatnich trzydziestu lat, notujemy go dla uniknięcia anachronizmów.

Cnotę łatwiej być może zachować analfabetom niż uczonym w piśmie, niebronny wobec przymusu i wystawionym na niezliczone pokusy. W czasach, kiedy zwycięski faszyzm i hitleryzm, podporządkowawszy sobie własne literatury, zaczął kaptować i kupować pióra a nawet całe czasopisma w krajach jeszcze wolnych, rozmawiałem kiedyś o tych zjawiskach z doświadczonym profesorem historii literatury, wyrażając wątpliwość czy w podobnej atmosferze demoralizacji może w ogóle powstać jakaś godna szacunku literatura. Profesor odpowiedział mi łagodnie: „Wydaje mi się, że pan się myli. Środowiska literackie były zawsze bardzo zdemoralizowane. W czasach Corneilla i Racina też nie było lepiej”. I po chwili dodał: „Oni przynajmniej umieli pisać”.

Kto mówi o „wolności słowa” lub „wolności kultury” używa terminów niejasnych, oratorskich, wypowiadających co najwyżej nieokreślony bliżej postulat i prowadzących łatwo do nieporozumień.

Cenzura i inspiracja literatury są tak stare jak literatura sama. Liczne aluzje do tych ograniczeń wolności znajdujemy u klasyków wszystkich czasów. Martialis zaczyna nawet swe epigramaty od wypowiedzenia nadziei, że cenzura pozwoli mu na te niewinne igraszki:

Innocuos censura potest permitttere lusus

Dla badacza historii literatury książka i cenzura zdają się być, jak orzeł i reszka, dwiema stronami medalu.

Wszystkie próby reglamentacji i kontroli literatury powoływały się zawsze na użyteczność lub bezpieczeństwo publiczne.

Przez długie wieki mniemano, że pisma lub nawet myśli obrazające siły nadprzyrodzone mogą wywołać gniew tych ostatnich w postaci zarazy, nieurodzaju i innych klęsk. Dla uniknięcia ich palono pilnie *pro publico bono* podejrzane pisma a nawet osoby. Nie wiem czy kryteria użyteczności społecznej stosowane dziś do literatury są więcej warte od dawnych i czy obawa, że bluźniercy mogą sprowadzić zarazę, nie jest lepiej umotywowana od obawy, że „formaliści” mogą przeszkodzić wykonaniu planu pięcioletniego. Za wszystkich czasów kryteria tego rodzaju były uchem igielnym literatury, przez które słowo pisane przeciskało się zniekształcone i oskubane. Przed trybunałem badającym użyteczność i intencje książek najślawniejsze dzieła literatury światowej stoją zawstydzone i nieśmiałe.

Wolność literatury była zawsze tylko sumą luk i luzów w systemie kontroli i represji. Luzy takie powstawały często z powolności działania ciał zbiorowych wykonywujących cenzurę. Część nakładu zdążyła się rozejść zanim spalono resztę z wyroku trybunału. Dwutorowość władz stwarzała też często dobroczynne luki. We Francji *le privilège du roi* bronił przez parę wieków książki od cenzury parlamentu, o którym pisał Diderot: *Après la Sorbonne, le corps le plus ignorant de France est le parlement*. Czego nie można było drukować w katolickiej Francji, drukowano w protestanckiej Holandii; w Paryżu ukazywały się książki konfiskowane w Anglii. Ważną ostoją wolności była tolerancyjna postawa czytelników i brak donosicielstwa, umożliwiający przemyt i handel nielegalnymi książkami. Tego rodzaju lukom i luzom zawdzięczamy ocalenie lepszej części dawnej literatury.

Luzy wzrastały w miarę komplikowania się systemu rządów. Sprzyjała im dwutorowość monarchii konstytucyjnych i systemów dwuizbowych, oraz niestałość rządów parlamentarnych. Wreszcie cenzura została mniej lub więcej zniesiona przez demokracje parlamentarne, oparte na zmiennych rządach kilku stronnictw, z których każde posiadało odmienne poglądy na to co jest użyteczne. Brak cenzury był jednak zawsze tylko tymczasowym stanem faktycznym, wynikiem z współistnienia odmiennych kryteriów użyteczności. Gdziekolwiek jakieś ugrupowanie polityczne zyskiwało władzę niepodzielną lub gdzie okoliczności — jak mobilizacja lub stan wojenny — wysuwały jakieś jasne kryteria użyteczności publicznej, cenzurę wprowadzano na nowo. W latach poprzedzających drugą wojnę światową cenzura funkcjonowała w przeważnej części Europy. Potrzeba cenzurowania i naginania literatury do domniemych potrzeb użyteczności publicznej nie wygasła całkowicie w żadnym kraju. Wszędzie istnieją — nawet w środowiskach literackich — zwolennicy reglamentacji zjawisk literackich, czekający tylko na pomyślną chwilę aby wprowadzić cenzurę na nowo.

Długotrwała nieobecność cenzury w różnych krajach Europy nie pozostała jednak bez skutków. Praktyka tolerancji zachwiała wiarę, aby słowo drukowane mogło zagrażać lub sprzy-

jać istniejącemu porządkowi. Doświadczenie wykazało, że prasa np. nie ma wpływu na wyniki wyborów. Książce przestano przypisywać znaczenie wymierne w kategoriach użyteczności publicznej.

Sceptycyzm w stosunku do wagi społecznej słowa pisanego zdaje się być jedyną trwałą podstawą wolności literatury od cenzury i przymusu. Wszystko inne — to tylko przypadkowe luzy i luki w każdorazowej organizacji władzy.

Sceptycyzm taki jest rzeczą najbardziej odległą od tradycji literatury polskiej, spełniającej od półtora wieku rodzaj apostolatów społecznych, a także od pojęć większej części polskich czytelników. Wytworzenie się w Polsce obojętnej tolerancji dla literatury, właściwej Europie zachodniej, wymagałoby jakichś głębokich zmian w obyczajach i pojęciach czytelników i w ambicjach samej literatury.

Jak długo w powszechnym mniemaniu słowo pisane posiadać będzie magiczną siłę mogącą obalić mury więzień i odmienić porządek świata, tak długo rządzący, jakakolwiek byłaby ich doktryna, nie będą mogli obejść się bez cenzury, niezbędnej w ich pojęciach — nie odbiegających zazwyczaj od pojęć przeciętnego czytelnika — do utrzymania ich władzy i ustalonego przez nich porządku. Z drugiej strony jest jasne, że wiara w taką potęgę literatury nie może się na dłuższą metę ostać brakowi cenzury i jest w znacznej mierze produktem ubocznym tej ostatniej.

Literatura polska posiada z cenzurą romans trwający już półtora wieku i którego treść uczuciowa nie da się wypowiedzieć bez reszty w terminach sceptycznego racjonalizmu. Cenzurze zawdzięcza swe upokorzenia i pychę, swe nędze i ambicje.

Armia policjantów, cenzorów, inkwizytorów i chuliganów polująca na podejrzane słowo może oczywiście strącić całą literaturę i obrócić ją w jałowy ugor, ale słowo które jej ucieknie posiadać magiczną siłę i blask, jakiego słowo zrodzone wśród obojętności i sceptycyzmu nie posiada.



Pisarze świata antycznego i wieków średnich czytali swe utwory znajomym i rozpowszechniali je w kopiach rękopiśmiennych. Warunki te dawały im pewne dziś mniej znane swobody: mogli nie liczyć się z liczbą czytelników.

Od wynalazku Gutenberga literatura żyje w symbiozie z maszyną drukarską i musi liczyć się z jej wymaganiami. Maszyna ta źle znosi gusty ekskluzywne; pracuje tylko dla *hoi polloi* i żąda przystosowania się do ich smaku.

Mylilibyśmy się przypuszczając, że wydawcy wykonują swe rzemiosło jedynie w celach zarobkowych. Przeczy temu fakt, że wielu ich straciło majątek, żaden zaś nie zdobył wielkiej fortuny. Konieczność zachowania kapitału obrotowego zmusza ich jednak do rozpatrywania każdego rękopisu z punktu widzenia jego rentowności czyli stopnia przystosowania do gustów i potrzeb

szerokiej publiczności. Teoretycznie więc musieliby drukować same best-sellery.

W rzeczywistości nic podobnego nie ma miejsca. Za ledwie jedną powieść na dziesięć przynosi wydawcy dochód pokrywający deficyt pozostałych. Ogromna większość drukowanych książek nie wychodzi poza ograniczoną i często niewielką liczbę czytelników. Niewiele rękopisów pozostaje niewydanych. Nawet książki, które — jak np. *Les chants de Maldoror* — miały być czytane dopiero w kilkadziesiąt lat później, znajdowały swego wydawcę.

Narzucony przez maszynę przymus popularności nie pozostawił na literaturze żadnych widocznych śladów. Nie widać wcale, aby książki wydane w ciągu ostatnich stu lat były bardziej „zabawne”, „rozrywkowe” czy w inny sposób przystosowane do masowego zbytu, niż książki rozpowszechniane w kopiach rękopiśmiennych lub wydawanych kosztem mecenasów nie liczących się z czytelnikami.

Ten pomyślny dla literatury stan rzeczy, istniejący dotąd w ustroju kapitalistycznym, wynika z faktu, że wymagania maszyny drukarskiej nie są wcale jednoznaczne i posiadają również swe luki i luzy. Maszyny drukarskie — jak zresztą wszystkie maszyny — nie mogą pozostawiać niezatrudnione i w braku best-sellerów zadawalniając się mniej rentownymi rękopisami. W sprzeczności wewnętrznej wymagań maszyn drukarskich leży jedna z najważniejszych swobód literatury, mianowicie jej względna wolność od wymagań rentowności.

Oczywiście swobody te związane są z posiadaniem maszyn drukarskich i przedsiębiorstw wydawniczych przez osoby prywatne. W razie zmonopolizowania lub upaństwowienia drukarni luzy te stają się fakultatywne, państwo bowiem posiada środki umożliwiające opłacanie przestoju maszyn lub zatrudnienie ich drukiem samych np. książek do nabożeństwa, nabywanych potem przymusowo przez zależne odeń gminy i zrzeczenia.



Ustalenie się mniemania, że literatura jest pod względem użyteczności publicznej rzeczą obojętną zapewnia jej tolerancję lecz nie stawia jej bynajmniej poza zasięgiem działania państwa. Powieść — jak pisał pod rządami marszałka Pétaina pewien znany krytyk francuski — jest zbyt ważną gałęzią produkcji narodowej, aby rząd mógł się nią nie interesować. Lekceważąc treść książek, administracja publiczna ma dość innych tytułów do zajmowania się nimi. Książka jest jeszcze źródłem zatrudnienia, jest produktem przemysłu, zużywającego maszyny i surowce, jest wreszcie przedmiotem handlu i z tych tytułów podpada pod przepisy regulujące dziś wszystkie dziedziny życia gospodarczego.

Podobnie jak innych zawodów domniemanie zarobkowych, zawodu pisarza nie mogą w wielu krajach wykonać cudzoziemcy bez pozwolenia urzędu pracy. Piszącemu te słowa np. urząd

pracy przez dłuższy czas nie decydował się udzielić takiego pozwolenia, obawiając się pozbawić pracy któregoś z krajowych literatów; kazał sobie przedłożyć przychylnie zaświadczenie miejscowego związku pisarzy i parę próbek prozy. Na podstawie istniejącego ustawodawstwa pracy państwo nowożytnie może w każdej chwili wprowadzić goebbelsowskie *Kulturkammer* i patenty na pisanie, nie wchodząc wcale w treść publikowanych pism. Taki tryb kontroli byłby szczególnie uciążliwy, bo o sprawach literackich decydowałiby wówczas analfabeci.

Papier jest w Europie artykułem importowanym i przywóz jego jest ograniczony do kontyngentów, które nie zawsze wystarczają na potrzeby wydawców. W tej sytuacji powstaje potrzeba udzielenia pierwszeństwa pewnym książkom z pominięciem innych. W różnych krajach widziano też w ostatnich latach komisje urzędników decydujących o tym, które rękopisy zasługują na pierwszeństwo. Kuchenne drzwi dla cenzury przewencyjnej stoją więc wszędzie otworem.

Najdotkliwszym jednak ograniczeniem uległ w latach powojennych międzynarodowy handel księgarski. Ograniczone kontyngenty dewiz na przywóz książek obcych wymagały dokonania wśród nich wyboru. Widziano więc w tych wypadkach komisje urzędników wybierające z katalogów tytuły książek dopuszczonych do przywozu. Był to też rodzaj cenzury, odbierający głos jedynym zainteresowanym, to jest nabywcom książek. Na ogół publiczność, wiedziona słusznym instynktem, wzbraniała się kupować i czytać książki wybrane dla niej przez urzędników. Niektóre kraje zamykały na pewien czas w ogóle swe granice dla przywozu książek, udzielając pierwszeństwa innym towarom.

Handel pismami i wydawnictwami periodycznymi znajduje się w wielu krajach w rękach towarzystw posiadających koncesje na kioski i monopolizujących tę gałąź handlu. O przywozie periodyków obcych decydują w ostatniej instancji dyrektorzy tych towarzystw, wykonując też rodzaj cenzury nie skrepowanej żadnymi przepisami.

Utraciwszy swą użyteczność społeczną, książka utraciła zarazem swe odrębne i uprzywilejowane stanowisko. Przepisy zrównały ją z innymi towarami. Minęły czasy, gdy książki nie opłacały podatków obrotowych, były wolne od cła, i gdy nawet przemysłnicy przenosili je przez granice „honorowo”, bez kosztów.

W latach powojennych na książkę zwała się cała lawina podatków, opłat, taks i formalności. W wydanej w 1951 przez UNESCO książce pt. *Trade Barriers to Knowledge* samo wyliczenie tytułów tych opłat w 43 krajach zajmuje petitem 160 stron i 8-o. Lista ich jest jednak niekompletna i z tego doświadczenia czytelnika mógłbym ją w wielu wypadkach uzupełnić. W urzędzie skarbowym lub celnym książka jest najbardziej nieśmiałym i pogardzanym towarem, bo nie ma komu jej bronić. Przemysłowiec importujący drzewo lub wełnę ma zawsze ważne argumenty przemawiające za utrzymaniem opłat w rozsądnych

granicach. Czytelnik nie ma tam głosu i brak mu zapewne też przekonujących dla tych instancji argumentów. Nieobecność tego jedyne obrońcy książki sprawia, że urzędy celne, oprócz opłat ustawowych, pobierają od książek także różne opłaty fantazyjne, nie mające przesłanek w żadnej ustawie. Nawet od książek wolnych od cła pobierane są w różnych krajach opłaty „za manipulację”, za wystawienie świadectwa o wolności od cła itd. Księgarze obliczają, że cło i inne opłaty wynoszą razem około 30% ceny katalogowej.

Wielkim obciążeniem książki są również formalności wywozowe, przywozowe i dewizowe, które są te same dla jednego co dla tysiąca egzemplarzy i dla tysiąca wagonów węgla. Formalności te faworyzują oczywiście książki przeznaczone do masowego zbytu, obciążając najdotkliwiej wydawnictwa przeznaczone dla niewielkiej ilości czytelników.

Cały ten system poniewierki książki przez państwo współczesne nie ma luk i luzów, jakie posiadały różne systemy cenzury. Obchodzenie przepisów nie znajduje współczucia u obywateli. Ciekawsze książki przedostają się dziś przez granice — jak w dawnych wiekach — w kieszeniach podróżnych.

W kalkulacjach wydawców książka staje się coraz bardziej towarem sezonowym. Wobec braku papieru rozpowszechnił się zwyczaj mielenia i przerabiania na nowy papier nakładów, które nie rozeszły się w ciągu dwóch lat. Starszych książek nie ma więcej na rynku. Brak coraz bardziej autorów klasycznych, których wydanie nie oplaca się w ramach jednego kraju.

Dyrektor frankfurckiej biblioteki, prof. H. W. Eppelsheimer, autor cenionego przez doświadczonych czytelników bibliograficznego przewodnika po literaturze klasycznej, mówił mi ze smutkiem: „Obawiam się, że książka do której byliśmy przywiązani zniknie jeszcze za naszego życia. W cywilizacji współczesnej nie ma dla niej miejsca”.

Mówiąc o wolności literatury, mówimy więc o rzeczy bardzo względnej, którą dla wszystkich celów praktycznych należy rozpatrywać z punktu widzenia luk i luzów każdego poszczególnego systemu.

II

Referat ministra Włodzimierza Sokorskiego, stanowiący podstawę obrad kwietniowej sesji Rady kultury i sztuki nosi tytuł „O rzeczywisty zwrot w naszej polityce kulturalnej”. Tytuł ten brzmi tak obiecująco, że być może nie wszyscy uczestnicy byli pewni czego się po nim spodziewać. Toteż Leon Kruczkowski, prezes związku literatów, pośpieszył otwierając sesję wyjaśnić, że tematem obrad będą sprawy taktyczne związane z wykonaniem wskazań niedawnego zjazdu Zjednoczonej Partii Robotniczej. Po nim zabrał głos minister kultury i sztuki.

Przy założeniu sztuki kierowanej, minister obwieszczający zmianę kursu ma w swej roli wspaniałe efekty oratorskie, niedostępne zwykłym śmiertelnikom. Może, spowity w chmurę słów, grzmieć i błyskać nie wyjawiając przez dłuższy czas swych zamiarów i trzymając audytorium w stałym napięciu. Może także, niby nowy Tyberiusz powracający nagle z Caprei, porazić wszechpotężnych dotąd dygnitarzy i patrzeć jak odsuwają się od nich pochlebcy. Może wreszcie, pokazując drugą stronę medalu władzy, rozpogodzić wszystkie oblicza obwieszczając ogólne przebaczenie grzechów.

Zawadzając o wszystkie po trosze, minister nie wybrał żadnej z tych dróg. Ministerialna myśl przewija się w jego referacie przez długą serię paragrafów omawiających blaski i cienie sytuacji.

Mówiąc o dorobku dziesięciolecia, wymienia „historyczne pozycje” Leona Kruczkowskiego, Broniewskiego, Putramenta, Newerlego, Strykowskiego i Brezy. W innych działach sztuki wspomina m. in. Panufnika i Leona Schillera, to jest artystów o wątpliwej ortodoksji. Jako jedno z najważniejszych osiągnięć wymienia „przewycięzenie ideologicznej platformy formalizmu”, wyrażające się w tym, że „nikt dzisiaj nie może poważnie myśleć o nawrocie do schyłkowej sztuki burżuazyjnej... nikt dzisiaj, przynajmniej otwarcie, nie kwestionuje założeń sztuki ideowej... służącej walce o nasycenie naszej twórczości literackiej i artystycznej nową, socjalistyczną treścią, która umożliwi wychowanie nowego człowieka socjalizmu”. Zaraz potem wszakże dodaje, że te osiągnięcia „nie zwalniają nas od ciągłego obowiązku czujności wobec nieuniknionych prób odradzania się sztuki ideologicznie nam obcej i wrogiej”.

Pierwsza część referatu wyjaśnia od razu, że „rzeczywisty zwrot” odnosić się może tylko do spraw taktycznych. Pamiętając jednak o roli drugorzędnych często zagadnień technicznych w powstawaniu luzów i swobód literackich, czytamy uważnie dalej.

Po wylczeniu osiągnięć, minister przystąpił do krytyki stanu obecnego stwierdzając, że „twórczość nasza i działalność kulturalna pozostają w tyle za wielkimi osiągnięciami Polski ludowej, że nie nadążamy za rozbudową przemysłu, za przebudową ustroju i nie spełniamy nadziei, które wiąże z twórczością klasa robotnicza i szerokie koła naszego społeczeństwa, że mamy zbyt małą ilość dzieł wybitnych, a zbyt wielką ilość dzieł szarych, które spotykają się ze słuszną krytyką naszego narodu”. I nieco dalej: „Nie potrafiliśmy dotąd stworzyć warunków, w których mogłaby rozwijać się literatura i sztuka realizmu socjalistycznego bez specyficznego zwięzienia pojęć do określonego schematu... Dwa lata temu literatura polska wydała szereg wybitnych dzieł artystycznych, z których *Pamiętka z Celulozy* i *Bieg do Fregala* otrzymała pierwszą nagrodę państwową, zeszły rok dał nam dyskusyjne, nie pozbawione poważnych błędów, lecz ciekawe pozycje Brauna, Bocheńskiego i Żuławskiego, dziś ob-

serwujemy spadek liczby pozycji współczesnych w planie wydawniczym zarówno „Czytelnika” jak państwowego instytutu wydawniczego”. W podobny sposób minister charakteryzuje sytuację w teatrze, w muzyce i w filmie.

Stwierdzając ten stan rzeczy minister zadaje sobie pytanie: „Czy słuszny był dokonany w 1949 zwrot w kierunku realizmu socjalistycznego? Czy słusznie została postawiona problematyka nowej sztuki socjalistycznej w treści, i narodowej w formie? Niewątpliwie tak... Bez przewyższenia idealistycznej filozofii leżącej u podstaw formalizmu i bez wysunięcia prymatu treści nad formą nie mogliśmy dokonać nie tylko przełomu ideologicznego, lecz nie mielibyśmy osiągnąć, z których jesteśmy teraz tak dumni”.

Generalna linia była więc słuszna. Jej mierne wyniki mówca przypisuje wadliwym interpretacjom realizmu socjalistycznego, który w swym dialekcie materialistycznym definiuje w sposób następujący: „Realizm socjalistyczny oznacza wybór faktów, zgodnych z obiektywną prawdą rozwoju, w oparciu o którą powołuje autor do życia zjawiska nowe, niepowtarzalne, zjawiska ożywione artystyczną fantazją. Od sugestywności formy ich pokazania zależy ich dydaktyczna i wychowawcza rola”.

Na podstawie tej recepty sporządzano listy tematów, „których być może nie narzucaliśmy, lecz „sugestywnie” podsuwaliśmy... Na skutek tych wypaczeń częstokroć pozbawiliśmy twórcę radości poszukiwania, eksperymentowania, walki o własne widzenie”. Do praktyki przepisywania gotowych tematów i „warsztatu twórczego” czyli techniki wykonania minister wraca kilkakrotnie. Aluzje do niej znajdują się też w mowach innych uczestników obrad.

Ob. Sokorski potępia tę praktykę jako rozmijającą się z celem: „Przeczną naszych trudności było, sądzę, uproszczone rozumienie słusznej zasady prymatu treści nad formą... Najpiękniejsza nawet idea, jeżeli nie znajdzie rozwiązania w obrazie artystycznym, zgodnym z apercpcją artystyczną widza, nigdy nie przemówi do odbiorcy i nigdy nie potrafi go zmobilizować do walki, o którą nam chodzi... Niedocenianie formy... prowadzi do powstania dzieł błahych, antyestetycznych, niedających radości, powodujących uczucie smutku i zażenowania, nie mówiąc już o dezorientacji młodego pokolenia...”

Grzechy te obciążają, zdaniem mówcy, jego własne ministerstwo, centralne urzędy kultury, kolegia redakcyjne, zespoły wyrokujące o nagrodach, a wreszcie krytykę i prasę. „Bez zmiany klimatu panującego w wydawnictwach, w kolegiach redakcyjnych, w kolegiach przyznających nagrody, bez zmiany metod kształtowania opinii publicznej przez prasę i krytykę, bez zarzucenia nawyku obrażania i znieważania ludzi i artystów publicznie krytykowanych, bez stworzenia żywych, reagujących twórczo środowisk artystycznych w związkach i stowarzyszeniach nie potrafimy wytworzyć warunków, w których by mogły swobodnie rozwijać się talenty i powstawać dzieła twórcze godne naszej

epoki”. I nieco dalej: „Pamiętajmy o tym, że sekciarstwo i doktrynerstwo jest niczym innym jak niewiarą we własne siły, niewiarą w siły socjalizmu, niewiarą w siły narodu”.

Zaraz potem minister pośpiesza jednak wyjaśnić, że „państwo i partia nigdy nie mogą zrezygnować ze stawiania przed twórcami problematyki naszego życia i naszej pracy”. Krytyka ma nadal odpowiadać na pytania: „Czy dany utwór w swej ogólnej wymowie mobilizuje za, czy przeciw nam? Czy jest utworem pisanym z naszych, czy z wrogich pozycji?” Wszystko więc zostaje jak przedtem. Między „naszymi” i „wrogimi” pozycjami minister nie przewiduje żadnego luzu.

„Rzeczywisty zwrot” streszcza się więc do następujących postulatów: do „pozostawienia twórcom swobody w wyborze tematu”, do uznania „prawa twórcy do operowania tymi środkami wyrazu, które najbardziej odpowiadają jego wyobraźni artystycznej”, do pozostawienia mu czasu i okazania „cierpliwości” zawsze w granicach realizmu socjalistycznego i „czujności”. Wreszcie minister zaleca sondowanie opinii czytelników dla uniknięcia przyznawania nagród utworom odrzucanym potem przez publiczność.

Postulaty te mogą mieć dobroczynne skutki dla literatów zatrudnionych przy tej fabrykacji, ale nie zapowiadają w systemie żadnych luk, przez które mogłyby się precyzować jakaś godniejsza uwagi literatura. Nieco szerszych możliwości można by dopatrywać się w ubocznie wtrąconym zdaniu, że „realizm socjalistyczny nie jest ani określoną szkołą artystyczną, ani określonym stylem, ani receptą”, ale minister nie dodał doń żadnego komentarza upoważniającego do jakichś wniosków.

W zakończeniu minister ostrzega przed rozdmuchiowaniem nadziei na powiększenie wydatków państwowych „na cele bytowe i kulturalne”.



Przemówienia innych uczestników obrad noszą cechy improwizacji i są mniej przemyślane od referatu ministra. Zależnie od rangi, mówcy przemawiają śmielej lub ostrożniej. Myśl wszystkich krąży jednak dokoła luzów i szuka dla nich nowych uzasadnień.

Jerzy Putrament jest zdania, że tegoroczna „produkcja powieści” nie będzie niższa niż w 1952, ale zgadza się, że istnieje pewien kryzys literatury. Skarży się na nietolerancję prasy odstręczającej piszących od wszelkich poszukiwań osobistych i popychają ich „do naśladowania tych, którym udało się uniknąć objężdżającej krytyki”.

Dalej zwraca uwagę na wątpliwości jakie nastęrcza ocena użyteczności społecznej utworów literackich. „Nie puszczamy tego co jest szkodliwe — i słusznie. Ale nie ferujemy zawczasu, nie uzurpujmy sobie prawa do decydowania o tym co jest poży-

teczne... Można powiedzieć, co jest szkodliwe, ale nie można zaświadczyć, że coś jest pozytywne”.

Ta nieco enigmatyczna wypowiedź daje możliwości różnych interpretacji. Być może stwierdza po prostu, razem z Monsieur de la Palice, że nie znając przyszłości nie możemy przewidzieć wszystkich następstw naszych poczynań, ale taka myśl nie pasuje być może do systemu literatury kierowanej. Być może więc należy rozumieć ją tak, że dopóki centralne organy partii nie zajęły w jakiejś sprawie literackiej wyraźnego stanowiska, różne mniemania co do użyteczności danego utworu mogą być dopuszczone. Być może wreszcie zdanie to wyraża tylko stanowisko obronne kierownika wydawnictwa, który zastrzega się z góry, że nie potrafi wszystkiego przewidzieć. Jakkolwiek je tłumaczy, otwiera ono drogę do wątpliwości i tolerancji.

Kilku mówców porusza sprawę trudności materialnych, z jakimi walczyć muszą artyści i pisarze. Juliusz Starzyński, dyrektor Państwowego Instytutu Sztuki, mówi np.: „Jednym z głównych mankamentów, które ciążą na naszym życiu artystycznym, są zabójcze terminy, brak czasu — sytuacja, w której artystom na twórczość, pisarzom na pisanie, naukowcom na poważną pracę naukową pozostają niedziele czy popołudnia. Taka forma organizowania twórczości jest zasadniczym zaprzeczeniem tego, czego wymagamy od sztuki realizmu socjalistycznego...”

Na szczególną uwagę zasługuje przemówienie Jana Kotta, który — jako profesor literatury francuskiej, znający wszystkie drogi, jakimi błędziła literatura nieobjaśniona światłem realizmu socjalistycznego — był zapewne w tym gremium najlepiej poinformowany o możliwościach i granicach literatury. W słowach jego można dosłyszeć odległe echa argumentów, przy pomocy których Chapelain usiłował niegdyś wytłumaczyć kardynałowi Richelieu na czym polega literatura. Po powołaniu się na najwyższe autorytety, Kott mianowicie rzekł: „Nikt jednak nigdy nie powiedział, że nasza walka ma być łatwa i prosta, że zbiór rozmaitego rodzaju recept uwolni nas od myślenia, od odwagi, od brania odpowiedzialności, od dyskusji wśród nas samych... Praktyczna walka o prawo do nowatorstwa i śmiałości myśli jest o wiele trudniejsza od teoretycznego uznania, że w obrębie realizmu socjalistycznego mogą istnieć różnice sądów artystycznych, że są sprawy, dzieła i problemy, które będą i powinny budzić wśród nas samych spór ideowy, i że spór ten nie w każdym wypadku może zostać od razu przesądzony i rozstrzygnięty”.

Przejaw skostnienia życia społecznego i intelektualnego Kott widzi między innymi w powstaniu „oficjalnego gustu”: „Nie było według mnie wielkim nieszczęściem, że wielokrotnie nagrody państwowe i artystyczne przyznawane były utworom miernym, płaskim i jednodniowym. O wiele groźniejszy jest fakt, że ci, którzy im te nagrody przyznawali, sami nie wierzyli w ich artystyczną wartość, że im się te utwory po prostu nie podobały... Ileż razy w czasie sądów konkursowych spotykaliśmy się z sąda-

mi: „dobre to nie jest, mnie się nie podoba, ale powinno się podobać i jest potrzebne”. Mówca wyraża jednak nadzieję, że doświadczenia dziesięciolecia pozwolą w przyszłości odróżnić utwory „napisane nie na prawdziwe zamówienie społeczne, lecz na biurokratyczne zamówienie ministerialne”.

W mowie jego znajdujemy wreszcie *passus*, który w całej tej powodzi słów da zapewne dalekiemu czytelnikowi emigracyjnemu najwięcej do myślenia: „Awans społeczny objął masy, nie tylko jednostki. Ale objął nie tylko robotników, nie tylko nawet naszą młodzież, objął również nas samych. Otwórzmy oczy: każdy z nas robi rzeczy o wiele trudniejsze niż pozwala na to jego własne doświadczenie i umiejętności. Młody architekt, który powinien budować domki jednorodzinne, buduje całe dzielnice, inżynier, który ledwie zaczął projektować, buduje wielkie kombinaty, młody uczoney nierządkiem prowadzi wielkie instytucje badawcze i podejmuje prace o niespotykanym dotąd zasięgu i znaczeniu. Oto jest istotny proces — dorastanie ludzi do coraz trudniejszych zadań, do coraz większej odpowiedzialności, do coraz pełniejszego i bogatszego życia, do coraz trudniejszych i bardziej złożonych konfliktów”.



Debaty Rady Kultury i Sztuki wystawiają mało chlubne świadectwo środowiskom literackim i artystycznym w kraju. O gniołtącej i wyjałowiającej atmosferze tych środowisk wspomina w przytoczonym wyżej ustępie minister Sokorski.

Świadczą o niej i inni mówcy. Profesor Józefa Wnukowa, mówiąc o sytuacji sztuk plastycznych, „ośmiela się podać w wątpliwość wiele opinii, które od 1948 były wydawane o różnych pracach. Wydaje mi się — mówi — że opinie te były często celowo urabiane przez paru kolegów, którzy używając zresztą bardzo słusznych argumentów politycznych chcieli narzucić gotową receptę realizmu socjalistycznego”.

O „lizusostwie” w ocenach wszystkich, nawet najmniej udanych produkcji sowieckich, wspomina Putrament.

Nieodporność środowisk artystycznych na wszystkie sugestie mające pozory prawomyślności jest wzmiankowana przez wielu mówców. Sokorski mówi o „słabszych charakterach” dających sobie narzucać „tematy produkcyjne”.

Tę nieobronność artystów ma na myśli wiceprezes Związku kompozytorów, mówiąc: „Odwaga musi być dwustronna: u tych, co tworzą i u tych co o dziele decydują”. I kiedy nieco tajemniczo wspomina, że „otacza nas świat wrogi, który pragnie nas zniszczyć i żyje projektami, w jaki sposób to zniszczenie zrealizować”, myśli zapewne o otaczającym go środowisku artystycznym.

Paweł Hertz, autor ogłoszonego niedawno tomu szkiców o literaturze polskiej i obcej, stwierdza, że wszystko co zaszło w ciągu ostatnich lat na terenie Związku literatów było własnym

dzielem zrzeszonych w tej organizacji, i ani Ministerstwo kultury ani żadne inne organizacje nie ponoszą za to odpowiedzialności. Hertz podnosi wspólną odpowiedzialność kierowników i kierowanych: „Jeżeli kolega Putrament każe mi skoczyć z okna i ja to zrobię, to winni jesteśmy obydwaj”.

Występując w obronie „autonomicznych praw sztuki”, Hertz proponuje rozpoczęcie na te tematy dyskusji wewnętrznej wśród artystów i literatów. „Dyskusje takie — dodaje — mogą być pożyteczne wtedy, gdy pozycje ideologiczne pisarzy czy malarzy są ustalone; tylko wtedy mamy prawo sądzić, że domaganie się uznania praw specyficznych sztuki nie będzie miało na celu przemykania niehumanistycznej ideologii w obszernym płaszczu estetyki”.

W słowach jego widać też pewną drogę do luzów i swobód. W zamian za zajęcie jednoznacznej „pozycji ideologicznej”, Hertz proponuje pozostawienie literatom swobody w zakresie spraw dotyczących ich rzemiosła.

◆

Nie brak w dyskusji i momentów zabawnych. Tak np. Grzegorz Lasota, krytyk literacki, powiada: „Rzecz polega nie tylko na tym, że autor jest głęboko o czymś przekonany. To jest oczywiście ważne, ale nie można tego oddzielać od tego, z jakich pozycji artysta patrzy na życie, jaka jest jego ideologia, od jedności prawdy obiektywnej i artystycznej. W realizmie socjalistycznym jest to spojrzenie na życie z pozycji klasy robotniczej. Samo przekonanie artysty nie decyduje o prawdziwości jego dzieła”.

Takie sformułowanie wymagań realizmu socjalistycznego nie przeszło zapewne bez pewnej wesołości, nikt bowiem z obecnych nie był nigdy robotnikiem i nie potrafi „patrzeć z pozycji klasy robotniczej” bez wielkiego nadużycia wyobraźni.

Pewnym urozmaicheniem numeru *Przeglądu kulturalnego* są ilustracje Jerzego Zaruby i Szymona Kobylińskiego, wnoszące do debatów Rady Kultury trochę świeżego powietrza z zewnątrz. Jeden z tych rysunków przedstawia np. Kotta strzelającego z procy do wnętrza apteki sprzedającej „najlepsze recepty na realizm socjalistyczny”. Na stojących na półkach słojach widać napisy: sztuki produkcyjne, panegiryki, wazelina, lakier optymistyczny, nuda sężona.

◆

Minister, jak widzieliśmy, nie obiecywał wiele, ale i to spotkało się z niedowierzaniem słuchaczy. Dowiadujemy się o tym z ust samego ob. Sokorskiego, który zabrał raz jeszcze głos w zakończeniu obrad: „Słuchając naszej dyskusji, prof. Piwocki, siedząc dość daleko od trybuny, w pewnym momencie powiedział: jaka to szkoda, że tak daleko siedzę, bo gdy dojdzie ta fala do mnie, to już kurs się zmieni. A prof. Kobzdej dodał: przecież Sokorski może na końcu powiedzieć: moi kochani, to był po prostu prima aprilis”.

Minister powtórzył raz jeszcze, że potępia dotychczasową praktykę „komenderowania i kształtowania oblicza kultury z góry”, a także „pokutujący gdzieś pogląd, że można budować sztukę bez decydującej roli samych artystów”, jako „wypaczenie generalnej linii partii”. Dodał jednak zaraz, że „partia i rząd nigdy nie rezygnują z prawa wskazywania twórcom na zagadnienia najostrejsze w danej chwili, bo partia... ma szerokość pola widzenia i doświadczenie, których nie posiada poszczególny twórca”.

„Rzeczywisty zwrot” sprowadza się zatem do paru ulg i luzów dla osób zatrudnionych literacko, nie zmieniając ani polityki kulturalnej partii, ani sytuacji literatury. O możliwości wprowadzenia w życie zapowiadzianych zmian sam minister musiał mieć pewne wątpliwości, bo mówi o nich niejako w trybie warunkowym: „Bez zmiany klimatu w wydawnictwach i kolegiach redakcyjnych...” Zwrot ten robi wrażenie, że zrzuca z siebie z góry odpowiedzialność za bezskuteczność swych zaleceń, co nie jest na pewno pomyślną wróżbą.

◆

Mimo skromnych wyników doraźnych, dyskusja wskazywała na możliwość pewnych luzów i ulg i na okoliczności, w jakich taka ewolucja stosunków mogłaby mieć miejsce. Obrady ujawniły przede wszystkim, że wszyscy uczestnicy, zaczynając od ministra, odczuwają potrzebę rozszerzenia ciasnych ram, w jakie wtłoczono pisarzy. Można stąd wnosić, że każda pomyślna okoliczność może posłużyć rozszerzeniu tych ram.

Z referatu ministra wynika, że literatura ma pozostać nadal pod kierownictwem partii, która będzie jej wyznaczała zadania wychowawcze i propagandowe, odrzucając wszystko inne jako resztki „formalizmu”. Taka sytuacja literatury nie jest w zasadzie zupełną nowością, zwłaszcza w Polsce, gdzie od kilku pokoleń krytyka i czytelnicy przywykli oceniać literaturę z punktu widzenia użyteczności społecznej.

Literatura dydaktyczna posiada zresztą piękne tradycje. *Georgiki* Wirgiliusza np. są klasycznym przykładem utworu powstałego z zamówienia społecznego, sformułowanego przez najwyższe władze państwowe. Poeta miał w nim streścić tradycje rzymskiego rolnictwa i przedstawić urok życia wiejskiego w celu zatrzymania na roli uciekających do miast osadników wojskowych rzymskiego cesarstwa. Mówiąc nawiasem, w tym samym utworze, w rozdziale o hodowli kóz, znajdując się, niby niespodziana interpolacja, zdanie, uchodzące od czasów Petrarri za klasyczne sformułowanie odrębności powołania poety, obcego innym sprawom ludzi:

*Sed me Parnassi deserta per ardua dulcis
Raptat amor. (1)*

(1) Lecz mnie słodka miłość uprowadza na wysokie pustkowie Parnasu.

Trudno orzec czy *Georgiki* spełniły włożone na nie zadanie społeczne, bo nie zachowała się o tym żadna wiadomość. Kto jednak miał sposobność widzieć osadników wojskowych musi wątpić, aby jakiegokolwiek wiersze mogły powstrzymać ich od opuszczania gruntów nie przynoszących dochodu. Cesarz i gubernator Galii cyzalińskiej, dając takie zamówienie, przeceniali zapewne znaczenie wychowawcze i propagandowe literatury.

Świetnych przykładów literatury dydaktycznej dostarcza także wiek Oświecenia. Z wielkim pożytkiem dla dających i otrzymujących zamówienia, prof. Kott mógłby napisać historię literatury dydaktycznej. Jeżeli piśmiennictwo polskie ma pozostać zamknięte w granicach tego rodzaju literackiego, niechże kierownicy i kierowani zapoznają się z arkanami i doświadczeniami tej sztuki.

Nie wiem jak centralne organy partii oceniają praktyczne możliwości wychowawcze i propagandowe literatury pięknej, ale podejrzewam, że — mając w pamięci rolę słowa w ruchach rewolucyjnych — przeceniają jego znaczenie. W rękach władzy ustalonej słowo nie posiada więcej takiej wagi. Kwintylijan twierdził, że ten jest najwymowniejszy kto ma najważniejszą rzecz do obwieszczenia. Dlatego proza, chociażby niedołączna, lecz zapowiadająca wielkie przemiany, znajduje z natury rzeczy wielu pilnych czytelników. Literatura służąca rządowi ustalonemu i rywalizująca niejako z obwieszczeniami oficjalnymi nie może wywoływać wielkiego zainteresowania. Prekursor dzisiejszych dyktatorów, Napoleon Bonaparte, urodzony w wieku Oświecenia, przeceniał również siłę słowa. Skonfiskował drukarnie i obsadził całą prasę swymi publicystami. Nie był z nich jednak nigdy zadowolony. „Piszą — mówił — jak gdyby sami nie wierzyli temu co piszą”. Czy nie za wiele od nich wymagał? Podobne doświadczenia musieli zrobić wszyscy sternicy literatury i publicystyki kierowanej.

Nawet oceniając trzeźwo wartość literatury jako narzędzia władzy, rządy wyszły z przewrotów ulegają w stosunku do niej różnym koniecznościom. Literaturę martwą i żywą dziedziczą wraz z kolejami, zakładami przemysłowymi i drukarniami po rządach poprzednich i muszą tym spadkiem jakoś administrować. Dając wreszcie do uspokojenia wzburzonych przewrotem umysłów i do legalizacji okólnymi drogami swej władzy, wszystkie rządy dyktatorialne muszą liczyć się z imponderabiliami, na które rządy dawno ustalone mogą nie zwracać uwagi. Dla tych przyczyn w oczach wszystkich dyktatur od czasów Juliusza Cezara obłaskawienie środowisk artystycznych i literackich uchodziło za rzecz potrzebną i użyteczną. Leży przede mną hiszpańska gazeta, w której czytam, że generał Franco, z okazji nadania mu tytułu doktora h. c., wypowiedział niedawno w Salamance mowę zawierającą m. in. taki passus: „Każdy ustrój polityczny mający znaczenie dla historii narodu wymaga nie tylko silnych i zwartych organów władzy wykonawczej, lecz także uświetniającej go współpracy mniejszości oddających się spr-

wom nauki i kultury”. Istnieje więc w tej mierze *consensus dictatorum*. Tym ogólnym motywom literaci zawdzięczają różne, być może nieistotne lecz łaskawe, gesty dzierżących władzę.

Są to oczywiście motywy okolicznościowe i cele doraźne. Cała jednak polityka rządów komunistycznych w stosunku do literatury nosi cechy tymczasowości i nawet pewnego rodzaju defensywy przed literatami. Do taktyki wyraźnie defensywnej należy np. przepisywanie literatom recept nie dających się wytłumaczyć w żadnych jasnych terminach. Sposobu tego zażywali zazwyczaj władcy Wschodu, wydając w kłopotliwych sytuacjach niejasne rozkazy, aby zachować możność chwaleń lub ganień tego samego wyniku, stosownie do późniejszej potrzeby. Ta chyłtrość wschodnia jest zapewne pozostałością po czasach Barii i panowania Kaukazczyków.

Sama zresztą recepta realizmu socjalistycznego zdradza rysy przypadkowej improwizacji. Podobnie jak terminologia teoretyków partyjnych jest echem filozofii niemieckiej z czasów Marxa, ich teorie literackie są echem logomachii krytyki rosyjskiej XIX wieku. Patrząc na wzory realizmu socjalistycznego nie waham się rozpoznać w nich tego co Skabiczewskij nazywał *realizm w mundirie prekrasnoduszja*. Te rupiecie krytyki, wyniesione przypadkowo na powierzchnię wód przez wir wypadków, nie mają na dłuższą metę racji bytu. Można przypuszczać, że w miarę postępów uprzemysłowienia ludzie posługujący się nowożytnymi maszynami i narzędziami pracy zapragną używać również pojęć i terminów mniej staromodnych.

Rząd warszawski i jego polityka kulturalna nie wyszły jeszcze z fazy tymczasowości i improwizacji. Wraz z stabilizacją stosunków może tam jednak powstać jakiś projekt, chociażby wzorowany na planowaniu gospodarczym, projekt praktycznego zagospodarowania zjawisk literackich. Projekty takie mogą się okazać niewykonalne dla przyczyn tkwiących w nich samych lub w aparacie władzy. Rządy powstałe z przewrotów i rewolucji sprzyjają pojawieniu się na wszystkich szczeblach władzy ludzi, u których żądza rozkazywania i podporządkowania sobie innych góruje nad wszystkimi pozostałymi instynktami. Obecność ich paraliżuje każdą instytucję i wszelką pracę wymagającą namysłu, mogą więc łatwo zmienić literaturę kierowaną w klatkę z małpami.

Jeżeli jednak uda się przezwyciężyć te i inne przeszkody, i kierowanie literaturą z systemu zakazów i represji — „obrażania i znieważania ludzi”, jak mówi ob. Sokorski — zmieni się w coś bardziej praktycznego, wówczas i zagadnienie luzów i swobód nabierze konkretnego znaczenia. Sternicy literatury będą się przede wszystkim musieli liczyć z właściwościami organizacyjnymi samej materii literackiej i miarą czasu właściwą zjawiskom literackim.

Napisanie dobrej książki — niezależnie od talentu autora — wymaga kilku lat pracy. Wiemy np., że pierwsze powieści dające obraz wojny 1914-1918 zaczęły się pojawiać dopiero w wiele

lat po jej zakończeniu. To samo dotyczy powieści z wojny hiszpańskiej i drugiej wojny światowej. Literatura reaguje na tematy aktualne ze znacznym opóźnieniem. Tematy kielkujące dziś w głowach pisarzy ukażą się w księgarniach dopiero za kilka lat, być może po wielokrotnych zmianach kursu, jakie tymczasem nastąpią w polityce literackiej. Nikt więc nie potrafi ocenić bez błędu dziś ich późniejszej przydatności wychowawczej czy propagandowej. Rozpoznanie braku pewnych kryteriów do takiej oceny może stać się źródłem różnych luzów i swobód.

Spóźniając się za aktualnością doraźną faktów, utwory literackie posiadają aktualność własną, wynikającą z ich formy. Odróżnianie formy od treści i odmierzenie miejsca przypadającego tym dwóm domniemanym elementom dzieła sztuki nic właściwie nie znaczy i jest tylko bronią daną do ręki kapralom wykonującym ochotniczo nadzór nad literaturą. Jeżeli kierownikom literatury okażą się potrzebne książki o głębszym zasięgu, zostawiające ślad w pamięci czytelników, będą musieli rozluźnić przepisy i — jawnie czy przez tolerowanie odchyłań — dopuścić trochę zakazanego formalizmu.

Z deklaracji ministra Sokorskiego widać jasno, że partia nie zamierza ustąpić nic ze swej władzy i ambicji, i że jakies praktyczne swobody literatury staną się możliwe w granicach tego systemu dopiero wówczas, gdy ustanie pośpieszna improvizacja i gdy zagadnienie literatury kierowanej dojrzeje do przemyślenia na serio.

PaWEŁ HOSTOWIEC

NAKLADEM CZYTELNIKÓW

Janusz Jasińczyk donosi nam, że na dzień 1 sierpnia 1954 miał 642 opłacone zgłoszenia na swą powieść „Słowo o bitwie”, która wyjdzie nakładem czytelników (o czym pisaliśmy w poprzednich numerach *Kultury*). Ponieważ autor obecnie kończy powieść i zamierza oddać ją do druku we wrześniu, ulgowe wpłaty (13/6, 2 dol., frs. 675 lub DM 10,60) przyjmowane będą tylko do 20 września (decyduje data stempla pocztowego, 15. 9. 1954) na adres: *J. Poray-Biernacki, 47 Earls Court Road, London W. 8, England*, albo (z Francji i Niemiec) na adres *Kultury*. Po tej dacie książka kosztować będzie 17/6 albo 2,50 dol.

Teodor Bujnicki

(PORTRETY POLSKICH POETÓW)

Jego nazwisko nie zostawi śladu w historii polskiej literatury. Do mnie należy władza wydobyć go z zapomnienia, czego nie spodziewałem się wtedy, kiedy zbliżałem się do niego z miłością i szacunkiem. Dla doraźnych celów politycznych ci i owi mogą o nim jeszcze pisać, przedstawiając go jako męczennika czy zdrajcę. Ale maska, jaką mu włożą będzie miała mało wspólnego z jego twarzą. Aż ci co go znali wymrą i zostanie najwyżej dźwięk, wymawiany przy odczytywaniu list autorów przez specjalistów rzadkich druków.

Do opowieści muszę wprowadzić dużo szczegółów autobiograficznych. Natykam się zaraz na wstępie na opór wewnętrzny. Każdy piszący chroni zazdrośnie skarbu swoich doświadczeń, zawsze mając nadzieję wykorzystać go w odpowiednim momencie, możliwie w pełni, w formie jaka najbardziej do tego jest sposobna. Uprawia politykę skąpca, nie chce rozstawać się zwłaszcza z obrazami swego dzieciństwa i wczesnej młodości za łatwo. Ostatecznie, jeżeli nie w wierszu czy powieści, to w pamiętnikach da się może uchwycić całą prawdę, kiedy czas uwolni nas od fałszywej ambicji i obaw. Jednakże przyspieszenie historyczne czyni nadzieję pamiętnikarstwa złudną. Co niestety jest prawdopodobne to utrata znaczenia niektórych indywidualnych losów, na tej samej zasadzie na jakiej po odległym wrześniu 1939 roku każdy w Polsce, kto próbował opowiadać o swoich niezwykłych przygodach, spotykał się ze śmiechem słuchaczy: „Wiemy, wiemy, przychodzę do Garwolina a Garwolin się pali”. Może więc lepiej eksploatować surowiec póki można, zamiast oddawać go na wieczne przemilczenie.

Inna, poważniejsza obiekcja. Szczegóły autobiograficzne są zawsze częściowe. Otwartość jest niemożliwa, ponieważ wymagałaby sięgnięcia zbyt głęboko we własne życie, w tę sferę, w któ-

BUJNICKI Teodor (ur. 1907). Poeta z wileńskiej grupy „Żagary”. Wydał: „Poomacku”, Wilno 1933; „W połowie drogi”, Wilno 1937.

rej sądzi się siebie. I nigdy bezstronnie. Albo za pochlebnie, albo zbyt ostro. Literackie przebrania polegają na odsłanianiu tego, co się da, na wysiłku żeby znaleźć na to środki. Przez sztuczność formy osiąga się szczerłość, piętząc przeszkody, przez zwycięża się przeszkody. Tęsknota do bezpośredniej łączności z innymi jest w nas wielka. Ale nie zdobywa się jej niestety, a każdej spowiedzi grozi misterne zafalszowanie. Dlatego w „bepośredniej” pracy o tych których znałem powinienem trzymać się granic, zakreślonych przez cel, nie ludząc nikogo pozorami gawędy.

SIÓDMA KLASA

W klasie siódmej A państwowego gimnazjum imienia Króla Zygmunta Augusta w Wilnie byłem niesfornym i złym uczniem. Licząc się z tym, że cyfry nie znaczą już nic dla wielu czytelników, przypominam, że gimnazja były ośmioklasowe, a w ostatnim roku zdawało się maturę. Wtedy, to jest w roku szkolnym 1927-1928, przeżywałem kryzys zainteresowań. Odłożyłem na bok „Szlakami Wiedzy” Nusbauma-Hilarowicza i „Szkice ornitologiczne” Sztolcmana, już niestety widoczne było, że nie stanę przyrodnikiem a szkoła nie dostarczała mi ujęcia dla pasji literackich czy filozoficznych.

Toczyłem straszliwe walki z naszym księdzem prefektem. Nasz, jak go nazywaliśmy, Chomik, mały, z krągłą twarzą i zacisniętymi wargami, był człowiekiem o dużej koncentracji wewnętrznej, odznaczał się siłą woli i fanatyzmem. Nienawidził Szatana, jego działanie wśród młodzieży upatrując i w niedowiarstwie i w pociągu do dziewcząt. Chomika można uważać za ofiarę jego własnego ascetyzmu, bo nawiedzały go różne przywidzenia. Tak więc kiedy raz zajrzał do klasy w czasie przerwy i spojrzął na tablicę, poczerwieniał i pobiegł do dyrektora. Czekaliśmy co z tego wyniknie, nie ruszając nic na tablicy. Dyrektor przyszedł, a że był fizykiem, roześmiał się, bo rysunek przedstawiał aparaturę elektryczną, a nie, jak zdawało się Chomikowi, narządy płciowe. Chomik żył otoczony przez Grzech, który rozpoznawał po grubym głosie niektórych uczniów, paleniu przez nich papierosów w ustępie, nieprzyzwoitych żartach, bo po nich następuje specjalny śmiech. W dodatku mieszkał przy ulicy Garbarskiej, gdzie w bramach wystawały dziewczęta złego prowadzenia (nasze miasto słynęło z domów publicznych równie jak z ilości kościołów). Co do lęku przed Grzechem, nie różniłem się bardzo od niego, więc istniała między nami wspólność, zwiększająca napięcie. W dziedzinie filozofii i historii najwięcej wyniosłem ze szkoły, studiując z zapalem podręczniki dogmatyki, apologetyki i historii Kościoła — one nie stanowiły zbieraniny luźnie rzucanych dat i nie nosiły piętna prowincjonalnie-polskiego, z nich wylaniały się dzieje całej cywilizacji. Pytania przeze mnie zada-

wane doprowadzały Chomika do szału i wyrzucał mnie często z klasy, czasem tylko za niestosowną, ironiczną minę. Otwarta wojna zaczęła się, kiedy zażądał od uczniów, żeby przedstawiali mu paski papieru, które dostawało się w konfesjonale — służyły do kontroli, że przystąpiło się rzeczywiście do spowiedzi. Powiedziałem, że jak tak, to do spowiedzi chodzić nie będę. Wydawała mi się ta kontrola pogwałceniem świętości religii i zamachem na wolność sumienia. Skłonności do indywidualistycznego protestantyzmu były we mnie silne, choć ten bunt Chomik uważał raczej za zwyczajną bezbożność.

Z posiekanych na daty podręczników historii nie rozumiałem nic. Nasz historyk, Kołaszewski, sama dobroć, na próżno próbujący udawać surowość, mówił źle po polsku, nazywaliśmy go z białoruska „diadia Kałaszewski” (Jego styl: tak wot, on kazał wykopać wielka kanawa”, opowiadał o jakimś strategu i jeżeli uczeń nie umiał wykrzykiwał: „A psiądz, pałka tobia”). Kałaszewski zagroził mi, że postawi dwóję, jeżeli nie nauczę się jak należy Rewolucji Francuskiej. Wziąłem więc „Rewolucję Francuską” Krapotkina, wszystko zrozumiałem i kiedy recytowałem daty, nazwiska, komentarze anarchisty, spoważniał i dał mi dobry stopień. Zdobyłem protektora.

Pokój nauczycielski przez cały pobyt w szkole pozostał dla mnie miejscem tajemniczym. Żadne miejsce o równej sekretności dla mnie dzisiaj nie istnieje, nad czym ubolewam. W tym pokój odbywały się, oczywiście, starcia opinii, Chomik miał tam swoich popleczników i przeciwników, do najzawziętszych przeciwników należał Alfred Rożek, łacinnik, socjalista, „galileusz”. Na cześć Rożka, który kochał Owidiusza, Horacego i Wergilego i nam umiał trochę tej miłości wpoić może jeszcze kiedyś napiszę hymn.

W tej to siódmej klasie spotkał mnie zaszczyt, zawdzięczałem go potrosze walkom z księdzem, lekturze pism literackich i w ogóle nie sportowym ale intelektualnym upodobaniom. Zostałem wciągnięty do KONSPIRACJI.

Gimnazja w naszym mieście dzieliły się na pierwszego rzędu i drugiego rzędu. „Dobrze” było chodzić do Zygmunta Augusta, Lelewela, do żeńskiego Orzeszkowej czy (to już nawet lepiej niż do państwowych) do szkół zakonnych: Czazaretanek, Jezuitów. „Gorzej” do Mickiewicza, Słowackiego, czy do Czackiego, gdzie przyjmowano tych, których wyrzucono ze wszystkich innych szkół. Lista nie obejmuje szkół żydowskich, litewskich i białoruskich — to już był zupełnie inny świat. Dlaczego? Dlatego, że inaczej życie byłoby zbyt proste.

Organizatorzy konspiracji chcieli przeniknąć do „lepszyc” gimnazjów państwowych, bo tam widzieli młodzież na której im najbardziej „zależało”, najżywszą umysłowo i zapowiadającą się na przywódców. Szkół zakonnych woleli nie tykać, tam już bariera dobrego urodzenia i reakcyjności była za mocna. Do „komórki” najlepiej nadawali się więc uczniowie Zygmunta Augusta, Lelewela i uczennice z Orzeszkowej.

Wciągnął mnie kolega z ósmej klasy (ta rozmowa kiedy chodzi się w czasie przerwy śliskimi parkietami korytarza). Miałem dla niego podziw i ufałem mu całkowicie. Przyjąłem zaproszenie z radością.

Ale kto stał wyżej? Gdzie zbiegały się nici? Wymieńmy to imię: Cezaria. Była profesorem i żoną profesora, który wykładał na uniwersytecie prawo polskie oraz historię ustroju Polski i Litwy, Ehrenkreutz. Była córką innego profesora o głośnym swojego czasu nazwisku: Baudouin de Courtenay. Pamięć dynastii i wielkich liberałów i wolnomyślicieli tak przygasała, że nie rozpoznaje się cech jej tylko właściwych. Zajmowałem się kiedyś postacią Mariana Zdziechowskiego, za którego rektoratu w Wilnie rozpoczynałem swoje studia uniwersyteckie. Zdziechowski, konserwatysta, pesymista i katolik dotknięty modernizmem, to ostatecznie brat mleczny profesora Baudouin de Courtenay: ta sama pasja współczucia dla wszystkich istot żywych, wepchniętych w więzienie świata, za którego bramą czeka śmierć; ten sam protest przeciwko niesprawiedliwości istnienia. Baudouin de Courtenay, ateista wspaniały — bo nie w imię nauki, ale w imię moralnego oburzenia, tak określał swój stosunek do Boga: „Widzę w świecie tyle zła, tyle niesprawiedliwości, tyle okrucieństw, że nie mogę odpowiedzialnością za te wszystkie ohydy obarczać nie tylko sprawiedliwego, ale także dobrotliwego i miłosiernego Ojca. Zwalanie win popełnianych przez bestię ludzką na Stwórcę i Opatrzność jest wprawdzie bardzo wygodne, ale zarazem bezmyślne i niemoralne”. I dalej: „Nikczemne bydlę ludzkie wmawia w stworzonego na obraz i podobieństwo własne Boga swe zbrodnicze i sadystyczne popędy, nazywając jednocześnie tego swego Boga nie tylko sprawiedliwym, ale także miłosiernym. Człowiek, który by sobie pozwalał na coś podobnego, byłby uznany za zbrodniarza, ale Bóg jest czczony właśnie za to, że jest Bogiem zemsty” („Mój stosunek do Kościoła”).

Brzmi to jak wyznanie jednego z bohaterów powieści „Dzuma” Alberta Camus, napisanej w wiele lat po śmierci tego polskiego Konrada.

Oto z jakiego środowiska, z jakiej tradycji przychodziła Cezaria, etnograf z wykształcenia, później żona Jędrzejewicza, ministra.

Cel przenikania do szkół był polityczny. Nie chodziło jednak wcale o „urabianie” młodzieży w przepisany kierunek. Jeżeli młodzi zaczną czytać i dyskutować — tym samym są już wyrwani z bagna sienkiewiczo-antysemicko-nacjonalistycznego — takie, zdaje się, przyjmowano założenie. A więc infiltracja „sanacyjnej lewicy”, „naprawiaczy” — nigdy w to później bliżej nie wnikałem. Ten paradoks: po zamachu Piłsudskiego, już mając władzę w państwie, tworzyć „komórki” w tajemnicy przed dyrekcją gimnazjów. A zresztą może i dobry sposób, lepszy niż późniejsza „Straż Przednia”, przymusowa nieoficjalność ma swoje zalety, a sekret podnieca.

Organizacja nazywała się „Pet”. Posiada ona swoją historię, ale to już do mnie tutaj nie należy. Wspominam ją i postacie, które dzięki niej poznałem, z wdzięcznością. Przyjaźń, dyskusje, książki, braterstwo. Grono składało się z kilkunastu chłopców i dziewcząt, niektórzy zstępowali już z wyżyn pierwszego roku uniwersytetu. Nie wszystkich losy mogłem później śledzić. Ten, który mnie wciągnął, został katolickim teologiem. Inny wslawił się jako autor grubych tomów. Dwumetrowy Jacha, mistrz siatkówki i logistyk, zginął niewiadomą śmiercią jako oficer gdzieś na wschód od Bugu w roku 1939, publicysta Plumbum umarł w Komi.

Teodor Bujnicki był sławnym człowiekiem. Przede wszystkim w swoim gimnazjum Lelewela, gdzie wszyscy schylili czoło przed jego poetyckim talentem. Również w gimnazjach żeńskich, a nawet u nas, u Zygmunta Augusta. Jego wiersze liryczne i satyryczne, piosenki, niesłychana łatwość pisania pasowały go na niemal wieszczą, a nie w nim nie kryło się z nadętości i z celebracji. Malutka, ruchliwa kulka, okrągłe policzki, czuprynka granatowo-czarnych włosów, piwne oczy pełne śmiechu. Kipił entuzjazmem, czego dotknął, stawało się powodem do zachwytu — i do ciągle nowych pomysłów. Jeżeli się nie mylę, kiedy znalazłem się w „Pecie”, gdzie był jednym z najczynniejszych, już zdał maturę i studiował historię (był starszy ode mnie o kilka lat).

Uściskałem więc dłoń prawdziwego poety. A w dodatku odwiedzałem go u niego w domu, bo tam najczęściej odbywały się zebrania. Pożyczał mi tomiki Tuwima, Iwaszkiewicza, Słonimskiego, Wierzyńskiego, Lechonia i zeszyty „Skamandra”. To, o czym dyskutowaliśmy, zapadło się w te strefy pamięci, skąd nic już nie da się wydobyć. Głównie o różnych książkach, choć nie o Książce.

Bo mieliśmy Książkę. Gruby zeszyt w czarnej sztywnej oprawie. Każdy, kto ją dostał na kilka dni, zobowiązywał się wpisać do niej to, co chciał, byle zupełnie szczerze i tyle ile chciał, pół strony czy dziesięć stron. Wyznania, spostrzeżenia, myśli, wiersze. Zaciekle polemizowano z tym, co wpisali poprzednicy i w ten sposób rósł dziennik lubiących się serc. A mówić o Książce nie należało. Sekret nas łączący. I dziwne wrażenie — przychodzi na zebranie dziewczyna z gimnazjum Orzeszkowej, siedzi, nic nie mówi, a potem czyta się jej niemal spowiedź (nie brakowało na tych kartkach wrzasków bólu): więc jednak aż tyle jest w każdym człowieku, nawet noszącym spódnicę? I później, witając się z nią na ulicy, mija się ją z poważną przyczyną do zamyśleń.

Spiritus movens naszej grupy, Dorek Bujnicki, skąd się wziął w Wilnie? Familia Bujnickich była dość znana, średnia a nawet większa szlachta, siedziała w Brasławszczyźnie, w pasie wielkich jezior. A Dorek, żeby prawidłowość emigracji do miast się potwierdziła, miał już tylko wujków i pociotków pesesjonatów, matka jego pracowała jako urzędniczka banku. Ich dom nie taki, jak niektórych moich kolegów szkolnych, na przykład

Zawadzkiego (z rodziny słynnego wileńskiego drukarza): tam onieśmiały mnie błyszczące posadzki i cygaro starego i w ogóle fumu bogactwa, więc przyjaźń z Jurkiem, przez moje poczucie tam u nich śmieszności, została zahamowana. U Dorka co innego. Artystyczno-naukowa atmosfera, jego pokój wydzielony był z korytarza szafami i zasloną na sznurze.

Chomik mylił się podejrzewając mnie o Grzech. Rzekomy Grzech i fałszywie gruby głos stanowiły tylko fasadę. Pochłaniałem literaturę współczesną, czytałem (w ósmej klasie) „Wyznania” Sw. Augustyna i „Doświadczenia religijne” James’a. W jednym wiec tylko podejrzenia okazały się słuszne: należałem do masonerii.

Spotykając Dorka, czułem miłe podniecenie: zaraz ukażą się na stole zeszyty czasopism poetyckich, będziemy czytać głośno wiersze i wykrzykiwać: „Wspaniałe!”, pokaże mi też swoje utwory. Sam, jeżeli próbowałem pióra, nie chwaliłem się tym raczej. Ale wypełniałem Książkę uczciwie polemikami.

Niebieska koszula Dorka i żółtawy papier stronic „Skamandra” i wiersz Słonimskiego, który go upajał; zaczynał się:

*„W miedzianym pobrząku drewniany brzmi stuk,
Gdy z tarczą na rękę i z chartem u nóg
W jarmarczne wpadasz namioty”.*

„Zielono w mej głowie i fiołki w niej kwitną” Wierzyńskiego było dewizą życiową Dorka. Bo poezja służy do upicia się światem.

KLUB

Alma Mater Vilnensis z której piersi ssałem mleko wiedzy — to staroświeckie zdanie jest dla mnie pełne uroku — tak różniła się od uniwersytetu funkcjonującego w Warszawie jak złocona karoca różni się od Forda model 1925, jak drzewo różni się od słupa z sygnałem. Mury takie jakie powinna mieć academia. Skarpy. Arkady. Do sal na piętrze szło się nie po schodach, a po równi pochyłej wyłożonej czerwonymi cegielkami. Trzeba było widzieć senat uniwersytecki w togach, berety, łańcuchy, pochody studentów, fantastyczne potwory fabrykowane przez Wydział Sztuk Pięknych, wtajemniczenie nowych adeptów w początku roku z beanusem, który rozśmieszał publiczność. I ten uniwersytet, i malownicze miasto na pagórkach, nad Wilią i Wilenką i cały kraj wód, lasów i jezior i być może fakt, że pochodzę z pięknego środka Litwy na północ od Kowna — złożyły się na moją późniejszą obcość na Mazowszu, krainie dla mnie żalostnej i jakby przydeptanej.

Jednym z pierwszych wrażeń na uniwersytecie był widok ciężarówki, na którą drapali się chłopcy w wielkich czarnych

beretach. Rdzawe liście kasztanów i twarz jednego z nich — chuda, z lekko łukowatym nosem — tak jak na rycinach przedstawiają renesansowych uczonych. Od Dorka dowiedziałem się, że nazywa się Robespierre. Bo w Klubie wszyscy nosili przydomki. Wkrótce stałem się członkiem-kandydatem Klubu.

Studenci przechowywali tradycje, wywodzące się z Rygi i Dorpatu, tzn. działało wiele korporacji, stanowiących zrzeszenie dobrego samopoczucia. Ci co byli socjalnie „bardzo dobrze” mogli dostać się do „Polonii”. Mniej wymagań stawiała „Batoria”, a chudziny odprawiały swoje deklowo-rapierowe obrzędy w „Concordii”, „Cresowii” itd. Z ciekawości skorzystałem z zaproszenia i zwiedziłem lokal „Polonii” — jeden z Miłoszów figurował wśród jej założycieli w Dorpacie, stąd względy. Ale uciekłem. Te zbroje i kufle piwa i sale fechtunku — to nuda. Co prawda, gdybym tam się zapisał, uzupełniłbym braki swego półdzikiego wychowania, co nigdy nie nastąpiło. Trudno.

Moje dostanie się w całkiem inne środowisko było oczywiście nieuniknione. I ze względu na Dorka i na moje gusty. Klub — to nic innego niż Akademicki Klub Włóczęgów, manifestujący swą pogardę dla korporacji i dla ich stylu życia. Tamci noszą dekle — to my będziemy nosić wielkie czarne berety, opadające na ucho, z jaskrawo żółtym chwastem dla kandydata, czerwonym dla pełnego włóczęgi. Tamci kochają sztandary — to my za godło obieramy długi kij pielgrzymi. Tamci są za drylem i dyscypliną — to my jesteśmy za wolnością zupełną. I zamiast nocy przy trunkach i kartach wolimy dnie w słońcu, na drogach, na rzekach, albo na zaśnieżonych górach z narciami.

W owym okresie istnieli już seniorzy Klubu. Zygmunt Na-górski, Wysłouch, czy też zabawny gnom Gasiulis. A wśród aktywnych rej wodził Kilometr, nazwany tak z powodu wzrostu (później lekarz okrętowy na „Darze Pomorza” i wreszcie lekarz w Ugandzie).

Oczywiście że te dryblasy to byli Filomaci, rozbijający swoje biwaki dokładnie w tych samych miejscach, co tamci sprzed górą stu lat: Ponary, Jaszuny, Zielone Jeziora, Puszcza Rudnicka. To można stwierdzić z odległości czasu, a wtedy nikt z nas nie myślał o naśladownictwie. Klub był żywy, wynikał z potrzeb. Następująca na przykład piosenka spełniała tę samą rolę, co pijackie piosenki Filomatów:

*Całą noc alkohol chlali
Padło żygał, Bachus kłął,
Oleś gwałcił Eulalię
Klukwa wstawił się jak koł.*

I alkohol i Eulalia należą do sfery fantazji. Nie przysięgaliśmy abstynencji, ale upijaliśmy się najczęściej mlekiem, a raz, na Wielkanoc, koło Legaciszek, każdy z nas wypił mleka tyle

(bo gorąco), że nie mogliśmy wstać i kulaliśmy się wśród śmiechu i jęków.

Klub miał sekcję ZNAJ to jest Zmarnowanej Niedzieli Ani Jednej, a zmarnowana to nie spędzona na wycieczce. Poza tym naszą pasją były mapy. Bo prowadzi się palcem i mówi się: tędy — i nic nie zdoła przekonać, że z jakichś przyczyn to trudne albo niemożliwe. Trzy wielkie wyprawy odbyły się za moich klubowych czasów. Piechotą z Wilna do Cieszyna — z tą poprawką, że wolno korzystać z wszelkich środków lokomocji ale darmowych (auto-stop wtedy nie istniał i dopędzając piechotą samochód, który minął nas wzniecając kłęby kurzu, a następnie nawalił mu motor albo kicha, śpiewaliśmy szyderczą pieśń, zaczynającą się od słów: „zatkał się samochód hardy”). W marszu do Cieszyna wzięli udział między innymi Dorek Bujnicki, czyli Amorek (wyglądał jak to imię: figlarny bożek) i Robespierre. Cel został osiągnięty. Druga wyprawa: kolejną do Pragi czeskiej, tam kupić używaną kanadyjkę, bo taniej, przejść Alpy Bawarskie, kanadyjką spłynąć jeziorem Bodeńskim do Renu, Renem do Strassburga. Wyruszyliśmy we trójkę: Robespierre, Słoń i ja, a zaznaliśmy przygód, których nie spisać na wołowej skórze. Był to rok 1931. Cała młoda Europa latem wędrowała, Niemcy południowe pokryte były siecią Deutsche Jugend Herbergen, gdzie za kilka fenigów dostawało się kawę i nocleg. Już wkrótce towarzyszy naszych kolacji i noclegów miał zorganizować w marszowe kolumny Hitler. Mój pierwszy wyjazd na zachód — przy prawie zupełnej nieznajomości Polski poza Wileńszczyzną. Ocenilem żelazną wolę Robespiera i miłe lenistwo Słonia. Trzecia wyprawa: z Polski do Konstantynopola kajakiem. Marszruta wydaje się nierealna a przecie trasa została przebyta — dopływami Dunaju, Dunajem, Morzem Czarnym. Dowódcą był Kilometr, szły trzy kajaki, sześć osób, jedną z nich był Dorek-Amorek, który, choć drobny, niezłe garnął wiosłem. Więc, westchnąłby tutaj ktoś nie pamiętający owej ery, tamta dawna Europa, nie pocięta żelaznymi kurtynami, to jednak... A skąd pieniądże? Nie było ich, ale się znajdowały.

Klub był z gruntu antysportowy, lekkoatletyką, footbalem gardził, uznając tylko te zrzędnosci, które pozwalają się przemieszczać z miejsca na miejsce. I wiele wagi przywiązywał do spraw ducha. Tym tłumaczy się pozycja Bujnickiego, jako wesołego barda. Zresztą lubiany był powszechnie również za swoją łatwość obcowania z ludźmi. Trudno o bardziej towarzyskie stworzenie. Ale może w tym, że dobry, miły, nigdy nie odgradzający się samotniczo od innych, tkwił zarodek jego późniejszej kłębki.

Piszących znalazło się w klubie wielu: Robespierre (opisy podróży, pełne poezji i humoru), Kilometr, Hałaburda et caetera. Ruchliwy w życiu studenckim, biorący udział we wszystkich imprezach w rodzaju zabijania smoka przed Katedrą, Klub ograniczał swoje polityczne zainteresowanie do wrogości wobec korporacji. Kpiono trochę z Kazimierza Hałaburdy (to nazwisko nie przydomek) ale to mu nie przeszkadzało być Włóczęgą i działa-

czem Obwiepołu (Obóz Wielkiej Polski, organizacja „narodowa”, ONR wtedy jeszcze nie istniał) równocześnie.

Były to lata 1930, 1931. Kula rewolwerowa, która miała zabić Teodora Bujnickiego pewnie wtedy jeszcze nie była odlana.

S.T.O.

Na uniwersytecie istniało Koło Polonistów z profesorem Manfredem Kridlem jako opiekunem, a przy Kole działała Sekcja Twórczości Oryginalnej czyli S.T.O. Prym w niej wodził oczywiście Bujnicki, otoczony plejadą bardziej tradycyjnych talentów. Kiedy zapisałem się do Sekcji (dostąpiwszy zaszczytu druku w „Alma Mater Vilnensis”) następowały tam zmiany. Pojawiali się kolejno nowi, a więc Jerzy Zagórski, studiujący wtedy prawo jak ja, tudzież poloniści Jerzy Putrament i jego przyjaciel Leon Szreder, a naukowymi zainteresowaniami wyróżniał się Zbigniew Folejewski.

S.T.O. wydała wtedy właśnie zbiorowy tom wierszy „Pamięć po niebie” i toczyły się spory o to, czyje wiersze dobre a czyje nie. Nasza mafia w sekcji, to jest zwolenników nowej poezji, ceniła tylko Bujnickiego, względy mając dla poetki Hannezki Kompelskiej (która później została żoną Robespiera) a przy innych nazwiskach wydymając pogardliwe wargi, co oczywiście przyczyniało różnych zadrażeń i bólów.

Pora przejść do poezji Bujnickiego. Bynajmniej nie burzycielska, spod znaku „Skamandra”, a przede wszystkim Wierzyńskiego, Słonimskiego, trochę Tuwima, odznaczała się jednak świeżością obrazów i miała wdzięk młodości, choć trudno wiedzieć jaka by mi się wydała dzisiaj. Już wtedy publikował pierwsze swoje wiersze Gałczyński, albo pod swoim nazwiskiem albo jako Karakuliambro i powtarzaliśmy z upodobaniem:

*„I zabił ją, i zabił w zachodu amarantach
Wielkim kuchennym nożem, na tle obrazu Rembrandta”.*

Czy:
„Szarlatanów nikt nie kocha. Zawsze sami”.

Do Gałczyńskiego ciągnęło Bujnickiego, bo tak jak rysowano go jako Amorka (czy jako jednego z tych barokowych aniołków w kościele św. Piotra i Pawła), tak i wewnątrz był okrągły, niezdolny do romantycznych rozpacz, figlarny. Główny autor tekstów do „Szopek Akademickich”, do których znakomite kukły sporządzał student Sztuk Pięknych Tadeusz Godziszewski, wyładowywał się w parodii, w rymowanym żarcie, w „społecznie użytecznej” fantastyce.

Co do innych, jak się to mówi, źródeł twórczości, był wilnianinem. Polskość swoją uznawaliśmy z pewnym ociąganiem

się, niechętnie, „Gente Lithuani, natione Poloni”, przejęci „wileńskością” i „tutejszością”. Gdyby historia potoczyła się inaczej, oburzalibyśmy się na każdego, kto by nazwał nas Polakami, podobnie jak oburza się Szkot czy Walijszyk nazwany nierozważnie Anglikiem. Trafiliśmy jednak na epokę, kiedy dogorywały wśród obudzonych nacjonalizmów resztki Jagielloniady a ostatni jagiellonida, Piłsudski, nie zdołał tego odwrócić, jako że przyczyny porażki były o wiele starsze: sięgały pewnie w sprawę rozwoju miast, rzemiosła i manufaktury, tylko on mógłby być zaważyć w siedemnastym wieku, w dobie rozgrywki z Rosją. Nie wydają tu bynajmniej tęsknych westchnień do przeszłości, stwierdzam.

Byliśmy, przynajmniej na uniwersytecie, ostatnim bodaj pokoleniem, które chciało, żeby jego kraj nazywał się „Litwa”. Gdyby (pozwólmy sobie na najczystsza fantazję) powstała była na tamym obszarze jakaś niby Belgia, złożona z Flandrii i Walonii, nasze miejsce byłoby tam, a nie w warszawskim Paryżu. Ale po krótkotrwałej Litwie Środkowej zostały tylko cenione przez filatelistów znaczki, bardzo ładne, właśnie z głowami z kościoła św. Piotra i Pawła.

W tym przyznawaniu się do kraju, czy tylko regionu tkwiła pewna śmieszność, wzmacniająca się z czasem, aż gruntownie już wzmocniona kiedy ogromne obszary Europy podzielono na zagrodki obwarowane drutami: „Ty jakim mówisz językiem? — takim a takim. To włazić tu!”.

A jednak u Bujnickiego (u jego kolegów też) uparcie powracały te „regionalne” motywy, przez obecność w jego utworach krajobrazu, albo przez brak pewnych elementów np. z fabryk widywaliśmy tylko garbarnie, tartaki i huty szklane.

Bujnicki był piłsudczykowo-lewicowy, humanista, pacyfista (czytało się przeciw kroniki Stonimskiego). Pisał o Żołnierzu Nieznanym pierwszej wojny, na ten temat — coś jak temat Oświęcimia po drugiej wojnie — ułożono mnóstwo wierszy. W niektórych jego utworach występował Nieznany Robotnik, bardzo mało konkretny. Przenosił też w ulice Wilna obrazy wyraźnie literackie, zapożyczone a więc zmieniające się w rekwizyty np. lubił przedstawiać poetę w kawiarni, trochę z sentymentem, trochę ironicznie (chyba umieszczał go w cukierni Rudnickiego, na rogu Katedralnego Placu. Poza tym istniał Sztrall Czerwony dla oficerów i dam, Sztrall Zielony dla grających w bilard i Sztrall Pocztowy, koło uniwersytetu, nawiedzany przez profesorów).

Naszą młodością w Wilnie, niezależnie od wszelkich głupot wiekowi właściwych, powinienem się szczyścić. Niekoniecznie z powodu studiów, zakończonych tylko dyplomem magistra praw. Przeczytane wtedy książki i wykłady inne niż prawnicze dały mi więcej niż teoria podatków pośrednich i bezpośrednich, czy nazwiska wielkich reformatorów administracji. Co prawda, jeżeli umiałem na pamięć cały kodeks karny, trud był okupiony słodyczą obcowania z profesorem Bronisławem Wróblewskim, który

niby wykładał prawo karne, a właściwie tak ten przedmiot podbudowywał, że wtłaczał w głowy studentów potężny ładunek socjologii. Teoria prawa i historia filozofii prawa równały się (czy raczej mogły się równać) kursowi historii filozofii. Historia ustroju Polski i Litwy wprowadzała w główne zagadnienie historii w ogóle. Co do Ricarda i Smith'a, teorii wartości, spizowego prawa płac to wolałbym nie zdawać drugi raz egzaminu z ekonomii przed obliczem profesora Zawadzkiego (też z rodziny słynnego drukarza). Pięciu delikwentów drżało w ławce, a on w kieszonkowym lusterku badał sobie wtedy język — czy nie biały po libacji.

Przyczyną do chluby może być i Klub i S.T.O. i mafie i przyjaźnie czyli to wszystko, co mnie, raczej egotycznego i pełnego zadziarów, wrywało samemu sobie. Bez przejścia przez to doświadczenie, pewne zjawiska znane z dziejów kultury pozostałyby dla mnie niezrozumiałe, a więc tawerna w Londynie szesnastego wieku, w której Marlowe z towarzyszami pili i recytowali wiersze, francuska „Plejada” czy wileńscy Filomaci. Wszelka twórczość powstaje ze związku czy ze zderzenia ducha z duchem, czasem te związki i zderzenia są ukryte, trudne do odcyfrowania, czasem proste. Temat krąży z rąk do rąk, następuje zarażanie się stylem, albo styl rodzi się ze sprzeciwu, z konkurencji.

Ulica Zamkowa, między Święto-Jańską i wylotem na ogród zwany Cieleńnikiem, a także zaułki od niej odchodzące — Literacki z jego dwiema antykwniami (tam mieszkał Mickiewicz), Bernardynski, mury spięte łukowatym przęsłem pod którym kocie łebki, drewniane stare bramy (zaglądając w podwórze widziało się galerijki wzdłuż ścian na wysokości pierwszego piętra). To, jeżeli wynurzaliśmy się z labiryntu uniwersyteckich dziedzińców (schodki, wykusze, arkady) był nasz główny teren krzątań się i mijań, jeżeli nie ulicą Bakszta w drodze do i z Mensy. Kraków uchodzi za miasto, w którym odczuwa się ciepło dawności, ale ustąpić musiałby pierwszeństwa tutaj Wilnu i Bolonii.

Zarzut jaki można postawić Bujnickiemu: za bardzo przystosowany był do życia w małej społeczności. Brakowało mu samolubstwa i patrzania spode łba, arogancji, pogardy, to jest wad, które są przykre i szkodliwe, ale nie zawsze tak szkodliwe, jak cnoty będące ich przeciwieństwem. Czyli, że był za mało niezgrabny, za mało śmieszny, za mało niewypierzony.

PISMO

Tęskniliśmy do własnego pisma. Redaktor Stanisław Maciewicz gościnnie zaproponował, żebyśmy wydawali przy jego „Słowie” dodatek literacki i jak to on, z gestem, zostawił nam wolną rękę do drukowania. „Słowo” uważaliśmy za gazetę reakcyjną, ale odnosiliśmy się do niego nie bez sentymentu. Było

ono organem „Żubrów” to jest konserwatystów siedzących na swoich majątkach w Wileńszczyźnie i Nowogródzkiej. Żubr jest zwierzęciem sympatycznym. Nikt nie obawia się, że rozmnoży się nagle i zelektryfikowany, zmotoryzowany, zagrozi dwudziestemu wiekowi żubrząc wszystko co napotka na swojej drodze. Dodaje leśnemu krajobrazowi malowniczości i trochę żal, że na pewno wyginie. A poza tym jego zapach był nam, co tu ukrywać, potomkom żubrów, raczej znany. Mackiewicz natomiast wzbudzał respekt, nie przez swoje monarchistyczne pomysły, ale przez wyraźną przyjemność, jaką sprawiało mu chłatanie piórem niby szablą. Wolność publicysty i gustowanie w wolności to przecie się wyczuwa i, bez żadnej przyjaźni do osoby Mackiewicza — przyjęliśmy propozycję.

My, to znaczy Bujnicki. On to urządził przede wszystkim. Oprócz niego było dwóch poetów: Jerzy Zagórski z Wołynia, który na uniwersytet zjechał z Warszawy i ja. A także jeden publicysta: Henryk Dembiński. I jeden krytyk literacki: Robespierre, który naprawdę nazywał się Stefan Jędrzychowski.

Ani nam śniło się wtedy, że swoim dodatkkiem, który nazwaaliśmy z litewską „Żagary” (albo Bujnicki to wymyślił albo ja, nie pamiętam) rozpetamy wrzask, nawet sejmowe interpelacje. Chcieliśmy mieć pismo literackie. A wszystkiego narobił Dembiński.

Syn maszynisty kolejowego, naturalnie jak to u nas z upadłej rodziny szlacheckiej (a do szkoły chodził w Oszmianie) miał wtedy dwadzieścia lat i studiował prawo. Wstępując na uniwersytet był działaczem „młodzieży narodowej”, rozczarował się i, jako że gorliwie religijny, wstąpił do organizacji katolickiej „Odrodzenie”. Jeden z tych, co to już w szkole wzbudzała podziw kolegów i nauczycieli, dla określenia zdolności których nie wystarcza stopień, natychmiast zabłysnął i stał się znaną osobistością w społeczności Stefana Batorego. Krasomówca, trybun „płomienny”, w każdym głosowaniu zagarniał dla siebie głosy w każdym razie studentek, bo ta szlachetność, ten żar, no i tak przystojny.

Napisał artykuł „Defilada umarłych bogów”, w którym rozprawił się z całym ustrojem kapitalistycznym. Gdzieżby tam z Żubrami. Do nich nie strzela się z armat. Przeczytaliśmy. „Prawdę mówi?” „Prawdę”. „No to walmy, aby figła Mackiewiczowi”.

Tak na wiosnę 1931 roku zaczęły wychodzić „Żagary”. Dziko krzyknięto i w Wilnie i w Polsce na Mackiewicza, że drukuje u siebie bolszewików. Ale zważmy: Dembiński, praktykujący katolik, bolszewikiem nie był. Po prostu przechodził, jak my wszyscy, swój Sturm und Drang Periode i nie mieścił się w politycznej skórze takiej, w jaką przybierała nas ówczesna polska rzeczywistość. Kłóciliśmy się ze sobą, bo poetom chodziło o literaturę, nas więcej interesowało jak zaatakować „Wiadomości Literackie” i Boya i Krzywicką, Jędrzychowski przyszedł z pomocą pisząc artykuł przeciwko Boyowi-Żeleńskiemu za jego seksualne kampanie („odwracanie uwagi od zagadnień istot-

nych”). Radykał, społecznik, Jędrzychowski wtedy albo już należał do organizacji piłsudczyków „Legion Młodych”, albo dopiero wstępował. Rozumieliśmy się z nim, my poeci, lepiej niż z Dembińskim, który tokował jak cietrzew.

Mieliśmy mnóstwo naszych literackich problemów. Choćby kogo w „Żagarach” drukować a kogo nie. Putrament przyniósł nowelę, kręciliśmy nosami że formalistyczna, popis stylu, a gdzie jakiś ludzki sens? Aleksander Rymkiewicz dał dobre wiersze. A także kwestia awangardy — zaczęliśmy wtedy ulegać wpływom grupy krakowskiej, najmniej Bujnicki, najwięcej — nowy nabytek pisma, Józef Maśliński z Lidy. W Krakowie interesował nas nie tyle Peiper, co Brzękowski, Czuchnowski, Przyboś. Po „Zwrotnicy” wychodziła „Linia” i krytykując ją a zarazem chwalać, Robespierre, jeżeli się nie mylę, machnął artykuł „Linia wpisana w koło”.

Nasze poglądy polityczne, jak je można określić z dystansu? Obserwując później, a zwłaszcza po drugiej wojnie, różne miotania się postępowe młodych Francuzów czy Amerykanów miałem dziwne uczucie gładzenia nieistniejącej siwej brody, ze zjadliwym uśmieszkiem. Od Polaków staroświeckiego chowu odstręczała mnie zawsze ich perspektywa „przestrzenna” to jest ich dywagacje o Wschodzie, Zachodzie, Polsce, Anglii, Francji, wziętych niejako osobno (co jest jedną z przyczyn ich kompleksu niższości wobec pewnych nacji), podczas kiedy świat należy ujmować też w perspektywie równoczesności i wtedy jest jeden. W okresie „Żagarów” byliśmy trochę jak molierowski pan Jourdain, kiedy nie wiedział że mówi prozą. Przede wszystkim jednak wyrażaliśmy swoje emocjonalne napięcia — prerażenie wobec tego co oglądaliśmy i przeczuwaliśmy. Był to krzyk: „Jak to? Czyż nie widzicie co się dzieje? Czyż nie widzicie że świat się pali? Dlaczego zachowujecie się jakbyście tego nie widzieli?” Ale czego chce Cassandra, wrzeszcząc? Zastanawiający jest ten ferment młodzieży, który wynikał z przegranej politycznych stronnictw lewicy, z porażki np. PPS — ta porażka czy nie przypadła na rok 1918? Młodzież naszego pokroju nie miała gdzie lokować swoich sympatii.

K I

Po upadku „Żagarów” nasz atom się rozpadł, zawirowały jego części składowe i zaczęły się tworzyć dokoła nich nowe grupy. K I ma mało związku z Bujnickim, ale wspominając o nim daje się tło.

Dembiński i Jędrzychowski rozpoczęli wielką politykę na uniwersytecie i wkrótce otoczeni byli sztabem wyznawców. Literackie pismo „Żagary” próbował wznowić Maśliński, który znalazł zatrudnienie w gazecie konkurencyjnej „Kurier Wileński”, sanacyjno-demokratyzującej (pomiędzy „Kurierem” i „Słowem”

wibrowała podskórna nienawiść). Udało mu się wydać, z naszym, poetów, udziałem, kilka numerów. Poeci, jak to oni, niestety, lubią w polityce rolę kibiców i materiałem ludzkim w „ruchach” są nędznym. Co do Bujnickiego, to zdawał ostatnie egzaminy i główny teren działania przenosił poza uczelnię, w inne mury, o których będzie opowiedziane.

Ewolucja, jaką przebyli przywódcy polityczni, nie jest łatwa do przedstawienia, również z powodu luk w pamięci, spowodowanych przez moje wyjazdy do Warszawy, zmartwienia miłosne i weltschmerzta z przede wszystkim z powodu przeklętych podatków pośrednich i bezpośrednich oraz teorii prawdopodobieństwa, którą profesor statystyki Gutkowski uważał, może słusznie, za koronę wszelkiej wiedzy.

Lata 1931-1934. Wielkie larum podniesione przez prasę z powodu bolszewizowania się młodzieży miało pewne doraźne skutki. Czy to nie o czcicielach Henryka Dembińskiego pisał Tuwim :

*Słubowali mętnemu heniowi
Kluski zdań wycharkując z grdyk
I wpatrzeni z zachwytem krowim
Na komendę rzucali ryk.*

*I tak rosta bujda coraz większa
A na szczycie stał — nieomal krzyż.*

Doraźne skutki wyrażały się tym, że dotkniętym chorobą łatwo przychodziło uzyskiwać stypendia państwowe na otarcie się zagranicą. Niech się przypatrzą, niech się nauczą. Dembiński, po zrobieniu dyplomu, ocierał się w Rzymie i ten pobyt stał się dla niego przełomowy. Jędrzychowski, coraz mniej literat a coraz więcej ekonomista, praktykował w konsulacie polskim w Strassburgu, jeździł na drugą stronę Renu i słuchał mów Hitlera, co też dopomogło do przełomu.

A na uniwersytecie chodziło o zdobycie władzy — wydarcie rządów w Bratniej Pomocy endekom i zdominowanie umysłów. Nie sposób wyliczyć tych chwytów, obrad, hasel, podstępów jakie towarzyszyły montowaniu bloku „Legionu Młodych”, „Odrodzenia” i „bezpартyjnych”, w mocno już czerwonym sosie. Demokracja — a więc konieczność klubu Jakobinów czy łoży, gdzie zbiegały się wszystkie nici. Nazywało się to KI — Klub Intelektualistów — a zebrania odbywały się najczęściej w lokalu Koła Prawników utrzymanego w cuglach przez wtajemniczonych. Przewodniczył w KI Zygmunt, dziś swoimi mięśniami budujący Australię.

Dembiński mógł być sobie trybunem ale płomienne serce nie stanowi jeszcze o talentach politycznych. Górował w tym nad nim, jak się okazało, trzeźwy, ironiczny Robespierre i on to wkrótce stał się rzeczywistym przywódcą.

Najbardziej interesujące obserwacje jakie zostały mi z KI i walki o władzę dotyczą dwóch rzeczy.

Pierwsza : jak w zbiorowości ludzkiej odbywa się węszenie z której strony wiatr wieje i gdzie jest jutrzejšia siła, jak milczkiem odbywa się przenoszenie ideologicznych bagaży, byle się uplasować, czyli to, co w politycznym języku amerykańskim znane jest jako zasada „bandwagon”.

Druga : kobiety. Myśląc o postaciach tych dziewcząt dochodzę do wniosku, że podając je gruntownej analizie, znalazłoby się klucz do najważniejszych zagadnień naszej epoki. Co prawda znam je nie tylko z tego czasu, różne obrazy z ich późniejszej fazy tu się nakładają. Były to dziewczęta nie od dancingu czy flirtów, nosiły narciarskie buty, szorstkość ich ruchów i intelektualna zaciekłość wyróżniały je z ogółu studentek. Zachodził u nich ciekawy przeskok od żarliwego katolicyzmu do marksizmu, nie pochodziły z rodzin o skłonnościach do liberalnego zobojętnienia. Odkrywając Marksa czyli „światopogląd naukowy” nie zastanawiały się nad tym, że Marks może mieć rację, podobnie jak miał rację Newton, ale z tego jeszcze nie wynika, że wiek osiemnasty czy dziewiętnasty należy uznać za szczyt rozwoju ludzkości i paść plackiem. Dążyły do wyciągnięcia logicznych konsekwencji i tu ma zastosowanie psychologia przerzutu, przez który człowiek uwalnia się od siebie, roztopiając się w jakimś Dziele. Ofiarne i bezinteresowne, szły dalej niż ich koledzy — jakoś w mężczyznach częściej niż w kobietach działa ironia, świadomość pewnej gry, względności wiar i przekonań.

Najserdeczniej wspominam spośród nich Mutę. To co się określa : „brzydka”, w grubych szklach na krótkowzrocznych oczach, chodziła zgarbiona, wymachując rękami i dopiero kiedy rozebrała się nad Wilią widać było że jest długa, harmonijnie zbudowana. Pływała jak foka. Mój sentyment do niej opierał się na wycuciu jej wewnętrznych komplikacji, jej mniejszej niż u innych łatwizny a więc jej mniejszych danych na „człowieka czynu”.

Sukcesy KI i Bloku na uniwersytecie były duże, władzę wzięto, potem znów ją stracono, bito się z endekami rzucając stoły i krzesła, próbowano przeciwdziałać głównemu atutowi przeciwnika — rozruchom antysemitycznym, i tak dalej. Urządzano wieczory dyskusyjne i artystyczne, np. „Wieczór poezji buntu”; na nim widać, jeżeli kto sobie zada trud, potęgę wszelkiej lewicy. Litwini u nas mieli swoją osobną Bratnią Pomoc, Żydzi swoją. Nie było jeszcze ghetta ławkowego, ale przedział, jeżeli chodzi o sprawy studentów, był całkowity. A na „Wieczorze poezji buntu” wielka sala nabita publicznością różno-języczną wrzała i hucała, recytowano wiersze poetów polskich, litewskich, białoruskich i żydowskich, mrowie przebiegało po skórze, kiedy mały krawczyk na estradzie mówił poemat Ernsta Tollera w yidish — tak to robił.

Wilno było najpoważniejszym bodaj centrum kultury żydowskiej na kontynencie europejskim, w krętowisku wąskich uliczek między Dominikańską, Niemiecką i Zawalną kłócili się przy fašzerowanym szczupaku luminarze literatury, filozofii i teatru.

Mało z tego dane nam było liźnąć, choć próbowaliśmy. A z literaturą żydowską pisaną w Polsce, również w Wilnie, zapoznałem się w Ameryce, czytając ją — po angielsku. Takie są skutki przegród wnoszonych przez automatyzm obyczaju między ludźmi chodzącymi ulicami tego samego miasta.

Wystąpienie Dembińskiego z „Odrodzenia” i Jędrzychowskiego z „Legionu Młodych” zbiegło się w czasie (w przybliżeniu) z końcem ich studiów. Dalsza ich wędrówka, do przystani wiary, do pism „Prostu” i „Karta”, to dzieje w dużym stopniu poza-universyteckie. Poeci, z wyjątkiem Putramenta, „nie dotrzykali kroku” ewolucji.

Bujnicki uwijał się trochę w K I, ale już nie zanadto. Żenił się z Anulką z majątku pod Poniewieżem, żeby ród przechował wiernie tradycje Wielkiego Księstwa, tudzież szukał zarobku.

BAZYLIAŃSKIE MURY

Wileński oddział Związku Literatów Polskich miał nie byle jaki lokal : w klasztorze oo. Bazylianów, tam gdzie w epoce Filomatem się zachwycał. Sławnych pisarzy w swoim gronie Związek nie posiadał, a jeżeli coś zyskało sławę, to lokalną. Zresztą warszawscy wydawcy i redaktorzy tym się odznaczyli, że grali na trąbach chwałę obcych autorów, byle ze stemplem Paryża, a na „prowincję” krzywili się pogardliwie, przez co nikt w ogóle nie wiedział, co się w kraju dzieje. Z tego względu owi wydawcy i redaktorzy, jeżeli żyją, zasługują moim zdaniem (jeżeli już każdy Polak zasługuje na to z jakiegoś powodu) na powieszenie.

Na ścianach wisały fotografie literatów zagranicznych jakich tu podejmowano, między innymi Chestertona — ten Wilnem się zachwycał. Sławnych pisarzy w swoim gronie Związek nie posiadał, a jeżeli coś zyskało sławę, to lokalną. Zresztą warszawscy wydawcy i redaktorzy tym się odznaczyli, że grali na trąbach chwałę obcych autorów, byle ze stemplem Paryża, a na „prowincję” krzywili się pogardliwie, przez co nikt w ogóle nie wiedział, co się w kraju dzieje. Z tego względu owi wydawcy i redaktorzy, jeżeli żyją, zasługują moim zdaniem (jeżeli już każdy Polak zasługuje na to z jakiegoś powodu) na powieszenie.

Wtargnąwszy do Związku „Żagaryści” zaczęli robić szum, niezwykle aroganccy wobec piszących pań, sarkastyczni i zjadliwi w dyspacie, gotowi wróble niszczyć bombami. Do ich wystąpień okazję dawały „Srody literackie” — co środa odczyt i dyskusja albo wieczór autorski. „Arką przymierza między dawnymi i młodymi laty” był Bujnicki, który, lubiany przez jednych i przez drugich, łagodził tarcia.

Teatr „Reduta” Osterwy, inne zespoły teatralne, które po niej przez Wilno się przewijały, radiostacja, „sfery uniwersyteckie”, studenci — z tych głównie środowisk ściągała publiczność na imprezy Związku (bywał nawet zdaje się jeden oficer, co dla niezwykłości wypadku należy odnotować). Publiczność oceniała humor, dlatego zakrzętnięto się koło czegoś w rodzaju literackiego kabaretu. Głównym organizatorem Związku był Wi-

told Hulewicz, ale pióro jego ciężkie, natomiast Bujnickiego lekkie. i jeszcze jedno pióro, niewątpliwie lekkie, się znalazło : Konstanty Ildefons Gałczyński. Przyjechał na występ i spodobało mu się. Ze tanio. Ze śmiesznie. Oczywiście że tanio. Wilno tkwiło ekonomicznie w ślepej kiszce — granica z Litwą zamknięta, ze Związkiem Sowieckim prawie, trochę przelotu na Łotwę, to wszystko. Śmieszność natomiast Wilna była ogromna, Gałczyński szedł ulicą i piegowata jego twarz szczerzyła się w uśmiechu, a czasem parskał, przeniesiony w staroświeckość „miłego miasta” która tu się zachowywała, jak w alpejskiej dolinie. Przeniósł się z Warszawy, mieszkając za rzeczką Wileńką, nosił zimą kożuch, żeby już po tutejszemu i z Bujnickim pisał „Kukułkę Wileńską” — tak nazywał się ów kabaret w Bazylikańskich murach, często transmitowany przez wszystkie stacje Polskiego Radia. Z Bujnickim przypadli sobie do gustu.

Swoje browerie Gałczyński wyprawiał jak należy, choć niekiedy wpadał w abstynencję. Zaliczki brał i, kiedy pracowałem już w Radio, biegano tam raz w popłochu, bo obiecał, pieniądze dostał, zbliżał się termin i ni słycho. Wybrałem się więc do niego na Zarzecze. Zostałem go gołego, leżał na wznak z rękami pod głową i patrzył w sufit, a na podłodze obok Horacy — tomiki w skórce ze złoceniami. Żeby się zemścić napisał do Radia list że był u niego „urzędnik Miłosz” i że stawał jakieś niezrozumiałe żądania.

Bazylikańskie mury, „Kukułka” — to mniej więcej do 1937 roku. Potem coraz słabiej tlało, ludzie się rozjeżdżali, zamykali się w swoich odrębnych zainteresowaniach. Bujnicki za „Kukułkę” zbierał honoraria, ale z tego i z wierszy drukowanych w wileńskich pismach nie mógłby utrzymać rodziny, od dawna zarabiał inaczej.

SEKRETARZ INSTYTUTU

Instytut Badań Europy Wschodniej powstał w latach trzydziestych jako wyższa szkoła, z kursem trzyletnim, mająca szkolić specjalistów zagadnień bałtyckich, białoruskich, rosyjskich. Mówiono że w zapewnianiu funduszków maczała palce dwójka, jeżeli to prawda, to trzeba przypisać dwójkarzom większą inteligencję niż się im zwykle przypisuje. Zasada, że warto znać to o czym się mówi, jest raczej zdrowa, jeżeli ktoś chce dowodu, że nacje zachodnie nie interesują się Europą Wschodnią, znajdzie dowód w fakcie że Polska miała taki instytut, a Ameryka ni Anglia nie zdobyły się na nic w podobnej skali. Motywy polityczne, choć wyszkolenia narybku dla administracji, dyplomacji, są tutaj mniej ważne, istotny jest poziom naukowy, a ten w Instytucie był dobry. Wykładowców dostarczały kadry profesorskie uniwersytetu Stefana Batorego, znaleziono też innych, znawców przedmiotu. I, rzecz rzadka w Polsce, naprawdę uczono języków

najbliższych sąsiadów : litewskiego, łotewskiego, estońskiego, rosyjskiego.

Bujnicki od początku istnienia uczelni był jej sekretarzem. Sekretarz to człowiek do którego hurmem spią się studenci w sprawie indeksów, czesnego, egzaminów; on troszczy się o wywieszanie list, planu wykładów, o to czy który profesor nie zachorował, czyli troszczy się o wiele. Odwiedzałem co kilka dni Bujnickiego w gmachu Instytutu, na rogu Arsenalskiej i Zygmuntońskiej czyli Nadbrzeżnej (naprzeciwko przystań statków wożących w górę Wilii, na plażę i do Werek) kiedy jeszcze wszystko pachniało tam świeżą farbą i dopiero pierwszy rocznik studentów wkraczał w te progi. Rozmawialiśmy o wierszach, ale coraz to otwierały się oszklone drzwi i tych otwierających w miarę rozrostu instytucji było coraz więcej, aż później tyle już papierów i stukania maszyn, że o wierszach nie łatwo rozmawiać.

Wiele lat przepracował tam Bujnicki, naturalnie miły i otoczony przyjaźnią. Stamtąd wracał do domu, też przy Zygmuntońskiej czyli Nadbrzeżnej, albo, jeżeli skierował się w inną stronę, Arsenalską, dochodził w trzy minuty do cukierni Rudnickiego na rogu, gdzie siedząc widziało się fronton Katedry i obok, trochę z ukosa, okrągłą wieżę, niby basztę, której grubszą, dolną warstwę pamiętała podobno czasy pogańskiego znicza. Kelnerzy, dobrzy znajomi, witali go uśmiechami szczerzej słodczy.

LOS

Pan Bujnicki jest znany i rośnie mu coś jak zarys pickwickowskiego brzuszka (uwielbiał Dickensa). Rodzą mu się dzieci, pyzate amorki ze zdziwionymi oczami. Na wakacje jeździ się do majątku pociotków nad brasławskie jeziora.

Ale gdzie jest poeta maximus, wieszcz z gimnazjum Lelewela? Popularny w Wilnie, tą popularnością w której nie wiadomo co zawdzięcza się osobie a co darom talentu, lokalna sława, czy nie brakowało mu czegoś do szczęścia?

Do jego losu chciałbym się odnieść z całym napięciem uwagi. Dlaczego, zapytam, przedmiotem historii literatury jest zawsze sukces, nigdy porażka? Czyż porażka nie uczy o wiele więcej? Odczuwam wyrzuty sumienia, że nie piszę tego z tekstami w rękę, ale nimi nie rozporządzam. Niech coś zostanie odliczone na błędy, jakie mogę przez to popełnić. Jednak chyba nie zwodzi mnie wspomnienie pewnej niewyraźności obrazu w jego wierszach, które wzruszały czy bawiły, kiedy się je pierwszy raz czytało (przez dar bezpośredniej komunikacji, może był z powołania satyrykiem). Nie zastanawiam się tutaj nad „przetrwaniem”, bo ostatecznie to jest drugorzędne, sława omija nas z różnych przyczyn i czasem warto jest przegrać. Nie, interesuje

mnie w jaki sposób ukazuje się, w tym co pisał, jego linia na dłoni.

Przypominam sobie wrażenie jakie zrobił na mnie drugi tomik jego wierszy, wydany na krótko przed wojną. „O — powiedziałem sobie — z nim jest źle. Skąd jemu do rozpacz, do pesymizmu, do tego ruchu jakby powłóczył nogami? (ze mną też było zresztą źle). On się męczy”.

Nie on jeden, bo atmosfera tamtych lat stawała się coraz bardziej dziwaczna, podobna nieco do tej która w Rosji gniotła Błoka w okolicach roku 1913. I zależało teraz od indywidualnej odporności — poddać się czy opierać się statycznie, czy, drwiąc z bezsensu, zamienić bezsens w sens. Bujnickiemu w oporze nie pomagało biuro ani ciepło rodzinnego bytowania, przeciwnie, to jego zmieszczanie po górnej młodości wzmacniało gorzki smak.

Mędrcom nie był — co nie dowodzi że był głupi. Niestety u-wewnętrzniał się, a każde u-wewnętrzzenie kryje w sobie olbrzymie niebezpieczeństwa. „Nad wodą wielką i czystą” Mickiewicza jest też wynikiem obrócenia się pisarza do wewnątrz, ale o ileż częściej autor w takich wypadkach wydobywa z siebie tylko wszelkie romantyczne brudy jakie są w każdym z nas. Żeby do wnętrza sięgnąć i stamtąd czerpać pokarm, jak roślina z korzeniami nad ziemią, żywiąca się w powietrzu, trzeba by...

Tu natychmiast powstają obiekcje. Jakie ma się prawo pouczać co trzeba? Natychmiast narażamy się na podejrzenie, że przemawiamy z wyżyny, zaliczając siebie do wiedzących, wtajemniczonych albo obdarzonych lepszym instynktem. I coś z tego jest, ale to coś nie wygląda prosto. Człowiek piszący zle utwory, może być dobrym krytykiem (przykład z Polski Dwudziestolecia: Irzykowski). Podobne rzeczy zachodzą w różnych dziedzinach, ponieważ wypowiedanemu sądowi towarzyszy rozdwojenie osoby na tę która sądzi i na tę która działa (tworzy etc.). Mówiąc o Bujnickim staram się wyłączać myśl o sobie poza nawias ale udaje mi się tylko częściowo, abstrahując od własnej przeszłości, natomiast nie od przyszłości, to znaczy oceniam go powołując się na to co, jak uważam, powinienem (żądanie) umieć.

Inna obiekcja dotyczy samej podstawy, na której się wspieram. Posiadacze „światopoglądu” dającego się skondensować do rozmiarów broszury mają tutaj zadanie ułatwione, ja natomiast zaliczam się do tych którzy jadą negacją, przemycając od czasu do czasu „pozytywne” elementy swoich wierzeń, z powodów przede wszystkim technicznych, bo przykre doświadczenie każdego może pouczyć, że lepiej jest zamilczeć, niż ugrzęznąć w językowych miękkościach.

Tak czy owak, Bujnicki do badania wewnętrznych niebios czy piekieł miał nie wiele danych. Poemat „Dno” nad którym długo przemysłiwiał (zauważmy tytuł), z jego symboliką zaczerpniętą z obserwacji podwodnego życia wileńskich jezior, skurczył się do serii krótkich wierszy, te stanowią dowód że go duży, jeżeli zabierał się do topielczych obrazów.

Pozostaje on dla mnie, muszę przyznać, nieprzejrzysty. Prozę rzadko uprawiał, w zasadniczych, ideologicznych czy politycznych sporach publicznie nie występował (ten takt). I, pomimo wszystko, widzę go nie na tle dwudziestego wieku, tylko na tle „Pamiętników kwestarza” czy „Pamiętek Soplicy” czy drukującego zabawnie fraszki w „Wiadomościach Brukowych” pod pseudonimami zapożyczonymi z litewskiej mitologii. Gdzieś na pierwszą połowę dziewiętnastego wieku z temperamentu, oświecony, tolerancyjny JWP Buynicki.

Są tacy co mogą trwać samotnie, są tacy co nie mogą, ich powołaniem jest spełniać funkcję „tkanki łącznej”. Dopóki działał w Klubie Włóczęgów, w STO itd., dopóki brał i dawał, dopóki niosła go młodość, zawsze ładował się na nowo akumulator. Potem, mimo pozorów wesołości, osowił, jak każdy komu odbiorą żywioł jemu właściwy.

Uderzyć na świat, szarpać go zębami, pazurami? Na to musiałby wyhodować w sobie jakąś filozofię napaści. Swojej nie wyhodował, najbliższa jakiej mógł się przyglądać, Jędrzychowskiego, Dembińskiego, wymagałaby nie tylko humanitaryzmu i sympatii do upośledzonych, ale przejęcia się doktryną i pasji „wyciągania konsekwencji”. Zachował dla kolegów dawną ludzką przyjaźń, to wszystko.

Na przykładzie Buynickiego można śledzić ogrom zaniechania czy paraliżu właściwego Dwudziestoleciu. Uzdolniony autor regionalny, mieszkający w mieście i kraju o wielkiej obfitości niezwykłych sytuacji, współistniejących ze sobą kultur, ciekawych postaci i problemów, nie zostawił po sobie niemal nic co by świadczyło, że umiał odskoczyć i spojrzeć na żywioł który go otaczał z dystansu. Wszystko było dziwnie zawężone i swobodę miał mniejszą niż np. Syrokomla. Z podobnych powodów Wileńszczyzna tamtego okresu została w ogóle słabo utrwalona w języku polskim, poza tym że uparcie powracała jako wizja ojczyzny u kilku poetów.

Z niemocy lęgnię się robak ukrywany w sercu. Ktoś mógłby powiedzieć, że te perypetie poetyckie to nic ważnego. Jednakże od tego niekiedy się umiera.

WOJNA

„Dnia pierwszego września, roku pamiętnego/ Napadł wróg na Polskę z nieba wysokiego”. Wojska sowieckie zajęły wkrótce Wilno, wycofały się odając je wielkodusznie Litwie, Kacelenenbogen przekształcał się w Kacelenenbogenas, neutralna Litwa pęczniała od uchodźców, a wiele nienawiści między Litwinami i Polakami szło w niepamięć.

W Wilnie zaczęła wychodzić „Gazeta Codzienna”, organ poświęcony krzewieniu hasła: „my tutejsi” tzn. z programem niejako polskiego kantonu Litwy. Normalność życia w mieście za-

sługuje na trochę zdumienia, ale tam gdzie ludzie nie mają innego wyboru, żyją normalnie. Szwajcaria, śmiertelnie zagrożona, też tak żyła, z tą różnicą, że miała podminowane tunele i Niemcy o tym wiedzieli.

Bujnicki zasiał „Gazetę Codzienną” płodami swego pióra, i nie jest to dziwne, zważywszy na jego szczerze „tutejsze” nastawienie. Paradoksalny natomiast jest sam ten ostatni podryg przymierza między obywatelami powiększonej Litwy, tuż pod nożem gilotyny. Pismo nie było lubiane, irytowało tym, że robiło publicznie to co wszyscy robili prywatnie tzn. wylewało żółć na sanację, na „nie oddamy ani guzika” — furia i zgaga kłęski. (Wychodziły w Wilnie i inne polskie gazety). Także ze względu na godzenie się z pozycją człowieka zawieszono go za jedną nogę unosił się dokoła pisma zapaszek pół-zdrady.

Pisząc do „Gazety Codziennej” Bujnicki, jakkolwiek najrdzenniejszy wilnianin i zawsze „swój”, wchodził trochę w konflikt z publiczną opinią. Do tego konfliktu był przyzwyczajony, zważywszy że w szkolnych i uniwersyteckich przygodach należał do opozycji, do tych różnych małych łóz, które chciały kształtować, wpływać i infiltrować.

Całe to stawanie okoniem naszych grup dałoby się sprowadzić do sprawy cementu. Każdy organizm społeczny zlepiony jest jakimś cementem wspólnych kultów i nienawiści. Jeżeli pewne jednostki spostrzegają że cement jest zwietrzały (a cement nacjonalistycznego patriotyzmu już wietrzeał), wyobcowują się i gorączkowo szukają innej więzi, po prostu możliwości zebrania się razem, bicia brawa czy gwizdania i sykania. To niestety jest mało przyjemne dla ludzi, którzy utrzymują, że wszelkie roztapianie się osoby w zbiorowości odbywa się kosztem lepszych cech człowieka i że działa tutaj potrzeba zbliżona do tej, jaką zaspakają alkohol czy peyotl. Historia naszych lat uniwersyteckich w Wilnie wskazuje na upór, z jakim starano się nowe więzi wytwarzać, aż do przyjęcia wreszcie przez niektórych objawienia epoki, ex oriente lux.

Bujnicki nie doznał objawienia, natomiast nie był już włączony we wspólnotę najczęściej reprezentowaną przez „narodowców”. Czyli, że nakazy i zakazy kodeksu, zaczynającego się od hasła: „Bóg i Ojczyzna”, działały na niego słabo. Sam musiał znajdować sobie drogę, ani głęboki w dodatku, ani dostatecznie oryginalny. I cechowała go równocześnie ugodowość, w tym sensie że przystosowywał się zawsze do istniejących warunków, nie występował przeciwko porządkowi jakiegokolwiek państwa, swoje spory z publiczną opinią uważając za gatunek żartu. Świat pozostał dla niego zawsze uniwersytetem Stefana Batorego.

W owym czasie wiele mówiono w cukierni Rudnickiego o Henryku Dembińskim, o tym dlaczego właściwie tak postąpił, co go skłoniło. Wahał się, dowiedziawszy się, że Wilno przypadnie Litwie, co zrobić — jechać do Kowna i stamtąd samolotem na Zachód, czy? Decyzję powziął nagle. Ładował archi-

wum uniwersyteckie na ciężarówce, żeby wycofać się z Czerwoną Armią i ocalić dokumenty dla Mińska. Szaleństwo spada na śmiertelnych. U Rudnickiego nie rozumiano z tego nic, bo jedynym aktem był bezsensowny. Dalsze jego dzieje miały być tragiczne. Został dyrektorem gimnazjum w Hancewiczach na Polesiu, nie uciekł przed Niemcami w 1941 roku (nie mógł czy nie chciał) i został przez nich rozstrzelany. Taki koniec gwiazdy naszej Almae Matris, doktora obojga praw, i, bądź co bądź, potencjalnego przywódcy na emigracji (do czego miał dane przez gwałtowność swoich anty-hitlerowskich kampanii), a prawdopodobnie potencjalnego premiera, mogącego po wojnie w Polsce narobić wiele hałasu.

Przez szyby zaglądała do cukierni Rudnickiego olbrzymia gęba Historii, już pretendującej do tego że jest bóstwem, wykrzywiona w okropnym grymasie drwiny.

DOKONANE

Civilitas narodów, jeżeli nie potępia w sposób dostatecznie silny wojen, to w każdym razie odnosi się nieprzychylnie do gwałtu wielkich państw wobec małych. W takich wypadkach dba się przynajmniej o zachowanie pozorów. U Rosjan civilitas nie była w cenie. Litwa, Łotwa i Estonia przestały istnieć.

Nasza śmieszna dolino, nasza staroświecka prowincjo, taki tobie przypaść los, wskoczyć w sam środek kotła nad którym pochylają się czarownice Makbeta. Do Paryża wkraczały wtedy wojska Hitlera. Ty, prowincjo, z twoją sennością, z twoimi murami, z bim-bam twoich kościołów, zaiste nie byłeś przygotowana na ciśnienia Ery.

Nie byłem świadkiem perypetii Bujnickiego w Wilnie, stolicy LSSR. Zaczęła tam wychodzić lokalna „Prawda”, odnalazł utraconą łączność z grupą która formowała się kiedyś w KI i rzucił się w działalność piórem.

Wiadomo każdemu że Wilno wtedy dygotało jak osina w deszcz i nie bez racji. To drzenie silniejsze było niż cokolwiek co można sobie wyobrazić i ilości składanych nawzajem na siebie donosów sięgały daleko ponad przepisana normę. Ludzie pelzali, oklaskiwali, zlizywali podłogi, „byłe nie wywieźli”. I ostatecznie, gryzmołąc donosiki na sąsiada, każdy w głębi serca miał trochę nadziei że któregoś dnia ocknie się „dobrym patriotą”.

Polityczność mego pisania jest pozorna, chodzi mi zawsze o mechanizm działań ludzkich i tysiąc razy wolałbym opowiadać o intrygach książąt i królów niż nurzać stopy w lawie ciągle jeszcze gorącej. Narazam się na nieporozumienia, bo pióro służy zwykle do przekonywania, zwalczania, a ja nie mam żadnych użytkowych celów, co może powodować zarzuty, że usurpuję sobie rolę kronikarza dla jakiegoś miejsca znajdzie się nie wcześ-

niej niż za sto lat. Tylko że za sto lat nałożą się na siebie różne wersje i prócz nich nie zostanie niczego.

Chętniej przypisuję wypłynięcie Bujnickiego w chorym Wilnie motywom bardziej złożonym niż zwyczajny strach o siebie, żonę i dzieci, choć sekretarz Instytutu Badań Europy Wschodniej to źle, a nawet bardzo źle. „Czyż nie mieliśmy racji?” mogli go zapytać dawni koledzy z KI. „W czym racji?” „No w tym że siła i kierunek rozwoju.” „Mieliście.”

Czego trzeba żeby przeciwstawić się konieczności, która dośięga nas z zewnątrz? Oparcia się na sferze nierozsądku albo anarchii, na smaku do samodzielności podejrzanym dla nas samych. Argumentem najbardziej przekonującym jest wtedy: „nie lubię”. Ale Bujnicki nawet ze swoim prefektem w szkole nie miał nigdy kłopotów.

Główny motyw jednak to pisarska porażka, a więc świadomość że akumulator ma się dobry, tylko nie naładowany i że stając się kimś innym zdoła się go naładować, przez wejście w inną cywilizację, tak jakby się jechało do Chin. Bujnicki potrzebował zbiorowości, jakiegokolwiek, więzienie własnej osoby było ciężkie dla tego pyknika i Pickwicka.

Ze woła ludzka w podobnej pułapce nie może nic, jest przesadzona. W tych samych warunkach jedni pisarze lawirowali, inni, zaangażowawszy się, rozumieli przejściowość układu i umieli zachować szacunek dla własnych wymagań artystycznych, jeszcze inni pisali bzdury, których wstydziliby się przed tym i wstydzili się potem.

Nic nie świadczy że Bujnicki zdołał naładować swój akumulator, choć może miał takie złudzenia. Wiersze ogłaszane w „Prawdzie” (znam ich tylko kilka) były głupawo, według najgorszych wzorów samo-poniżenia umysłu. I najzupełniej niepotrzebne. Kandydat do parlamentu nazwiskiem Bałtruszka przeszedłby (co do tego istnieje stuprocentowa pewność) bez strof jakie Bujnicki ułożył na jego cześć. Także ta pierś wezbrana „zapałem do wspaniałych prac”, o której śpiewał, nie ma nic wspólnego z elementarnymi wymogami sztuki, dowodzi tylko źle pojętej gorliwości.

Przypuszczam, że te wiersze traktował jako dowcip czy raczej środek zdobycia uścisków rąk, uznania, niezależnie od kogo na niego spływało: „Oho, patrzcie ten Bujnicki, no, no!” Gdyż zależy w jakim ktoś znajdzie się kręgu. Wszyscy byli przymilni, pochlebcy, łaskawi, nadskakujący rządowemu poecie. Odwracając się, mówili sobie: „Poczekaj, jeszcze ci pokażemy”, ale on o tym chyba nie wiedział.

INTER ARMA

Wielkie samoloty stojące na lotnisku w Porubanku nie przydały się na wiele, zostały zaraz zniszczone. Wojska hitlerowskie weszły do Wilna. Wtedy Bujnicki schronił się u rodziny

swojej żony na Litwie, pod Poniewieżem, jak przystało na szlachcica, we dworze. Od przyjaciół-Litwinów, którzy go tam spotykali, wiem, że później, kiedy odwrót Niemców był widoczny, zastanawiał się nad ucieczką na Zachód. Ale z małymi dziećmi, przez płonące Prusy, w piekło padających w gruz germańskich miast, to nie łatwo. Znow przetoczył się walec zdobycznych armii i wtedy wrócił do Wilna.

Kim byli ludzie, którzy powzięli postanowienie? Należeli do AK, ale jaką nadawali swemu zamiarowi legalność, jaką przypięczętowali go naradą czy wyrokiem, nie wiem. Postanowili zabić Bujnickiego. Bo znany, żeby miasto przekonało się co spotyka zdrajców. Wtedy, a był to koniec 1944 czy początek 1945 roku, oczywiście nie wielu mieszkańcom Wilna takie sprawy były w głowie, dokładali wysiłków żeby trafić na listy PUR'u to jest Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (którego urzędników, choć „lubelscy”, wyaresztowywano systematycznie).

Zabić Bujnickiego nie musiało być trudno. Chodził ulicą jak zawsze i tam dosięgła go kula. Lekkomyslny, beztroski piosenkarz Klubu Włóczęgów, entuzjasta sekcji ZNAJ, dławił się własną krwią i zastygała w ostateczny kształt okrągła twarz Amorka.

Bezsens. A raczej piramida bezsensów. Tak jednak wzruszyć ramionami można tylko jeżeli się mocno tkwi w pojęciach cywilizowanego ładu. Uczono nas w szkole, że Średniowiecze było ciemne i dzikie, czasy Renesansu i wojen religijnych krwawe, czasy walk niepodległościowych turemne i męczeńskie. To wszystko mieliśmy uważać za przeszłość. Takie przygotowanie do ocknięcia się w roli postaci z kart jakże mrocznej kroniki. Bezsens, ale nie nam kwitować go tylko ironią. Przeciwnie, żywa on do stosowania takich miar jakie są nam dostępne, z możliwie największym utrudnieniem sobie, ale nie z wyrzeczeniem się, sądu.

Nie dowiedziałem się jak odbył się pogrzeb Bujnickiego. Czy na przykład był to pogrzeb katolicki (takie szczegóły za sto lat będą na wagę złota). Sądzę że tak, jeżeli miała na to wpływ rodzina. Choć pewnie nie wykuto na jego nagrobku jednego z jego wierszy do Matki Boskiej.

Przez swoją śmierć stał się osobistością która żenuje, wzbudza mieszane uczucia. Zginął w okresie, który dla rządzących w Polsce podminowany jest wstydem, a dla wielu ich przeciwników zgrzyotą daremnie przelanej krwi. Tym szybciej nazwisko Teodora Bujnickiego będzie się pograżało w niepamięć.

Stawiając kropkę odczułem fizyczną niemal jego obecność, nie-liczenie się lat jakie upłynęły. Był przede mną i jakby o coś prosił. „Powiedz”. Ale co mam powiedzieć? „Powiedz że to nie wszystko”.

Rozumiem. Nie miałby do mnie żalu o to, że nie przedstawiłem go jako wybitnego pisarza, potężnej osobowości. Żal inny natomiast jest uzasadniony. Jak można nawet przez chwilę przypuścić, że słowa zdołają uchwycić coś z jednego ludzkiego życia, które jest cenne i olbrzymie? Z samej nieudolności słów rodzi się niesprawiedliwość.

Czesław MIŁOSZ

P Ó Ł N O C

*Jeziora szeleszczą trzcina, ocierającą się o brzeg.
Dzikie kaczkę chmurami leca. Z pagórków spłazają ścierniska.
Bydło ryczy. Liczymy dni falujących bieg
Jarmarkami we środy i piątki, festami bliskich kościołów.*

*Dymią kominy czarnych chat. Wieś wyległa na kartofliska.
Deszcze zgnoiły pokosy. Zboże spaliła rdza.
Niewody ciągną ubogi półów.
Wieczorem jeziora stygną w surowy otów.
Na łąki osiada mgła.*

*Nad ziemią wisi niedobre niebo. Wiatry szarpią konary drzew.
Złota jesień nam nie da dzisiaj papierowych i srebrnych złotych.
Pod jasnemi czuprynami szare oczy. W oczach niezaradny i nie-
[zdarny gniew.*

*ręce podnosi ku niebu grożąc.
Ręce opadają ciężko
rzędem zabłoconych motyk.*

Teodor BUJNICKI

(Piony, miesięcznik żagarystów, Nr 5, grudzień 1932.)

LITWO, ojczyzno moja. Zarliwie i prosto
powtarzam słowa naszego pasterza.
Ziemio nieżyzna bławatków i ostów,
białych kościołów na płaskich wybrzeżach,
nieba smutnego i szerokich mgieł,
jezior, szumiących trzcinami.

LITWO. Suchymi, gorzkimi wargami,
którym brakuje wiary i nadziei,
szepczę i wołam twe imię, twą nazwę,
a wiatr głęboki topolami chwieje
i klaszcze w liście pochylonych drzew.

Po głodnych drogach idących w ugory,
domów zapadłych w trumnę zgnitych ścian
bydło powraca do domu wieczorem,
a wielkie słońce, jak czerwony dzban
na gęste chmury leje żywą krew.

LITWO. Ojczyzno upartych niepogód,
podarta wichrami jak wiszar,
skrzywdzona przez stulecie i bóstwa,
miecze z pocherw obłoków wyszarp,
sypnij gradem, niech potokiem chlusta,
daj nam patos i ogień włóż w usta!

Cisza!

Teodor BUJNICKI

(Wiersz z tomu „W połowie drogi”.)

Archiwum polityczne

Polacy i ... poganie

Za biurkiem zasłanym gazetami siedzi przede mną premier polskiego rządu, Stanisław Mackiewicz, i nad nim — na ścianie, wisi sztych przedstawiający króla Stanisława Augusta. O piętro wyżej urzęduje prezydent Zaleski. A za oknami jest londyńska ulica i rok Pański 1954. Lecz tu, siedzi przede mną Cat — ten sam, który redagował wileńskie „Słowo”. Wspominamy dawne czasy — Adolfa Bocheńskiego, braci Pruszyńskich, „Politykę” Giedroycia — tak, jakby obecna chwila była naturalnym następstwem i bratnim ogniwem w łańcuchu wydarzeń. Wówczas ministrem spraw zagranicznych był Józef Beck — dziś ministrem spraw zagranicznych i premierem jest Cat. Spektakl polskiej Historii ciągnie się nieprzerwanie i potoczycie — ożywiony nie dialektycznym mechanizmem tezy i anty-tezy lecz... wolą aktorów.

Proponuję Catowi by napisał artykuł dla „Kultury”. Marsz- czy brwi i mówi:

— Nie wiem czy jako premier mogę bawić się w publicystykę. Bismarck, gdy sprawował analogiczny urząd, artykułów nie pisywał...

Z wszystkich naszych emigracyjnych premierów Cat jest najbardziej autentyczny. Nie robi fałszywie zażenowanych min, nie zgrywa się jak marny aktor, któremu „rola nie leży”. Jest sobą na tej polskiej wędrowniej scenie i jeżeli cokolwiek jest iluzją to tylko kulisy a nie dramat i aktor.

Patrzyłem na portret Stanisława Augusta i na krzepkie bary Cata. A więc tak: ostatnim królem był ów wiotki pan w pudrowanej peruce, potem był Piłsudski i kilkunastu premierów. Ostatni z nich siedzi oto naprzeciw mnie. Legitymizm tego sekwensu historycznego opiera się na jednej przesłance a mianowicie, że wrócimy. Gdyby za rok, czy za pięć lat, Polska została wyzwolo-

Iona a wygnańczy Prezydent R.P. stanął przed wolnym polskim Sejmem i złożył w ręce narodu swoją władzę — legitymizm rządów emigracyjnych uzyskałby sankcję historyczną. Wówczas bowiem nasze dzieje po-wrześniowe rozpadłyby się na dwa rozdziały: Legalny rząd polski na obczyźnie i Kraj pod sowiecką okupacją.

Jeżeli jednak po wyzwoleniu powstałby w Polsce rząd, który nie uznałby ani obecnej Konstytucji za obowiązującą, ani prezydenta na wygnaniu za legalnego Prezydenta R.P. — wówczas legalizm rządów emigracyjnych zostałby pozbawiony sankcji historycznej, a rządy emigracyjne przeszłyby do polskich dziejów jako „tak zwane rządy emigracyjne”, a Cat-Mackiewicz jako „tak zwany premier”.

Istnieją trzy możliwości: 1. Kraj zostanie uwolniony w najbliższych latach a rząd polski in exile uznają, zarówno obcy jak i Polacy w Kraju, za legalny rząd R.P.; 2. Kraj zostanie uwolniony, lecz powstałby rząd tymczasowy a następnie zwołany Sejm nie uznają Konstytucji za obowiązującą; 3. Kraj nie zostanie uwolniony w okresie najbliższych kilkunastu lat.

Z powyższych trzech ewentualności — pierwsza jest najmniej prawdopodobna. Dla młodych ludzi w Polsce Konstytucja z kwietnia 1935 roku jest równie historyczna i nierealna jak Konstytucja z 3-go Maja. Przemiany społeczne, gospodarcze i psychologiczne z każdym upływającym rokiem oddalają naród w Kraju od Konstytucji kwietniowej będącej wyrazem epoki, która runęła w gruzy we wrześniu 1939 roku.

Powyższe uwagi są banałem w swej oczywistości. Niemniej, jest rzeczą konieczną byśmy zdawali sobie sprawę, że primo — wcale nie jest pewne, że to co my uważamy za legalne, autentyczna Historia polska w ostatecznej klasyfikacji uzna za legalne i secundo — że legalizm jako koncepcja opiera się na przesłance, którą na podstawie obiektywnej analizy uznać należy za najmniej prawdopodobną, a tym samym za najmniej realną.

Polacy są dziś największym narodem diaspory. Wojciech Zaleski na podstawie danych statystycznych szacuje Polonię w świecie na około 10 milionów.

Dopóki istniała nadzieja powrotu leżało w naszym interesie kultywowanie psychologii i postawy „obozu przejściowego”. Jak długo można było liczyć na konflikt zbrojny w niedalekiej przyszłości celową była polityka zmierzająca do utrzymania mas polskich na Zachodzie w izolacji od wpływów obcych.

W moim przekonaniu nadszedł moment rewizji naszego emigracyjnego poglądu. Po piętnastu latach pobytu na obczyźnie, jest czas byśmy otwarcie sobie powiedzieli, że według wszelkiego prawdopodobieństwa — nie powrócimy. Prywatnie już

dawno każdy z nas doszedł do tego smutnego wniosku — na zewnątrz jednak, wygłoszenie takiego poglądu jest herezją, gdyż cała nasza emigracyjna ideologia opiera się na oficjalnej wierze w Powrót.

Jeżeli przyjmujemy, że jest rzeczą wysoce prawdopodobną, iż naszej emigracji nie jest sądzone powrócić — w takim wypadku należy z powyższego twierdzenia wyciągnąć konsekwencje i poddać rewizji naszą dotychczasową postawę. Z narodu „ghetta” musimy się stać narodem diaspory.

Jest zdumiewająca owa przepaść, jaka dzieli nasz świat od świata... pogan. Nasza prasa jest czymś zupełnie wyjątkowym na Zachodzie i w niczym nie przypomina ani prasy francuskiej, ani angielskiej, ani amerykańskiej. Zachód nie ma do nas zaufania, Po dziesięciu latach pobytu w Anglii żaden z publicystów polskich nie pisuje do prasy angielskiej. Nasza izolacja jest całkowita.

Ponieważ poganie odwracają się plecami od naszych antykomunistycznych apostołów, drogą reakcji, w emigracyjnym inteligencie budzi się kompleks anty-zachodni. Ów kompleks u pewnych pisarzy przybiera formy patologicznego urazu. Jest rzeczą charakterystyczną, że ci najbardziej antykomunistyczni inteligenci emigracyjni są w gruncie rzeczy zamaskowanymi defetystami. Z ironią notują każdy błąd polityki Zachodu i przepowiadają katastrofę.

Inżynier polski na dobrej, rządowej posadzie, tu w Londynie, pisze w jednym z listów do redakcji: „...tej Anglii może jeszcze starczy dla nas — ale moje dzieci będą już żyć w „ich” świecie”.

Inny czytelnik kończy swój list opinią: „Stan obecny nie może trwać, gdyż jest niezrealizowaną katastrofą...”

Tego typu wypowiedzi można by przytoczyć dziesiątki.

Na zewnątrz obowiązuje emigranta wiara w powrót. W rzeczywistości jest to dziś polityczna liturgia z której wywietrzała wszelka treść.



Wychodzę z następujących założeń:

1. Jak długo istniała nadzieja powrotu — koncepcja „państwa na emigracji” zamkniętego w izolowanym obozie przejściowym — leżała w naszym interesie.

2. Dziś po piętnastu latach pobytu na obczyźnie i w oparciu o obiektywną analizę sytuacji międzynarodowej, należy założyć, że możemy nie wrócić i w konsekwencji poddać rewizji pogląd na nasze zadania i instytucje emigracyjne. Z narodu w „obozie

przejściowym" musimy się stać narodem diaspory — z emigracji politycznej Polonią w świecie.

3. Przyjęcie koncepcji narodu diaspory jest jedyną drogą wiodącą do zjednania dla naszych celów drugiego i następnych pokoleń emigracyjnych.

4. Planować na lata, czy na dziesiątki lat, może tylko naród diaspory. Emigracja polityczna prowadzić może politykę tylko w ramach jednego pokolenia.

5. Jako naród „obozu przejściowego” nie wypełnimy naszej misji. Na pytanie czy Polacy w wolnym świecie mają do wypełnienia jakąś „misję” odpowiadam twierdząco.

Powyższe punkty wymagają pewnego komentarza.

Legalistyczna koncepcja „państwa na emigracji” opiera się na poglądzie, że Rzeczpospolita znajduje się w wojnie z Sowietami i wskutek tego kadencja prezydenta jest automatycznie przedłużana i upłyne dopiero w trzy miesiące po zawarciu pokoju.

Tego rodzaju tezę może podtrzymywać nasze pokolenie. Byłoby jednak rzeczą absurdalną przypuszczać, że drugie pokolenie wychowane na obczyźnie przyjmie tę koncepcję.

Z politycznego punktu widzenia legalizm posiada pewną wartość tak długo dopóki istnieje możliwość wybuchu wojny z Sowietami jeszcze za naszego życia. Trzeba jednak stwierdzić, że szansa dożycia owej chwili przez nasze pokolenie maleje z każdym rokiem, a tym samym przydatność legalizmu jako instrumentu politycznego topnieje również z każdym rokiem.

Nie jest wykluczone, że ani do konfliktu ani do poważniejszych przemian nie dojdzie na przestrzeni najbliższych dwudziestu czy trzydziestu lat. Historia uczy, że wojny, które „powinny” wybuchnąć albo w ogóle nie wybuchają albo z półwiekowym opóźnieniem.

Wyobraźmy sobie sytuację polskiej emigracji za trzydzieści lat od dziś. Pokolenia legalistów nie będzie już na scenie. Polonia w 90% będzie się składała z Polaków urodzonych i wychowanych na obczyźnie.

Co my tym pokoleniom pozostawimy po sobie? Jeżeli jedynym spadkiem po nas będzie legalizm, to już dziś możemy sobie powiedzieć, że ten „legat” nie zostanie podjęty. Spocznie w kurzu pamiątek, wśród orderowych wstążeczek i pożółkłych papierów na dnie kuferków butwiejących w „box-room'ach”.

Sprawa jest jasna. Na emigracji obserwujemy dwie tendencje, które są nie do pogodzenia. Pokolenie legalistów reprezentuje koncepcję narodowej i kulturalnej izolacji — młode pokolenie naturalizuje się w krajach osiedlenia. Przepaść pomiędzy tymi dwoma obozami stale rośnie. Izolacja pokolenia legalistów,

polityczna i intelektualna, pogłębia się z każdym miesiącem — pęd do naturalizacji jest silniejszy u każdego następnego rocznika młodego pokolenia które wchodzi w życie.

Jeżeli nie podejmiemy w tej sprawie inicjatywy — to rezultat końcowy tego procesu jest łatwy do przewidzenia. Obóz legalistów w całości przeniesie się na cmentarz — młodzież w większości ulegnie naturalizacji i wynarodowieniu.

Twierdzę, również na podstawie długotrwałych obserwacji, że izolacja pokolenia legalistów przyspiesza proces oddalania się od polskości młodego pokolenia. Dwudziestoletni student londyńskiej politechniki nie ma żadnego zrozumienia ani zainteresowania dla naszych kryzysów konstytucyjnych i wydaje mu się zajęciem nieopłacalnym wyuczenie się skomplikowanego libretta polityczno-partyjnego emigracji, tylko po to, by coś zrozumieć z tej narodowej operetki. Młodzież z lekkim sercem rezygnuje z tego widowiska.

Innymi słowy, jeżeli nie chcemy już dziś odpisać na stratę młodego pokolenia, a w szczególności pokolenia w całości wychowanego na obczyźnie — musimy wypracować *inny statut Polaka* w świecie niż ten, który obowiązuje w obozie legalistów. Statutu emigranta politycznego nie można dziedziczyć. Nasi synowie nie są i nigdy nie będą emigrantami naszego typu.

Naturalizacja to nie jest nasz problem. To jest problem młodych. Nie ma najmniejszego powodu by obce obywatelstwo przyjmował Cat-Mackiewicz czy piszący te słowa. Pewien procent średniego pokolenia i młode pokolenie przyjmują obce obywatelstwo w Wielkiej Brytanii i w innych krajach diaspory i walka przeciwko temu procesowi byłaby równie beznadziejna jak bezsensowna. To jest ewolucja naturalna, dyktowana prawami życia.

W moim przekonaniu jest zawsze lepiej, rozsądniej i bardziej celowo proces naturalny *ulegalizować*, bo tylko wówczas można go moralnie uzdrowić i politycznie wykorzystać. Co to znaczy ulegalizować? Rozumiem przez to nie tylko ulegalizowanie formalne, przez wydanie dekretu o podwójnym obywatelstwie (czego „Kultura” domaga się od przeszło trzech lat), lecz przede wszystkim mam na myśli sformułowanie nowego poglądu polityki polskiej, który by Polakom, obywatelom obcym, przyznawał wybitne miejsce w odniesieniu do realizacji naszych zadań na obczyźnie.

Poświęćmy z kolei kilka słów owym zadaniom.

Ogólnie biorąc aktywnych emigrantów politycznych podzielić można na dwie kategorie. Pierwsi należą do grupy niezależnych — drudzy są funkcjonariuszami różnych instytucji amerykańskich. Tak jedni jak i drudzy nie wywierają żadnego wpływu

wu ani na politykę Zachodu ani na zachodni świat intelektualny. Całkowita intelektualna izolacja inteligencji emigracyjnej jest czymś przerażającym. Nikt z nas piszących, z nielicznymi wyjątkami, nie może o sobie powiedzieć, że jest zachodnim pisarzem, bo Zachód o nas absolutnie nic nie wie. W gruncie rzeczy my wszyscy przemawiamy w kółko w polskim Hyde Parku do grupki egzotycznych emigrantów. Intelektualnie nie jesteśmy nawet na marginesie Zachodu ale poza nawiasem Zachodu.

Kilku naszych pisarzy, którzy przeszli przez Rosję, wydało po angielsku swoje wspomnienia. Interesująca w tym wypadku dla zachodniego czytelnika była Rosja a nie polski pisarz czy intelektualista. Nie ma wśród nas ani jednego Koestlera — choć może nie brak nam talentów wyższej rangi. Wyjątkiem od tej zasady jest Miłosz ale i o nim, jako o zachodnim pisarzu, za wcześnie jest wypowiadać wartościujący osąd.

Intelektualista angielski, który spędza noce i dni na studiowaniu bogatej prasy i periodyków angielskich, francuskich czy amerykańskich — może przeżyć 70 lat na Earls Court'cie nie domyślając się nawet, że otoczony jest zewsząd dziennikarzami, pisarzami, publicystami, którzy każdy swój artykuł czy esay rozpoczynają od słów: „Europa” i „Zachód”, ale o których Europa i Zachód nic nie wiedzą i nic wiedzieć nie chcą.

Sprawa języka, choć ważna, nie jest decydująca. Istotne są natomiast fakty następujące. Jesteśmy zbyt mało zachodni byśmy mogli być zrozumiani bez aklimatyzacji — a jesteśmy zbyt mało wschodni by interesować egzotyką jak Rosjanie. Jako emigranci budzimy nieufność nie do przełamania. Każdy zachodni Europejczyk zakłada z góry, że wszystko co mamy do powiedzenia skazane jest osobistą nienawiścią do Rosji. „Wasza prozachodniość — powiedział mi kiedyś jeden z wybitniejszych dziennikarzy angielskich — sprowadza się do tego, że każdej chwili gotowi jesteście puścić z dymem Zachód byle tylko zniszczyć Rosję”.

Amerycanie zarówno w Europie jak i na terenie Stanów Zjednoczonych zatrudniają pewną ilość pisarzy i dziennikarzy polskich, lecz używają ich wyłącznie do anty-komunistycznej propagandy obliczonej na wschodnią Europę. Grupa tych pisarzy nie ma żadnego wpływu na opinię amerykańską i jest całkowicie odcięta od amerykańskiego świata intelektualnego i politycznego. Na to by wpływać na opinię społeczeństwa amerykańskiego trzeba być naturalizowanym Amerykaninem jak p. S. Sharp, a nie zawodowym emigrantem politycznym na pensji w Free Europe.

W sumie należy stwierdzić, że emigracja polityczna może odegrać pewną rolę tylko w określonych warunkach i w okreś-

lonym czasokresie. Gdyby w roku 1950 wybuchła wojna z Sowietami — być może, emigracja polska na Zachodzie odegrałaby wówczas poważną rolę. Ponieważ jednak jest możliwe, że konflikt z Rosją nie wybuchnie za życia naszego pokolenia — trzeba spokojnie stwierdzić, że na Zachodzie nie powstała i prawdopodobnie nie powstanie sytuacja umożliwiająca emigracji odegranie roli do jakiej jest powołana. Z tych obiektywnych faktów trzeba wyciągnąć konsekwencje i zmienić taktykę działania dostosowując ją do realnych warunków.

Realne perspektywy jakie są przed nami można ująć w dwa punkty:

a) Pierwsze pokolenie emigracyjne nie wróci do Kraju i wytrzeże na obczyźnie.

b) Młodzież tu wychowana i pokolenie urodzone zagranicą w 90% pozostanie na obczyźnie nawet wówczas — jeżeli za lat 10 czy 20 otworzyłyby się możliwości powrotu do Kraju.

Ponieważ powyższe perspektywy wydają się najbardziej prawdopodobne a tym samym najbardziej realne — powinniśmy przystąpić do powolnej, systematycznej ewolucji instytucji Emigracji politycznej, która zgodnie ze swą istotą jest zjawiskiem czasowym i przejściowym. Równocześnie należy zacząć organizować instytucję „narodu w diasporze”, który w przeciwieństwie do emigracji politycznej jest zjawiskiem stałym.

Zilustrujmy przykładem owo przejście od emigracji politycznej ku narodowi diaspory.

P. Jan Kowalski (nazwisko zmyślone — postać autentyczna) jest wykładowcą Historii Europy wschodniej na uniwersytecie Indiana. Ów młody człowiek (liczy obecnie 35 lat) jest obywatelem amerykańskim. Gimnazjum rozpoczął w Polsce, maturę zdał we Francji, tytuł doktorski uzyskał na uniwersytecie londyńskim. Przez dwa lata studiował na Columbia University i nostryfikował swój dyplom. Pisał mi, że włożył wiele pracy by przyswoić sobie prawidłowy akcent amerykański. Dziś p. Jan Kowalski nie różni się niczym od młodych naukowców amerykańskich a jego przełożeni wróżą mu wybitną karierę uniwersytecką.

P. Jan Kowalski ma większe możliwości oddziaływania na opinię amerykańską niż 100 pisarzy zrzeszonych w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Być może w grupie jego studentów znajduje się przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych, lub przyszły sekretarz stanu. W każdym razie większość jego uczniów zajmie w przyszłości stanowiska polityczne czy to w służbie zagranicznej czy w licznych biurach departamentu stanu.

P. Kowalski symbolizuje owo niezmiernie ważne stadium przejściowe w ewolucji Polonii. Mimo, że urodzony w Polsce nie jest już emigrantem politycznym. Nie jest również w dosłow-

nym sensie „Amerykaninem polskiego pochodzenia” — jeżeli termin ten zacieśnimy do Polaków urodzonych w Stanach Zjednoczonych. P. Kowalski jest naturalizowanym obywatelem amerykańskim, który szczęśliwie wyminał ślepa uliczkę Free Europe i zdołał odnaleźć swoje własne miejsce pod amerykańskim niebem.

W chwili obecnej p. Kowalski jest jeszcze ciągle jednym z nas z tą tylko różnicą, że wsiadł do pociągu, którym opuszcza nas „drugie pokolenie”. W tej podróży nie możemy mu towarzyszyć. Niemniej — w moim przekonaniu — ponosimy za losy p. Kowalskiego olbrzymią odpowiedzialność. Jeżeli staniemy na stanowisku, że popełnił... dezercję z rodzimego „obozu przejściowego”, że własnowolnie wyzbył się szaczonego statutu emigranta politycznego, że złamał przysięgę wojskową, że porzucił szeregi bojowników itd., itd. — wówczas w najwyższym stopniu utrudnimy a może nawet całkowicie wypaczmy ewolucję jego polskości, która siłą faktu musi się przeobrazić i przetrwać. Bo jest rzeczą oczywistą — i w tym względzie nie należy mieć żadnych złudzeń — że p. Kowalski nie będzie mógł być takim Polakiem jak każdy z nas. Jego polskość będzie czymś innym i różnym niż totalna, bezkompromisowa polskość Cata-Mackiewicza. Ale z tej innej, „węższej”, polskości p. Kowalskiego nie możemy zrezygnować, gdyż możliwości oddziaływania politycznego owej „węższej” polskości panów Kowalskich są niepomiernie większe niż możliwości politycznego oddziaływania Catów-Mackiewiczów. I z tego względu polskość Kowalskich jest dla nas politycznym zagadnieniem o olbrzymim znaczeniu.

Czytelnik może zauważyć w tym miejscu, że pokolenie Kowalskich odjedzie od nas bez względu na to co my o tej sprawie sądzimy i najlepiej całą rzecz pozostawić jej naturalnemu biegowi.

Nie podzielam tej opinii. Jesteśmy pierwszy raz w dziejach w tak wielkiej masie poza granicami Kraju i wskutek tego powinniśmy planować naszą ewolucję. Musimy również pamiętać o tym, że obecna koncepcja instytucji emigracyjnych jest koncepcją „ad personam” jednego pokolenia. Tylko my możemy głosić, że w pewnej mierze reprezentujemy Kraj. „Drugie pokolenie”, które Polski niemal nie pamięta i wychowało się zagranicą — nie będzie miało żadnego tytułu do reprezentowania Kraju i zapewne nie żywi żadnych w tym kierunku ambicji. Rząd „in exile”, Prezydent R.P., reprezentacje partii politycznych itp. — to są wszystkie instytucje naszego pokolenia przeto czasokres ich trwania jest bardzo ograniczony. Ponieważ wszelka odpowiedzialna polityka musi odrzucać hasło: „po nas potop!” — wydaje się, że jest już najwyższy czas byśmy nasze instytucje emigracyjne zaczęli reor-

ganizować w ten sposób by mogło je przejąć „drugie pokolenie”.

Powinniśmy utworzyć jedną, ogólną, wszechpolską organizację o autonomicznym statucie. Taką organizacją a-partyjną — nie roszczącą sobie tytułu do reprezentowania czegokolwiek, czy kogokolwiek z wyjątkiem własnych członków — powinien być Skarb Narodowy. Członkostwo tej ogólnej instytucji winno być dostępne dla wszystkich, bez względu na wiek, wyznanie, obywatelstwo czy przekonania polityczne. Zarząd na określonej kadencji byłby wybierany drogą głosowania.

Dla przeciętnego emigranta jest rzeczą jasną, że rządy legalistyczne czy to dożywcotnich prezesów stronnictw historycznych, czy dożywcotnich prezydentów zostały doprowadzone do granicy absurdu. Wobec samowoli tych panów jesteśmy całkowicie bezsilni. Jeżeli chodzi o władzę to płynie ona z „mandatu Kraju” — jeżeli chodzi o pieniądze to płacić ma emigracja albo... Amerykanie. To jest niewątpliwie wygodny schemat, ale wydaje mi się, że jego operacyjne możliwości są wyczerpane.

Jedyną drogą do uzdrowienia tych stosunków są wybory i oparcie reprezentacji Polonii na zwyczajnych, demokratycznych zasadach. Wybory nie leżą ani w interesie prezydentów, którzy niechętnie zamieniają odpowiedzialność wobec Boga i Historii na odpowiedzialność wobec zwyczajnych śmiertelników — nie leżą również w interesie prezesów i przywódców, którzy swą władzę wywodzą z „mandatu Kraju”. Inicjatywa w tym względzie musi wyjść przeto z „dołów” emigracji.

Proponuję, by powołano poważny Komitet złożony z kilku niezależnych polityków i ekonomistów, którzy w oparciu o studia — opracowaliby projekt przebudowy Skarbu Narodowego celem oparcia jego struktury organizacyjnej o reprezentację pochodzącą w całości z wyborów. Jeżeli Skarb Narodowy nie usamodzielnimy podzieli on los wszystkich legalistycznych instytucji, które wygasną w najbliższych latach. Następnym krokiem byłoby zorganizowanie ankiety wśród płatników Skarbu Narodowego w poszczególnych krajach.

Celem zasadniczym nowej instytucji obok polityki winno być służeństwo kulturze polskiej na obczyźnie. Powyższe zdanie brzmi banalnie i pusto, ale zastanówmy się chwilę. W Kraju wymiera ostatnie pokolenie związane z kulturą Zachodu. Nie będzie więcej Parandowskich ani nawet Iwaszkiewiczów sprzed „przełomu”. W perspektywie wydarzeń w Kraju rozwój kultury polskiej na Zachodzie jest zagadnieniem wobec którego „konstytucyjne kryzysy” spadają do rzędu nic nie znaczących epizodów, które utoną w nicości zapomnienia już za kilkanaście miesięcy.

Istnieje jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia. Osobiście odnosiłem zawsze wrażenie, że kultura Zachodu jest najbardziej

witalna na kresach zachodniego świata, to jest w krajach wschodniej Europy. W Polsce kultura zachodnia — podobnie jak Chrześcijaństwo — nie utraciła swej biologicznej dynamiki: to co na Zachodzie usycha — w wschodniej Europie trzeba karczować przemocą.

Choć może się to wydać narodową megalomanią twierdząc, że jest rzeczą nie bez ogólniejszego znaczenia by w wolnym świecie mogła rozwijać się polska żywotna odmiana kultury zachodniej. Lecz wprawdzie musimy wydobyć się na zewnątrz. Literatura emigracyjna (na ogół) jest tak wąska w skali, tak spętana wspominkarstwem i kompleksem utraty, że dramat nasz w jej odbiciu utracił wymiar ludzki i europejski. Bohaterem naszych emigracyjnych pisarzy jest zawsze Polak, który czasem bywa człowiekiem — nigdy Człowiek, który jest Polakiem. Ta „dehumanizacja” literatury emigracyjnej przypieczętuje jej los.

Lecz to jeszcze nie wszystko.

Jeżeli chcemy sprostać naszemu obowiązkowi — fundując polonijną, ponadpartyjną organizację — winniśmy w prasie, w periodykach, w odczytach — przeprowadzić kampanię uświadamiającą w myśl następujących wytycznych:

1. — Emigracja polityczna nie wypełniła swojego zadania i na skutek układu międzynarodowego może go nie wypełnić. Koncepcja emigracji politycznej opierała się na założeniu, że reprezentujemy Kraj a w stosunku do państw Zachodu jesteśmy partnerem. Za partnera nikt nas nie uznaje i mało jest realnych szans by za partnera nas uznano.

2. — Etap „obozu przejściowego” dobiega kresu. Kończy się emigracja — zaczyna się „narod w diasporze”. Polonia nie wyłania rządu, nie tworzy „państwa na emigracji”, nie kontynuuje fikcyjnych reprezentacji partii politycznych sprzed 1939 roku. Polonia nie reprezentuje Kraju — Polonia Krajowi służy.

3. — Naczelnym zadaniem Polonii jest wyprowadzić Polaków z izolacji. Z ghetta politycznego, kulturalnego i intelektualnego. Musimy wejść w społeczeństwa zachodnie jeżeli chcemy wywierać formatywny wpływ polityczny i kulturalny.

4. — U dna obecny konflikt jest konfliktem ideologicznym. Głównym teatrem tego konfliktu jest nie Europa Wschodnia lecz Zachód. Nie polityka Kremla, lecz procesy i przemiany jakie zachodzą w społeczeństwach wolnego świata zadecydują o klęsce lub o zwycięstwie. Jesteśmy za te procesy współodpowiedzialni.

Brytyjczyk polskiego pochodzenia, czy Amerykanin polskiego pochodzenia w każdym zawodzie i na każdym szczeblu hierarchii społecznej mogą oddać sprawie ogólnej i sprawie polskiej ogromne usługi — jeżeli spełnione zostaną pewne warunki.

Jakie warunki ?

Spójrzmy na sytuację w Anglii. Tu, na tych wyspach, Polonia jest w trakcie powstawania. Jest moim głębokim przekonaniem, że na losy Polonii powstającej w Wielkiej Brytanii i w innych krajach diaspory — pierwsze pokolenie emigracyjne może wyrzucić ważki wpływ dodatni albo ujemny.

Polak, obywatel brytyjski, który wzrusza ramionami i mówi, że te „emigranckie sprawy” nic go nie obchodzą — w 99 wypadkach na 100 tym nieszczerym gestem kryje bolesny kompleks odszczepieństwa. Jego stosunek do polskości jest spaczony. Znam takich, którzy chwala się tym, że nie prenumerują żadnego polskiego pisma. Z praktycznego punktu widzenia ci ludzie mogą być straceni dla polskości mimo, że nie są wynarodowieni. Za ów wypaczony stosunek do polskości w bardzo znacznym stopniu my ponosimy odpowiedzialność.

Stosując absurdalną zasadę, że albo ktoś jest z nami albo przeciwko nam stwarzamy przepaść pomiędzy wymierającą emigracją polityczną a powstającą Polonią. Członków Polonii trzeba ulegalizować jako pełno-prawnych naszych następców. Obywatel brytyjski polskiego pochodzenia powinien mieć przekonanie, że naturalizując się nie popełnił zdrady czy odszczepieństwa — zmienił natomiast swój statut. Powinien wiedzieć, że naród polski szanując w pełni jego nowe obowiązki i lojalności — liczy na niego i ufa mu. Co więcej powinien zdawać sobie sprawę, że rola jaka przypada Polonii jest niezmiernej doniosłości.

Członek Polonii powinien w swym nowym kraju, którego jest obywatelem aktywnie popierać politykę wolnościową, przyczyniać się do rozwoju kultury polskiej na obczyźnie — a przede wszystkim pozostać wiernym moralnej koncepcji polskości.

Ten punkt ostatni jest najważniejszy. Choć brzmi to literacko i frazesowiczowsko niemniej polskość na tle tego co określamy „kryzysem współczesnej cywilizacji” urasta do rangi koncepcji moralnej, którą można wyznawać i głosić w każdym języku. Aspekt moralny polskiego poglądu na istotę współczesnego konfliktu stanowi o fundamentalnej różnicy pomiędzy myślą polityczną Zachodu a polską myślą polityczną.

Co to wszystko znaczy przełożone na zwyczajny język ?

Słuszna sprawa nabiera tylko wówczas cech koncepcji moralnej jeżeli budzi w ludziach gotowość ofiary. Idea wolności utraciła na Zachodzie aspekt moralny i przestała być tą najwyższą wartością, której imperatyw moralny każe bronić, bez względu na ryzyko i ofiary. Wolność odarta z moralności stała się „commodity” — jedną z wielu w bazarze zachodniej cywilizacji.

Jeżeli idei wolności nie potrafimy przywrócić aspektu moralnego, nie zdołamy jej obronić. Bezmoralna wolność nie wy-

dobędzie z młodych Amerykanów czy Anglików, którzy chcą żyć w spokoju i dobrobycie — determinacji, odwagi i gotowości ofiary. Tak jak lęk jest zaproszeniem do agresji — tak bezmoralna wolność jest zaproszeniem do niewoli.

Mówiąc o „misji” Polaków w świecie miałem na myśli ów moralny aspekt polskości-wolności. To jest więź, która nas łączy i to jest treść naszego posłania dla... zachodnich pogan.



Nie chciałbym wywołać wrażenia, że funduję... pogrzeb Emigracji Politycznej. Proponuję natomiast byśmy, nie burząc instytucji przejściowych, rozbudowali równolegle instytucje o charakterze stałym. Nie proponuję byśmy nasze tornistry i „żołnierski moderunek” wrzucili do pieca — proponuję natomiast, byśmy młodemu pokoleniu dopomogli wyjść z emigracyjnego namiotu w poczuciu ciągłości służby dla narodu choć w zmienionych warunkach. Nie proponuję byśmy zrezygnowali z wszelkiej akcji politycznej — proponuję natomiast, byśmy naszą politykę radykalnie urealnili a tym samym uczynili ją zrozumiałą dla członków Polonii.

„Państwo na emigracji” ma tylko politykę wewnętrzną. Polityki zagranicznej w ogóle nie prowadzi. Ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie. „Państwo na emigracji” do końca swego istnienia tonąć będzie w wewnętrznych sporach, kryzysach i intrygach.

Dlatego proponuję powołanie nie emigracyjnej lecz ogólnopolonijnej organizacji, która odciążona od fikcyjności „państwa emigracyjnego” mogłaby przystąpić do realizacji konkretnych zadań politycznych i kulturalnych.

Sprawy federacyjne, sprawa armii polskiej na obczyźnie mogą być podjęte na terenie międzynarodowym wyłącznie przez ogólnopolonijną reprezentację uwolnioną od balastu fikcyjnych problemów „państwa na emigracji”. Któż zapewni że jeszcze tej jesieni nie będziemy mieli dwóch prezydentów, przy czym, oczywiście, tak pierwszy jak drugi uważać się będą za legalnych prezydentów R.P.

I jeszcze jeden problem. „Państwo na emigracji” wyznaje od początku fałszywą wiarę, że jedynym naszym celem jest niepodległość. Bismarckowska teza głosząca, iż absolutna suwerenność jest ostatecznym celem dążeń narodowych — jest dziś anachronizmem. *Kultura* była zawsze wierna pogładowi, że wolność jest celem nadrzędnym, któremu wszystko musi być podporządkowane. Pierwsze pytanie w politycznym abecadle brzmi

nie — czy Polska będzie niepodległa?, lecz — czy świat jutra będzie światem wolnych ludzi? To jest owo kardynalne „A”, od którego wszystko zależy. Niepodległość Polski (między Rosją a Niemcami) rozpatrywana w oderwaniu od problemu radykalnej przebudowy systemu międzynarodowego a w szczególności systemu europejskiego — jest mrzonką nie z tego świata.

Tylko organizacja wszech-polonijna nie zahipnotyzowana upiorem przeszłości może podjąć się szukania rozwiązań zgodnych z duchem czasu i z realizmem dnia — choć sprzecznych z tradycją i narodową romantyką.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

EMIGRACYJNA GUATEMALA

Spisywanie dziejów upadku i rozkładu politycznych ośrodków emigracyjnych w letnich miesiącach 1954 roku — byłoby odpowiedniejszym zajęciem dla psychiatry niż dla publicysty.

Zacznijmy naszą „story” od przykładu. Akcja zorganizowana przez różne polskie ośrodki społeczne w celu uratowania Antoniego Klimowicza — była wzorem solidarnego, doskonale zorganizowanego i świetnie przeprowadzonego działania. Anglicy, zarówno w rozmowach prywatnych jak i na łamach prasy — nie szczędzili słów uznania a nawet podziwu. Cudzoziemiec, który przebywał w Londynie w pierwszych dniach sierpnia br. czytając opisy „operacji Klimowicz” na pierwszych stronach stołecznych dzienników — musiał dojść do wniosku, że Polacy w Anglii tworzą potężną organizację, która w obronie jednego rodaka potrafi w kilka godzin zmobilizować prasę, zaangażować najlepszych prawników, dotrzeć do parlamentu, ministrów i najwyższych czynników — paraliżując całkowicie kontr-akcje reżimowej ambasady.

Czym należy tłumaczyć, że ci sami działacze emigracyjni, którzy w sprawie Klimowicza (i w wielu innych tzw. życiowych sprawach) wykazują zdrowy rozsądek, energię, szybkość decyzji i podziwu godną zaradność — w chwili gdy padnie słowo „legalizm” zaczynają bredzić... Ich zdrowy rozsądek ulatnia się jak kamfora. Zamiast logicznie myśleć i trzeźwo wnioskować ci ludzie popadają w trans zawilej talmudycznej dialektyki, w porównaniu z którą dialektyka marksistowska jest szczytem jasności, lekkości i wdzięku.

Powyższy objaw emigracyjnej schizofrenii obserwujemy nie tylko u zwolenników „zamku”, lecz i po przeciwnej stronie barykady.

W dniu 31 czerwca odbyło się pierwsze posiedzenie Tymczasowej Rady Jedności Narodowej (TRJN). Punkt pierwszy uchwalonej rezolucji brzmi następująco:

„T.R.J.N. stwierdza, że naruszenie ustawy konstytucyjnej i przyjętych zobowiązań, oraz nieprzekazanie urzędu Prezydenta R.P. generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu w terminie przez siebie określonym, pozbawiły p. Augusta Zaleskiego podstaw prawno-politycznych i moralnych do zajmowania urzędu prezydenta R.P.

Jednocześnie T.R.J.N. stwierdza, że objęcie przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego stanowiska Głowy Państwa przywróci naruszony ład prawny i polityczny”.

Trudno byłoby skonstruować dwa zdania, które zawierałyby równie wielką ilość nonsensów i nieporozumień. Tymczasowa R.J.N. stoi na stanowisku Konstytucji z 1935 roku. Oskarżając prez. Zaleskiego o naruszenie ustawy konstytucyjnej — T.R.J.N. sama łamie Konstytucję, przypisując sobie samozwańczo prawo do pozbawiania prezydenta R.P. jego urzędu. Bo bez względu na winy i błędy prez. Zaleskiego, tymczasowa (czy nie tymczasowa) Rada Jedności Narodowej, jak długo stoi na stanowisku Konstytucji, tak długo nie ma żadnego tytułu ani do osądzania działalności prezydenta, ani do pozbawiania go urzędu.

Równocześnie w cytowanym powyżej pierwszym punkcie rezolucji Tymczasowa R.J.N. zapowiada „cud” prawno-konstytucyjny. Bo jak wygląda obecnie sytuacja? P. Zaleski jest pozbawiony godności prezydenta R.P. Nie ma prezydenta jest natomiast Tymczasowa R.J.N., która przypisuje sobie uprawnienia Zgromadzenia Narodowego i Trybunału Stanu w całkowitej sprzeczności z Konstytucją i ustanowionym przez nią porządkiem prawnym. Z chwilą jednak gdy jutro, czy pojutrze, głową państwa zostanie generał Sosnkowski, stanie się cud... wszystko wróci do normy a pogwałcona, zarówno przez p. Zaleskiego jak i przez Tymczasową R.J.N., nieszcześnie Konstytucja zacznie znów obowiązywać jak gdyby nic się nie stało.

Tego typu poczucie prawa konstytucyjnego wykazują pułkownicy w Guatemali, ale w Europie zachodniej podobne łamańce są nieznanne.

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada sierpnia) powołano jeszcze jedną radę, a mianowicie, Radę Trzech. Ów triumwirat zamierza również działać w ramach Konstytucji z 1935 roku.

Jak długo stoimy na stanowisku konstytucyjnym i legalistycznym to trzeba z całą stanowczością stwierdzić:

a) Rezolucja Tymczasowej R.J.N. z dnia 31 czerwca br. jest bezprawna. Sprzeczny z Konstytucją jest również list generała Andersa z dnia 4 sierpnia br. w którym Generał zawiadamia p. Zaleskiego, że przestaje uważać go za Prezydenta i Zwierzchnika Sił Zbrojnych.

b) Przepisy Konstytucji nie dają tytułu prawnego ani marszałkowi Senatu, ani Tymczasowej R.J.N., ani Radzie Trzech, ani emigracyjnemu „Zgromadzeniu Narodowemu” do legalnego pozbawienia prezydenta jego urzędu. Jakakolwiek akcja podjęta w tym kierunku będzie w świetle Konstytucji z 1935 roku — bezprawiem.

Oczywiście możemy się umówić, że powiedzmy na wniosek Rady Trzech p. Miedziński, czy inny były dostojnik ogłosi, że urząd prezydenta „vacat” i że wskutek tego, zgodnie z art. 23 Konstytucji, „funkcje prezydenta sprawuje zastępczo marszałek Senatu” czyli p. Miedziński. Z kolei p. Miedziński zamianuje swym następcą gen. Sosnkowskiego i natychmiast ustąpi na rzecz Generała.

Z równym powodzeniem i z równą sankcją prawną możemy generała Sosnkowskiego ogłosić królem polskim i wielkim księciem litewskim. Do-

póki bowiem prezydent Zaleski żyje i dobrowolnie nie ustąpi, art. 23, ani żaden inny artykuł Konstytucji nie dają żadnych podstaw ani byłemu marszałkowi Senatu, ani komukolwiek innemu do stwierdzenia w zgodzie z Konstytucją, że urząd prezydenta — vacat.

Artykuł 23 Konstytucji zaczyna się od słów: „W czasie gdy urząd prezydenta R. P. jest opróżniony... itd.” Ale — jak wiemy — urząd prezydenta nie jest opróżniony i wskutek tego art. 23 w całej sprawie nie ma żadnego zastosowania.

W rzekomej obronie legalizmu i Konstytucji — wszyscy Konstytucję łamią i poniewierają w sposób bezprzykładny. Poniewiera Konstytucję prez. Zaleski, gen. Anders, Tymczasowa Rada Jedności Narodowej — luminarze, którym od piętnastu lat nie schodzą z ust frazesy o legalizmie, wierności dla Konstytucji itp.

Trzeba stwierdzić, że to jest widowisko w najwyższym stopniu niemoralne, które rzuca ponure światło na polityczną górę emigracji.

Generał Anders na którego zwrócone są oczy Polaków na pięciu kontynentach popełnił błąd wypowiadając posłuszeństwo prezydentowi. W swym liście, gen. Anders oskarża prezydenta „o jawne pogwałcenie Konstytucji”, lecz w odpowiedzi Generał zdecydował się na krok, który jest również jawnym pogwałceniem Konstytucji.

Trzeba raz skończyć z tym gorszącym widowiskiem łamania Konstytucji w imię Jej obrony. Tymczasowa R.J.N. popełniła kardynalny błąd, który stał się źródłem wszystkich następujących.

Na swym pierwszym posiedzeniu Tymczasowa R.J.N. winna była podjąć odważnie i uczciwie decyzję następującej treści:

1. Tymczasowa R.J.N. stwierdza, że po piętnastu latach pobytu na obczyźnie nie istnieją realne możliwości podtrzymania koncepcji „państwa na emigracji” w oparciu o Konstytucję z 1935 roku.

2. Ponieważ na emigracji nie możemy zwołać ani Sejmu ani Senatu, ani obierać Prezydenta, ani nowelizować ustawodawstwa — w celu sprostanienia naszym zadaniom postanawiamy w drodze demokratycznej opracować statut zastępczy dla reprezentacji Polonii w świecie.

3. Zachowując pełnię szacunku dla ustawy konstytucyjnej z 1935 roku stwierdzamy, że tylko Sejm w uwolnionej Polsce będzie władny potwierdzić jej moc obowiązującą, w oryginalnym, względnie znowelizowanym brzmieniu. Ponieważ na obczyźnie znajdujemy się w warunkach uniemożliwiających stosowanie w pełni naszego prawa państwowo-konstytucyjnego — nie chcąc Konstytucji łamać — deklarując wierność dla jej ogólnych wskazań — postanawiamy życie polityczne na obczyźnie oprzeć na przepisach przez nas samych w demokratyczny sposób opracowanych.

Gdyby Tymczasowa R.J.N. zdobyła się na tego rodzaju uchwałę, wszystkie rokosze byłyby niepotrzebne. Uchwała równałaby się bowiem uczniemu stwierdzeniu, że zamiast kontynuować w niemoralnej atmosferze fikcyjne „państwo na emigracji” z fikcyjnie obowiązującą Konstytucją — zdecydowaliśmy się stworzyć zwyczajną, normalną organizację, opartą o statut uchwalony przez większość. Zamiast emigracyjnej Guatemali mielibyśmy wówczas cywilizowaną, zachodnio-europejską instytucję bez pretensji i tromtadactwa, opartą o zdrowy rozsądek i poczucie rzeczywistości.

W moim przekonaniu nie ma przed nami innego wyjścia z obecnego kryzysu. Nasi przywódcy powinni zdać sobie sprawę z faktu, że w opinii emigracyjnej legalizm jest całkowicie pogrzebany. Jak raz został stworzony precedens, że prezydentowi można wymówić posłuszeństwo a nawet przestać go uznawać — to któż zareczy, czy analogiczna sytuacja nie powtórzy się

gdy prezydentem zostanie gen. Sosnkowski, czy gen. Anders. W obecnej atmosferze politycznej na emigracji, każdy nowy „prezydent” musiałby zabiegać o uznanie przez poszczególne organizacje i przez każdego generała z osobna.

Konstytucja nie jest garnczkiem, który można rozbijać a następnie kleić i drutować. Każdy Polak na emigracji, który trzeźwo i logicznie myśli, po rozwadze musi dojść do następujących wniosków :

Legalny sekwens prezydentów R.P. w oparciu o Konstytucję z 1935 roku kończy się na p. Zaleskim. Kryzys konstytucyjny spowodowany decyzją czerwcową wyklucza — w warunkach emigracyjnych — ponowne obsadzenie urzędu prezydenta w sposób legalny i zgodny z Konstytucją. Trzeba by się uciekać do „kruczków” i łamańców o bardzo podejrzaney wartości prawnej i moralnej. Jest rozsądniej, uczciwiej, etyczniej obrać przewodniczącego R.J.N., którego mandat na określony czasokres wywodzić się będzie z woli wyborców — niż fundować sobie nowego „prezydenta”, którego tytuł i legalizm będą więcej niż wątpliwe.

SURSUM CORDA

W dniach 26 i 27 czerwca br. odbył się w Londynie VIII Zjazd SPK Oddziału Wielka Brytania. Biuletyn mojego macierzystego Koła Nr 120 z dnia 10 lipca br. zamieszcza na temat Zjazdu następujące uwagi :

„Cała finansowa działalność władz głównych (pod firmą Pol. Ex-Comb. Assoc. Ltd.) nie doczekała się publicznego naświetlenia w formie odpowiedniego bilansu, mimo kilkakrotnych uchwał Zjazdów i sporządzania aktów kontroli przez zaprzysiężonych księgowych. Ostatni Zjazd otrzymał część elementów do takiego bilansu, lecz wobec olbrzymich rozbieżności w ich interpretacji na razie nie można sobie wytworzyć jasnego obrazu całości. Pessimści dowodzili, że rezerwa płynna Pol. Ex-Comb. Assoc. w sumie około £ 60.000 zostanie pochłonięta przez wydatki bieżące w ciągu trzech lat, a całość SPK stanie w obliczu bankructwa lub bezwładu organizacyjnego”.

Interesujące uwagi na powyższy temat znajdujemy również w czerwcowym numerze doskonale redagowanego czasopisma Związku b. Żołnierzy S.B.S.K. — „Ku Wolnej Polsce”. (Pismo to gorąco polecamy wszystkim Karpatczykom rozsianym po szerokim świecie).

„Ku Wolnej Polsce” pisze między innymi :

„Stawiliśmy pytanie bardzo jasne, ale prawdopodobnie niewygodne Zarządowi Głównemu, skoro na nie nie odpowiedział. Na Zjeździe SPK Wielka Brytania padły również podobne pytania. W imieniu Zarządu Głównego SPK odpowiadał sam prezes p. A. Soboniewski. Podał tylko dwie cyfry, dotyczące urzędzonego widowiska „Sursum corda”: £ 300 wypłacono tytułem honorarium p. Marianowi Hemarowi i £ 150 p. J. Kielanowskiemu. Reszty cyfr nie podał, zasłaniając się brakiem pamięci. Jeżeli w takich wypadkach zawodzi pamięć, to należy sięgnąć do sprawozdań finansowych i udostępnić je do wglądu osobom zainteresowanym gospodarką finansową SPK. Wtedy może byśmy się dowiedzieli :

- 1) jak gospodarowano tysiącami funtów w czasie organizowania widowiska „Sursum corda”;
- 2) komu i ile wypłacono gratyfikacji ?
- 3) ile i od jakiego czasu wstecz podwyższono pensje pracowników i członków Zarządu ?
- 4) ile kosztował nowonabyty hotel i jak wygląda administrowanie nim?

5) ile tysięcy funtów wyniósł deficyt w ciągu jednorocznej kadencji Zarządu Głównego i z jakich sum ten deficyt pokryto ?

Ogłaszanie sprawozdań finansowych wyeliminowałoby różne plotki o gospodarce finansowej SPK, które krążą w najrozmaitszych wersjach”.

Cytowany powyżej Biuletyn Koła SPK, Nr 120 — do pytań wysuniętych przez „Ku Wolnej Polsce” — dorzuca jeszcze następujące :

„Nie wiadomo dlaczego placówki gospodarcze (poza domami) mają tak małe obroty i tak rozmaity dochodowość ? Dalej : dlaczego część z sum odzyskanych (£ 25.000) nie została, mimo upływu roku, włączona do obrotu gospodarczego ? Ponadto nie wyjaśniono, kto ponosi odpowiedzialność za złe oszacowanie majątku przed rokiem 1953 (za wysokie o £ 17.034) i dlaczego dopuszczono w tymże czasie do powstania zaległości w zobowiązaniach płatniczych w sumie £ 15.186 i dodatkowo £ 4.000 ?”

Cytujemy powyższe wypowiedzi ponieważ prasa emigracyjna systematycznie i konsekwentnie przemilcza te sprawy. Nie drukuje się niczego co mogłoby być niemiłe Zarządowi. Krytyczne uwagi — nieraz bardzo szczegółowe udokumentowane (jak w sprawozdaniu Koła Nr 7) spotkać można wyłącznie w biuletynach kół terenowych, ale organ kombatancki „Polska Walcząca” tego typu materiałów z zasady nie publikuje.

Na uwagę zasługuje jeszcze jeden epizod ze wspomnianego Zjazdu, który podajemy w relacji „Ku Wolnej Polsce” :

„Przed zakończeniem Zjazdu wpłynął wniosek, by członkowie wybrani do władz SPK wystąpili z partii politycznych i organizacji międzynarodowych. Wniosek przeszedł jednym głosem. Wówczas wybrany już poprzednio do Zarządu p. Zakrzewski oświadczył, że wobec takiego stanu rzeczy składa swój mandat do dyspozycji Zarządu. Wtedy na żądanie jednego z delegatów przewodniczący Zjazdu p. J. Żaba — naszym zdaniem bezprawnie — zarządził nowe głosowanie i wniosek upadł dwoma głosami”.

Na marginesie — dwie uwagi :

Po pierwsze — wynik głosowania nad wnioskiem „odpartyjnienia” władz SPK wskazuje, że akcja tego typu dobrze przygotowana miałaby wszelkie szanse powodzenia i należy ją ponowić.

Po drugie — wydaje mi się, że byłoby pięknie gdyby kolega kombatan M. Hemar wziął pod uwagę, że SPK to nie Free Europe i zgodził się w przyszłości na honoraria nieco poniżej 1.000 dolarów...

LONDYŃCZYK

Der MONAT

MIĘDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

Przeгляд gospodarezy

Po Dunkierce politycznej

Gdyby dziesięć lat temu Francja dała Indochinom rzeczywistą niezależność, to albo nie byłoby w ogóle tej klęskowej wojny, albo byłaby ona wygrana, i pozycja polityczna Francji w południowo-wschodniej Azji i w świecie byłaby bez porównania lepsza niż jest dziś — po rozejmie. Rozejm ten, choć będący wyrazem militarnej klęski francuskiej, został powitany przez polityków europejskich z zadowoleniem dlatego, że po pierwsze reprezentuje on mniejsze zło niż kontynuowanie beznadziejnej wojny, po drugie dlatego, że politycy ci tak się już przyzwyczaili do stuprocentowych przegranych w stosunkach z krajami komunistycznymi, że przegrana na 90% odczuwają jako sukces, wreszcie po trzecie dlatego, że rozejm prawdopodobnie „odracza” sprawę trzeciej wojny światowej, co odpowiada życzeniom rządów i narodów. A przy tym: Francja w pewnej mierze „ratuje twarz” wobec świata i resztki swego prestiżu w Azji, Anglia odmraża „entente cordiale”, nadwierzona nieco przez odmowę pomocy dla Dien Bien Phu, rząd amerykański, niesplamiony appeasementem, poprawia swoje szanse w nadchodzących wyborach do Kongresu. Po stronie komunistycznej: Chiny, obok zysków bezpośrednich, wynikających z rozejmu, montują kapitał prestiżu międzynarodowego i asekurują się przed niepopularnością w Azji, Rosja — zdobywa dogodny punkt wypadowy dla dalszego propagowania teorii koegzystencji, potrzebny jej w zamierzeniach na dalszą metę, oraz w pewnej mierze ułatwia sobie odrywanie Francji od aliantów. Oba państwa komunistyczne przez zgodę na rozejm, omijają postawę nieprzejednania — tego najlepszego budowniczego SEATO. A Indie? Pojedyncze (choć nie w sprawie Kaszmiru), pacyfistyczne (choć nie w zatargu z Portugalią), aprobują radośnie rozejm, jako krok ku pokojowi. Tylko Wietnam protestuje przeciwko podziałowi, ale i on godzi się z nim: skoro bowiem zjednoczenie pod Bao Dajem jest niemożliwe, a pod Ho-Chi-Minhem nie do przyjęcia, to cóż innego pozostaje jak akceptować nieuniknioną konieczność? W sumie wszystko to oznacza powiększenie stanu posiadania bloku komunistycznego o połowę jeszcze jednego kraju z szansą opanowania drugiej połowy w niedalkiej przyszłości.

Gospodarcze skutki rozejmu

Ekonomiczne skutki porażki w Indochinach są dla Francji istotne. Wycofuje się ona z północnej części Wietnamu. Teren ten jest jednym z najbogatszych w całych Indochinach, stanowi trzecią część powierzchni Indochin, zamieszkały jest przez 10 milionów ludzi. Francja opuszcza ważne centra gospodarcze, w szczególności: Hanoi — ośrodek przemysłu lekkiego oraz transportu, Haiphong — ośrodek przemysłu włókienniczego, maszynowego i cementowego, Nam-Dinh z jego przemysłem włókienniczym. Przepadają częściowo pola ryżowe. Przepadają wielkie inwestycje, które Francja zrobiła na tych terenach w czasie swoich tam rządów. Pozycje te będą dla wolnego świata definitywnie stracone o ile wybory, które mają się odbyć w Wietnamie za dwa lata, nie stworzą jednego państwa niekomunistycznego.

Następstwa finansowe rozejmu, jakie odczuje Francja, wyrażają się przede wszystkim w przyszłym zredukowaniu pomocy amerykańskiej na rzecz jej obrony. Kwota 775 milionów dolarów, którą budżet USA na 1953-1954 przyznawał na ten cel, składała się z dwóch elementów: 375 milionów dla armii wietnamskiej i 400 milionów dla francuskiego korpusu ekspedycyjnego. Drugi element wydatków — przy zamierzonym utrzymaniu korpusu ekspedycyjnego — będzie obciążał Francję. Pamiętać też należy, że dzięki konstrukcji dotychczasowych kontraktów finansowych francusko-amerykańskich odnośnie korpusu ekspedycyjnego, właśnie pomoc amerykańska przyczyniła się do tego, że bilans płatniczy pomiędzy tymi dwoma krajami wykazywał w ostatnim roku nadwyżkę 120 milionów dolarów na korzyść Francji. Nie wiadomo dziś jeszcze, jak się te rzeczy dalej będą kształtowały — trudno twierdzić, że pomyślnie dla Francji, choć oczywiście na drugiej szali trzeba położyć zmniejszenie się jej wydatków w związku z zakończeniem wojny.

Mówiąc o tych komplikacjach finansowych w okresie porozejmowym, Mendès-France stwierdził, że potrzebne będą teraz dodatkowe wysiłki eksportowe, aby poprzez handel zapełnić powstałą lukę dolarową, jak również, że Francja będzie musiała ponieść ciężary, związane z ekonomiczną odbudową tej części Indochin, która nadal pozostaje w sferze francuskiej. I tu, na linii styku czystej polityki z gospodarstwem, wyrasta drugie wielkie zadanie francuskiego premiera: reforma gospodarczo-finansowa (której potrzeba wynika zresztą i z innych jeszcze okoliczności).

Jednym z bezpośrednich skutków finansowych rozejmu są też olbrzymie wydatki Francji, związane z przeniesieniem i osiedleniem ludzi, którzy nie będą chcieli pozostać pod rządami komunistów, oraz wydatki na wywiezienie wojsk francuskich i wietnamskich z delty Rzeki Czerwonej, wydatki na ewakuację obiektów przemysłowych itd. Istnieje też następujący problem finansowy francusko-amerykański: co będzie z tą częścią pieniędzy wyplaconych i dóbr dostarczonych Francji, które do chwili podpisania rozejmu nie zostały zużyte na cele wojenne? Od roku 1951 USA wyplaciły Francji i Wietnamowi 2.300 milionów dolarów i dostarczyły 980 tysięcy ton dóbr. Remanenty, zarówno pieniężne jak towarowe, są istotne co do rozmiarów i jakoś muszą być spłacone choć pewne jest, że w sprawie tej USA okażą się wyrozumiałym wierzycielem.

Wreszcie, nie należy zapominać o tym, ile kosztowała ta wojna ośmiolatnia — obok strat w ludziach. Według *Le Monde*, kredyty uchwalone przez parlament francuski na wojnę w Indochinach, włącznie ze świadczeniami amerykańskimi w dolarach i dobrach, dochodzą do 3.000 miliardów franków. Straty moralne, polityczne i gospodarcze tej wojny są więc bardzo wielkie. Była to wojna bez sensu: wojna o — przeszłość.

Jest rzeczą interesującą, czy w świetle bilansu tej wojny Francja zdobędzie się teraz na celową politykę azjatycką na rzecz przyszłości? Jakie powinny być jej cele? Jakie środki: polityczne i ekonomiczne?

Zadania na przyszłość

Chodzi oczywiście o to, aby za dwa lata w wolnych wyborach w Wietnamie, o ile do nich dojdzie, większość wyborców opowiedziała się po stronie wolnego świata. Uzyskać ten wynik można tylko w ten sposób, żeby sympatie ludności wietnamskiej, które dziś w większości są po stronie komunistycznej, przesunęły się na drugą stronę barykady. To ze swej strony nastąpi tylko w tym wypadku, jeżeli w rzeczywistej likwidacji resztek kolonializmu francuskiego w Indochinach i trwałemu pozostaniu Bao Daja w Cannes, gdzie przebywa od długiego czasu, będzie towarzyszyła twórcza polityka gospodarczo-socjalna, mająca na celu podniesienie stopy życiowej ludności, o której zdobycie chodzi. Zadanie to jest dziś stokrotnie trudniejsze, niż byłoby dziesięć lat temu, dlatego że jest już pięć minut do dwunastej, dlatego, że promieniowanie Chin komunistycznych na całą Azję jest bardzo silne i dlatego, że działalność subwersyjna komunistów w „zonie francuskiej” będzie stanowiła silny kontr-czynnik w stosunku do każdej polityki francuskiej, nawet najbardziej konstruktywnej. Nie można więc twierdzić, że polityka ta ma duże szanse. Ale można twierdzić, że bez niej Francja w ogóle nie ma żadnych szans na terenie, o którym mowa.

Ludzie myślący kategoriami czysto gospodarczymi powiedzą zapewne, że np. robienie inwestycji w kraju podminowanym nie ma sensu, bo nakłady inwestycyjne mogą być stracone. Mają rację o tyle, że ryzyko straty niewątpliwie istnieje: ostrożność oczywiście jest bardzo wskazana. Ale czy wynika z tego, że *wszelkie* angażowanie kapitału jest niedopuszczalne choćby nawet politycznie konieczne? Tradycyjne poczucie, że działalność gospodarcza jest nie do pomysłenia bez stabilizacji politycznej, trąci nieco myślką w epoce bomby wodorowej, w epoce, w której wielkie centra cywilizacji ludzkiej i dorobek tysięcy lat pracy mogą jutro przestać istnieć. Warto by więc przytępić nieco wrażliwość na ewentualne straty kapitałowe w krajach gospodarczo zacofanych skoro dzisiejsza sytuacja rodzi kompletnie nową hierarchię wartości.

Należy pamiętać, że wielka scena azjatycka ulega szybkiej transformacji, że Chińczyków nie uda się otoczyć chińskim murem, że wpływ oddziaływania chińskiego sumuje się z samorodnymi dążeniami narodów azjatyckich do niezależności, że wreszcie niewątpliwie będziemy teraz świadkami energicznych usiłowań Wschodu, aby podbić ludność „francuskiego” Wietnamu nie tylko przez subwersję polityczną, ale także przez akcję ekonomiczno-socjalną. Wszystko to w sumie oznacza, że ani SEATO, choć

konieczne, ani żadne inne środki wojskowe same przez się nie wystarczą dla zahamowania postępów komunizmu w Azji i uratowania pozostałej części Wietnamu. Na odcinku indochińskim Francja — reprezentant wolnego świata — zdaje dziś trudny egzamin z umiejętności politycznej. Jeżeli go nie zda, czeka ją polityczne *Dien Bien Phu*.

CZY ZACHÓD TEŻ „WYZWALA”?

Guatemala

Ze względu na dużą rolę, którą momenty ekonomiczne odegrały w niedawnych wypadkach w Guatemali, należy zwrócić baczną uwagę na podszewkę gospodarczą tej sprawy.

Guatemala jest jedną z republik centralno-amerykańskich, o ludności trzy i pół miliona, o powierzchni pięć razy większej niż Szwajcaria. Ludność składa się w większości z Indian, stoi na bardzo niskim poziomie cywilizacji, 80% to analfabeci. W wielu częściach kraju klimat jest dobry, ziemia żyzna, zasoby mineralne znaczne, wśród nich złoto, srebro, miedź, ołów, cynk, chrom, bizmut. Lasy stanowią wielki element w bogactwie naturalnym kraju. Głównym zajęciem ludności jest rolnictwo. Plantacje bananów i kawy grają rolę czołową. Przemysłu jest mało: włókienniczy, skórzany i tłuszczowy roślinny. Ilość ludzi bardzo bogatych jest bardzo mała, brak niemal klasy średniej, większość ludności żyje w biedzie a raczej w nędzy. Indianie przez stulecia całe byli wyzyskiwani przez nieliczną grupę białych oraz przez autochtonów, będących właścicielami ziemskimi. Jest to klasyczny kraj bezrolnych chłopów: w 1950 roku 78% ziemi należało do 2% ludności. Temu układowi stosunków własnościowych towarzyszy fakt, że bardzo wielkie tereny, nadające się do uprawy, leżą odłogiem. Paradoks społeczno-gospodarczy Guatemali wyraża się w tym, że kraj jest bogaty, a znakomita większość jego mieszkańców bardzo biedna.

Już z pobieżnej charakterystyki wynika, że problem rolny jest głównym gospodarczym problemem Guatemali i że od podniesienia produkcji rolnictwa i stopy życia ogółu ludności zależy postęp ekonomiczny, społeczny i kulturalny tego kraju. Jednakże kolejne rządy Guatemali wykazywały zupełną obojętność w stosunku do tych spraw i dopiero rząd, który doszedł do władzy w roku 1944 wykazał daleko idące aktywne zainteresowanie się sprawami oświaty i pracy. Następny rząd, z roku 1945, wprowadził kodeks pracy, związki zawodowe i zaczął ubezpieczeń socjalnych — wbrew elementom konserwatywnym, które broniły starych półfeudalnych form życia. Wreszcie w marcu 1951 prezydentem republiki został pułkownik Arbenz. Postawił on sobie jako cel zasadniczy przeprowadzenie reformy rolnej. Odnośna ustawa została uchwalona w czerwcu 1952. W czerwcu 1954 wojska z Hondurasu, popierane przez USA, wkroczyły do Guatemali, siłą obaliły rząd Arbenza, uważany przez USA za komunistyczny i zagrażający bezpieczeństwu południowej półkuli. Utworzyły też nowy rząd, którego celem jest skonsolidowanie „narodowego ruchu wyzwolenia i zupełne wyeliminowanie komunistów z życia Guatemali”.

W związku z powyższym nasuwają się trzy pytania: czy rząd Arbenza był rzeczywiście komunistyczny? Czy rzeczywiście zagrażał bezpie-

ceństwu Ameryki? Czy popieranie interwencji wojskowej w Guatemali przez USA było uzasadnione z punktu widzenia celowości politycznej? Spróbujmy dać rzeczową odpowiedź.

Czy rząd Arbenza był komunistyczny?

Polityka Arbenza wyrażała się przede wszystkim w jego reformie rolnej. Przystąpił on do przeprowadzenia jej w sytuacji, w której milion akrów ziemi ornej leżało odłogiem i w której, jak to powiedzieliśmy wyżej, 78% ziemi należało do 2% ludności. Przedmiotem wywłaszczenia była tylko ziemia nieuprawiana, a i to tylko w wypadku, jeżeli powierzchnia jej była mniejsza niż 225 akrów. We wrześniu 1952 zaczęto dzielić ziemię państwowe, przeważnie po-niemieckie, w grudniu tegoż roku — prywatne. W ciągu ostatnich trzech lat wywłaszczono milion akrów nieuprawianych, z czego przeszło 612 tysięcy akrów rozdzielono dotychczas pomiędzy 56 tysięcy rodzin chłopskich; poza tym 16 tysięcy rodzin i przeszło 6.600 członków kooperatyw osiedlono na gruntach państwowych, na których uprawiają kawę, trzcinę, bawełnę i zboże. Wywłaszczenia ziemi prywatnej dokonano na podstawie zasady stuprocentowej kompensacji.

Tę reformę rolną można scharakteryzować w sposób następujący. Przede wszystkim: była konieczna. Co do tego, w świetle sytuacji gospodarczej kraju, nie może być żadnych wątpliwości. Nawet konserwatywny *Times* nazywa tę reformę *long overdue*. Po drugie: była skuteczna. Spowodowała wzrost produkcji rolnej, niewielki spadek kosztów utrzymania, pewien wzrost zarobków chłopskich. Po trzecie: była bardzo umiarkowana, mając charakter reformy liberalno-burżuazyjnej. Reforma rolna Arbenza nie ma więc nic wspólnego z komunizmem. Była to raczej reforma antykomunistyczna, gdyż dając chłopu ziemię, i dając ją na serio, a nie w celach taktycznych i przejściowych jak to czynią komuniści, — wzmacniała prywatno-gospodarcze elementy kraju, stwarzała wobec komunistów najpewniejsze ośrodki oporu, jakimi są małe gospodarstwa chłopskie. Jeżeli kto nazywa rząd, który przeprowadził podobną reformę, rządem komunistycznym, to z jeszcze większą „słuszością” można by komunistycznymi nazwać wszystkie rządy umiarkowanie-socjalistyczne, a nawet burżuazyjne, które na tym czy innym polu przeprowadziły nacjonalizację dóbr wytwórczych na podstawie odszkodowania prywatnych właścicieli. Politycznego charakteru reformy rolnej w Guatemali nie zmienia fakt, że popierali ją tamtejsi komuniści ze względów taktycznych. A poza tym, jak zauważył *Economist*, jednym z celów rewolucji Arbenza było dążenie do integracji „dwóch Guatemali” — dwóch odłamów ludności — Indian i Ladino — poprzez transformację indyjskiego dzierżawcy w posiadacza ziemi. W sumie — mówiąc słowami *Manchester Guardian* — „the agrarian reform would make a French *Conservative smile*”, czyli po polsku: koń by się uśmieł z komunistyczności polityki gospodarczej Arbenza. Ale cóż, osady polityczne, zwłaszcza na zachodniej półkuli, często są szyte na wyrost: gdy np. El Salvador wprowadził u siebie po raz pierwszy podatek dochodowy, to mniejszość konserwatywna w tym kraju uważała to niemal za... komunizm.

Też, że rząd Arbenza był komunistyczny, uzasadnia się też dwoma innymi faktami: po pierwsze, że dopuścił do wielkich wpływów komunis-

tycznych w związkach zawodowych i zbyt często przychyłał się do ich opinii, po drugie, że kupował broń od komunistycznej Polski i Czech. Te fakty są prawdziwe. Nie potrafimy odpowiedzieć w sposób stanowczy na pytanie, czy fakt pierwszy oznacza, że w dalszej ewolucji mogło być dojść do chwycenia władzy przez komunistów guatemalskich. Zbyt mało mamy danych co do faktycznej roli związków zawodowych w tym odległym kraju. Ale gdyby nawet wpływ ich był istotny, to chyba nie jest prawdopodobne, że wypadkowa ścierania się ze sobą wpływu komunistycznych związków zawodowych i wpływu antykomunistycznego chłopstwa, obdzielonego przez Arbenza ziemią — byłaby niepomysłna. Opanowanie związków zawodowych przez komunistów w kraju wysoko uprzemysłowionym niewątpliwie ułatwia — tak było np. w Czechach — zamach partii komunistycznej. Ale w kraju takim jak Guatemala? Co się tyczy zakupu broni za żelazną kurtyną, to kolejność faktów była następująca: najpierw Arbenz zwrócił się o broń do USA, a gdy dostał odmowę — kupił w Polsce. Stąd opinia konserwatywnego *Times*'a że „import broni ze Szczecina można by zapewne wytłumaczyć jako nieunikniony ze względu na odmowę USA”.

Za rządów Arbenza komuniści mieli duży wpływ na radio i na armię, a ich stan posiadania w urzędach państwowych był nieproporcjonalnie duży w stosunku do rozmiarów ich szczupłej partii. Mimo tych wpływów nie wskazywało na możliwość objęcia władzy przez komunistów, a wolności obywatelskie nie zostały przez Arbenza naruszone, w każdym razie nie w stopniu, przekraczającym obyczaje polityczne w republikach centralno-amerykańskich.

Słowami znawcy tej sprawy, Patricka Keatley'a, który niedawno wygłosił prelekcję w londyńskim BBC, zapytajmy: „Jaki rodzaj ludzi wchodził w skład rządu prezydenta Arbenza?... Czy byli to reformatorzy agrarni, liberalni kapitaliści, typowi łacińsko-amerykańscy mocni ludzie z ambicjami władzy, czy po prostu komuniści?” Na pytanie to Keatley odpowiada: „Nie łatwo dać tu prostą odpowiedź, ale najlepsza według mnie jest ta, że régime obejmował wszystkie cztery elementy po równemu”. I taka jest bodaj rzeczywista rzeczywistość. Skojarzenie czysto cyfrowe przywodzi tu na pamięć Francję, w której co czwarty poseł do parlamentu jest komunistą (o ile chodzi o Guatemalę to np. w wyborach do jej Kongresu w 1953 tylko jeden komunistą został wybrany, przy ogólnej ilości członków Kongresu 46 w tym całej opozycji 12. Obecnie jest 4 posłów komunistycznych).

Najważniejsze pytanie

O wiele ważniejsze niż to wszystko jest odpowiedź na pytanie: jaką użyteczność dla polityki ZSSR przedstawiałyby komunistyczna Guatemala? W oderwaniu bowiem od tego pytania ewentualny komunizm Guatemali nie miałby w ogóle żadnego znaczenia z punktu widzenia polityki światowej. Dlatego miarą zasadności obaw amerykańskich co do Guatemali jest stopień możliwości użycia tej ostatniej jako narzędzia przez Moskwę. Zdaniem Dullesa Moskwa chce stworzyć bastion komunistyczny w południowej Ameryce i — po nieudanych przed kilku laty próbach w Meksyku — postanowiła wykorzystać Guatemalę — kraj, leżący w pobliżu Kanału

Panamskiego — tak bardzo ważnego pod względem komunikacyjnym i strategicznym. Czy jednak Guatemala, właśnie ze względów geograficznych, nadaje się na instrument do wykonywania zadań „zleconych”? Otoczona państwami antykomunistycznymi, oddalona od centrów komunistycznych o tysiące mil, a od Kanału Panamskiego o 700 mil, czyżby rzeczywiście mogła spełnić rolę groźną dla bezpieczeństwa południowej, a pośrednio i północnej Ameryki nawet gdyby premier tego państwa-liliputa był mianowany przez Moskwę? „Jeżeli chodzi o obawy sabotażu atomowego — pisze londyński *Observer* — to jest dużo prostszych sposobów podstępnego zbliżenia się do Kanału Panamskiego niż hałaśliwy import broni”, który miał miejsce. Nie jesteśmy ekspertami bezpieczeństwa i nie wiemy jak się ta sprawa w szczegółach przedstawia, ale wydaje nam się, że opinia *Observera* jest rozsądna.

W Guatemali z pewnością istniała maszyna sowiecka, potęgująca wpływy komunistów w tym kraju, ale z tego bynajmniej nie wynika, że Moskwie chodziło o dojście ich do władzy. Taktyka centrali komunistycznej w stosunku do zagranicznych partii komunistycznych jest nader skomplikowana i różnorodna, zależna od konkretnych warunków: czasem pcha taką partię do władzy, czasem limituje jej działalność, czasem wprost rzuca na pożarcie „rodzimej reakcji”.

Wychodzący w New Yorku antykomunistyczny „Socjalistyczewskij Wiestnik”, pismo starej socjal-demokracji rosyjskiej, zawsze doskonale zorientowane w głębszych motywach polityki sowieckiej, wysuwa hipotezę, że doprowadzenie komunistów do władzy w Guatemali nie leżało w interesie Moskwy gdyż w danej sytuacji międzynarodowej więcej straciłaby ona na pogłębieniu swego konfliktu z USA niż zyskała na zainstalowaniu w Guatemali swego rządu marionetek, rządu — dodajmy od siebie — który USA w każdej przeciw chwili mogłyby zdmuchnąć. W obecnej sytuacji, pisze „Socjalistyczewskij Wiestnik” dla propagandystycznych celów kominformu wystarczyło wygranie sprawy Guatemali w sensie rozszerzenia i pogłębienia atmosfery antyamerykanizmu w południowej półkuli. Fakty: że broń, dostarczona Guatemali przez Polskę, była kompletnie niezdatna do użytku, że komuniści guatemalscy nie wzięli żadnego udziału w zbrojnej obronie Arbenza, że nie wykorzystali na jego rzecz swych wpływów w jego armii, że nie stworzyli żadnej partyzantki itd. — potwierdzają, zdaniem wymienionego pisma, słuszność jego hipotezy.

Dlaczego więc USA uważają, że rząd Arbenza był niebezpieczny? Dlaczego poparły interwencję zbrojną przeciwko niemu? Czy jest możliwe, żeby rząd amerykański rzeczywiście nie miał prawdziwych informacji o sytuacji w Guatemali? Czy jest rzeczą możliwą, aby nie potrafił wyciągnąć właściwych wniosków ze stanowiska, zajętego przez Meksyk i Argentynę wobec tez Dullesa na konferencji w Caracas(1)? Sądzimy, że jest to nie-

(1) W marcu br. odbyła się w Caracas konferencja pan-amerykańska, na której Dulles przedstawił rezolucję, stwierdzającą, że opanowanie przez komunistów któregośkolwiek z krajów południowo-amerykańskich stanowi niebezpieczeństwo dla wszystkich tych krajów. Za rezolucją głosowali wszyscy jej uczestnicy z wyjątkiem Guatemali, która głosowała przeciw, oraz Argentyny i Meksyku, które wstrzymały się od głosowania. Stanowisko Guatemali świadczy o liczeniu się jej rządu z polityką komunistów. Stanowisko Meksyku i Argentyny, zdecydowanie anty-komunistycznych, świadczy o tym, że pogląd Dullesa nie jest aksjomatem polityki przeciw-komunis-

możliwe. I tu dochodzimy do rzeczy, która według wszelkiego prawdopodobieństwa stanowi podszewkę polityki USA w tej sprawie.

Banany rządzą Guatemalą

Od roku 1906 działa na terenie Guatemali gigantyczny koncern północno-amerykański „United Fruit Company”, właściciel wielkich plantacji bananów, największy koncern w całej Ameryce Centralnej. O potęgę tego koncernu mogą świadczyć następujące dane: terenem jego działalności są: Guatemala, Columbia, Nikaragua, Meksyk, Salwador, Costa-Rica, Honduras, San Domingo, Haiti itd. Koncern jest właścicielem i dzierżawcą ogółem 2 i pół miliona akrów uprawnej ziemi zatrudnia 90 tysięcy pracowników, jego zyski netto wynosiły w 1953 roku 44 i pół miliona dolarów. Koncern ma własne linie kolejowe, własne porty nad brzegiem morza Karaibskiego, własne statki, pływające pod banderą Guatemali, własne linie telefoniczne w tym kraju itd. Będąc taką potęgą gospodarczą, jest zarazem faktycznym władcą kraju, gdyż ma „w garści” ogromny procent całego życia ekonomicznego kraju, które bądź bezpośrednio, bądź pośrednio kontroluje.

Polityka gospodarcza rządu Arbenza musiała doprowadzić do zderzenia z koncernem. Nastąpiły one przede wszystkim w związku z wykonywaniem reformy rolnej, gdyż 234 tysiące akrów ziemi koncernu uległo wywłaszczeniu, a 174 tysiące zostały przeznaczone do dalszego wywłaszczenia. Nastąpił ostry zatarg o samą zasadę jak również o wysokość odszkodowania, ambasador amerykański interweniował. Przedmiotem innego zatargu była najdłuższa linia kolejowa Guatemali, łącząca stolicę z portem, pośrednio kontrolowana przez koncern. Rząd Arbenza podjął kroki w celu przełamania tego stanu rzeczy. Można odrzucić twierdzenia o wyzyskiwaniu robotników przez koncern, gdyż obiektywni obserwatorzy stwierdzają, że koncern był dobrym pracodawcą. Ale faktem jest, że obcy monopol prywatno-gospodarczy stał de facto ponad rządem kraju i że wywoływało to reakcję w kierunku osłabienia tej jego uprzywilejowanej pozycji a przede wszystkim w kierunku poddania go działaniu ustawy o reformie rolnej. Koncern jednak zażarcie bronił swego dotychczasowego stanu posiadania.

Od czasu, gdy te i inne zatargi rządu z koncernem miały miejsce, pod adresem Arbenza zaczęły się mnożyć zarzuty, że jego rząd stanowi „przyczółek mostowy dla międzynarodowego komunizmu w Ameryce”. Obraz sprawy zaokrąglą się przez fakt, że pomiędzy pewnymi wpływowymi osobistościami amerykańskimi a sferą interesów United Fruit Company istnieją szczególnie bliskie związki finansowe. Trudno jest oprzeć się wrażeniu, że podszewka prywatno-gospodarcza odegrała istotną w polityce amerykańskiej rolę, która poparła interwencję wojskową w Guatemali a następnie uniemożliwiła zbadanie sprawy przez Narody Zjednoczone, czego Guatemala domagała się.

Dla pełnej charakterystyki konferencji w Caracas trzeba dodać, że Dulles faktycznie powiązał sprawę pomocy ekonomicznej USA dla południowej Ameryki ze sprawą przyjęcia wymienionej rezolucji.

Prawda, że interesy bananowe to — kokosowy interes. Ale czy wart angażowania powagi imienia Stanów Zjednoczonych — przywódcy i nadziei wolnego świata? Jest rzeczą pewną, że przez politykę taką USA zaszkodziły sobie w opinii nawet wyraźnie antykomunistycznych krajów centralno-amerykańskich, które widzą w tej polityce nie tyle walkę z komunizmem ile raczej zamach na niezależność małego a terytorialnie bliskiego im państwa. Co więcej: jeżeli nowy rząd Guatemali zniweczy rozpoczętą w tym kraju reformę rolną, to skutek będzie niezawodny: powstaną warunki dla dojścia do władzy rzeczywistych komunistów. Taki wynik leżałby na linii logicznego rozwoju rzeczy. Gdy bowiem Zachód „wyzwala” dany kraj od koniecznych reform społeczno-gospodarczych, to stwarza koniunkturę, w której komuniści tym łatwiej „wyzwola” ten kraj od Zachodu. Czy polityka amerykańska nie powinna była rozważyć raczej możliwości poparcia reform Arbenza i osłabienia przez to elementów komunistycznych, co przyczyniłoby się do utrzymania całej sprawy w granicach reformy liberalno-burżuazyjnej?

O ile nam wiadomo, rząd Stanów Zjednoczonych nie próbował rozwiązać problemu Guatemali żadną inną metodą poza metodą popierania przewrotu wojskowego. Nic nie zrobił dla ułatwienia Arbenzowi — który *nie* był komunistą — aby mógł mniej liczyć się z wpływami komunistów, mniej ulegać ich naciskom. Zastosowanie metody tak daleko idącej, jak interwencja zbrojna, w sprawach tak delikatnych, jak podważanie rządu na terenie innego, niezależnego państwa — musi być uważana za *ostatni* środek działania, dopuszczalny dopiero po wyczerpaniu wszystkich innych; w żadnym razie nie może być *pierwszym* krokiem. W chwili, gdy piszemy te słowa nie wiadomo jeszcze jak się dalej kształtować będzie sytuacja w Guatemali, nie byłibyśmy jednak zaskoczeni, gdyby podczas ewentualnych dalszych walk w tym kraju, w bliższej czy dalszej przyszłości, Arbenz siłą wypadków został zapędzony w ramiona komunistów w ich walce przeciwko nowemu régime'owi.

Stanisław ZARZEWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie,
Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

Sprawy i Troski

Socjologia polskiej emigracji

2

DYNAMIKA PROCESÓW ASYMILACYJNYCH

1. — ASYMILACJA.

Termin „asymilacja” stosowałem w pierwszej części niniejszego artykułu w znaczeniu potocznym, utożsamiając asymilację z takim pojęciem jak „przystosowanie się” w najogólniejszym tego słowa znaczeniu. W analizie procesów asymilacyjnych (lub inaczej: procesów przystosowania się) posługiwać się będę terminem „asymilacja” w pojęciu znacznie węższym. Przez asymilację rozumiem taki stan rzeczy, w którym grupa imigrantów (lub poszczególne jej członkowie) ulega wchłonięciu przez społeczeństwo tubylcze przy całkowitym zatraceniu swej odrębności kulturalnej. Osiągnięcie tak zaawansowanego stopnia przystosowania do społeczeństwa miejscowego jest oczywiście możliwe tylko w pewnych, ściśle określonych, okolicznościach, z których najważniejszą chyba rolę odgrywa przynależność emigranta do tubylczej grupy pierwotnej. Z chwilą kiedy jednostka upodobni się do otoczenia i to nie tylko przez osiągnięcie biegłości w używaniu języka lub stosowaniu obyczajów społeczeństwa miejscowego — ale przez wchłonięcie całości wartości kultury tubylców — wówczas następuje asymilacja. Taki stan rzeczy nie zna warunków, które można by nazwać dualizmem kulturalnym; jednostce zasymilowanej w Wielkiej Brytanii trudno być „half-foreign” i „half-British”. Specjalne warunki w Wielkiej Brytanii czynią z asymilacji swoiste *conditio sine qua non*, absolutne i bezkompromisowe przyjęcie brytyjskiego sposobu bycia, sposobu patrzenia na świat, brytyjskich ideałów wychowawczych.

Nie wątpię, że czytelnik mój z terenu brytyjskiego, dobrze zaznajomiony z ekskluzywnością Brytyjczyków i tradycyjną ksenofobią — zgodzi się z moją interpretacją absolutnej asymilacji; sformułowanie moje wyda się może niezrozumiałe czytelnikowi polskiemu, przebywającemu w innych krajach. Weźmy dla przy-

kładu Stany Zjednoczone, gdzie polityka amerykanizacji i stworzonej przez nią „melting pot” umożliwiła jednostce pełną asymilację przy zachowaniu przynależności do imigranckiej grupy pierwotnej. Robert E. Park (1) pisze, że asymilacja w różnorodnym społeczeństwie amerykańskim jest w znacznej mierze funkcją „widoczności” (visibility); z chwilą, kiedy imigrant traci swe zewnętrzne cechy odrębne i staje się świadom uczestnictwa w tym niemalże mistycznym dziedzictwie Jeffersona i Lincolna jakim jest poszanowanie praw i wolności jednostki — można określać go jako zasymilowanego.

Jakiś płynię stąd wniosek dla potrzeb naszej analizy? Otóż wydaje się nie ulegać wątpliwości, że w Wielkiej Brytanii asymilacja Polaków nastąpić może tylko przez wchłonięcie poszczególnych jednostek do grup pierwotnych. Istotną cechą charakterystyczną socjologii grup pierwotnych jest niepodzielność, powiedziałbym wyłączność ich oddziaływania na ludzi poczuwających się do przynależności do takiej grupy. Socjologia amerykańska określa ten stan rzeczy jako „we-feeling”, co przejawia się w używaniu zaimka „my” przez jednostkę utożsamiającą się z grupą pierwotną.

Konflikt lojalności wobec grupy pierwotnej, tak często spotykany w życiu, powstaje właśnie wtedy kiedy, dla przykładu, dorastający chłopiec wymyka się spod kontroli autorytetu rodziny szukając przyjaciół, nowych ideałów i autorytetu wśród kolegów w szkole lub na odcinku pracy zawodowej, zainteresowań społecznych i politycznych.

Czytelnik wybaczy mi chyba moją dygresję teoretyczną. Zrobiłem ją rozmyślnie, aby ułatwić zrozumienie istoty procesów asymilacyjnych wśród Polaków na terenie Wielkiej Brytanii (2). Jeśli przyjmiemy moje założenie teoretyczne to bez trudu wypośredkujemy wśród Polaków te grupy, które ulegają asymilacji w rozumieniu przeze mnie przyjętym. Są to z grubsza biorąc dwie grupy ludzi: jednostki samotne i nie związane emocjonalnie i organizacyjnie z większością społeczności polskiej oraz dzieci polskie. Obie kategorie osób są najbardziej podatne na wpływy asymilacyjne a to dlatego, że tak ludzie samotni jak i dzieci najłatwiej uzyskać mogą przynależność do brytyjskich grup pierwotnych. Drugi wniosek, wypływający z tej analizy, mówi że olbrzymia większość Polaków utrzymujących silne więzy z polskimi grupami pierwotnymi (rodziny polskie, koła i stowarzyszenia byłych wojskowych, pracowników poszczególnych zawo-

(1) Patrz artykuł pt. „Assimilation” w Encyclopaedia of Social Sciences. Zmarły przed kilku laty Park należał do najznakomitszych przedstawicieli chicagowskiej szkoły w socjologii i napisał szereg monografii o grupach imigranckich w Stanach Zjednoczonych.

(2) Na podstawie pośrednich obserwacji wnoszę, że sytuacja asymilacyjna przedstawia się zupełnie podobnie w Australii i Nowej Zelandii, to jest w krajach gdzie przeważa element brytyjski i zawieszona tam tradycja ekskluzywności i niechęci do cudzoziemców.

dów, itd.) nie podlega asymilacji i dlatego sposób jej przystosowania się do warunków życia w Wielkiej Brytanii rozpatrzę jako oddzielną kategorię pod nazwą: *akomodacja*.

Zajmiemy się teraz kolejno grupami ludzi podatnych na asymilację.

a) *Samotni* :

W tej grupie rozróżnić pragnę dwa rodzaje czynników wpływających na asymilację i takie jej konsekwencje jak zerwanie więzów emocjonalnych i organizacyjnych ze społeczeństwem polskim, niechęć a niejednokrotnie agresywność w stosunku do organizacji i ogółu Polaków, przyjęcie mowy i obyczajów nowego środowiska. Po pierwsze należy podkreślić czynniki natury psychicznej, związane z osobowością jednostki. Wyliczę tylko niektóre z nich nie wchodząc w szczegóły skomplikowanych procesów psychicznych kształtujących osobowość człowieka w zetknięciu ze środowiskiem w którym przebywa: gotowość przystosowania się do nowej pozycji społecznej lub zawodowej oraz niski stopień agresywności i apatii, brak zaburzeń psychicznych związanych z przejściami okresu wojny.

Drugi rodzaj czynników to takie warunki osobiste jednostki jak wiek, biegiłość w opanowaniu języka, umiejętność dawania sobie rady w nowym środowisku, stan cywilny. Jest chyba rzeczą oczywistą, że wszystkim tym warunkom sprostać mogą przeważnie (ale nie wyłącznie) ludzie młodzi, samotni, u których taki problem jak np. zmiana zawodu, sposobu życia, „przystawienia się” na angielski sposób myślenia — rozwiązany może być szybko i bez wstrząsów emocjonalnych. Ważną jest rzeczą aby pamiętać, że wszystkie wyżej wymienione czynniki sprzyjające asymilacji muszą występować równocześnie, jakkolwiek niekoniecznie w doskonałym stopniu. W obserwacjach moich spotkałem na przykład wielu Polaków (przeważnie w środowisku robotniczym), których znajomość języka angielskiego nie jest bynajmniej doskonała. Niemniej jednak posiadając inne walory osobiste, a przede wszystkim łatwość przystosowania swego „sposobu życia” — określiłem ich w mych „sondach” socjologicznych jako ludzi zasymilowanych. Odwrotnie, ludzie którzy posiadają dobrą znajomość języka angielskiego a, dla przykładu, cierpią z powodu degradacji zawodowej, nie są zupełnie podatni na wpływy asymilacyjne.

Jakież jest *modus operandi* tendencji asymilacyjnych? W większości wypadków drogę do uczestnictwa w brytyjskiej grupie pierwotnej otwiera małżeństwo mieszane. Piszę „w większości wypadków” gdyż bynajmniej nie twierdzę, że wszystkie małżeństwa polsko-brytyjskie (liczbę ich oceniam na 8.000) są formą asymilacji jednostek. Niemniej jednak w większości wypadków małżeństwa mieszane ułatwiają asymilację niejednokrot-

nie zaś czynią asymilację Polaka warunkiem szczęścia małżeńskiego (3).

Szczęśliwe małżeństwo z Brytyjką wprowadza Polaka w krąg kontroli społecznych rodziny żony. Następstwem tego jest stopniowe rozluźnienie więzów z kolegami polskimi, życiem organizacyjnym lub politycznym społeczności polskiej, zarzucenie tradycji polskich, związanych z obchodami narodowymi lub rokiem kościelnym, wreszcie utożsamienie własnych celów, ideałów i sposobu życia z normami narzucanymi przez brytyjską grupę pierwotną. W końcu przyjęcie obywatelstwa brytyjskiego jest równoznaczne z formalnym zerwaniem ze społeczeństwem polskim (3a).

b) Dzieci :

Polscy nauczyciele, wychowawcy i rodzice, z którymi mówiłem na temat wynaradawiania dzieci polskich zakładają, że długość pobytu w środowisku angielskim, szkole i towarzyszym dzieci angielskich, jest funkcją stopnia wynaradawiania. Tymczasem tak nie jest. Obserwujemy bowiem zjawisko odwrotne, a mianowicie gwałtowny i szybki proces wynaradawiania u dzieci przybyłych już w latach powojennych z Niemiec i Kraju, a natomiast przeciętnie wyższy stopień świadomości narodowej u dzieci, przybyłych do Wielkiej Brytanii w roku 1940 lub urodzonych w czasie wojny.

(3) Zagadnienie małżeństw mieszanych poddane zostało wszechstronnej analizie w nieopublikowanym dotąd studium profesora Tadeusza Sulimirskiego, przeprowadzonym na podstawie ankiety rozesłanej do z górą 2.000 małżeństw w latach 1947-1948, a więc w okresie w którym większość Polaków dopiero zaczynała stawiać pierwsze kroki po demobilizacji w życiu cywilnym na obcym terenie. Specjalną uwagę poświęcił prof. Sulimirski zagadnieniu doboru naturalnego według przynależności do klasy społecznej. Statystyk, p. Jerzy Berent, przeprowadził analizę statystyczną materiału zebranego przez prof. Sulimirskiego; z nieopublikowanej dotąd pracy p. Berenta wynika, że główną przyczyną nieporozumień małżeńskich są różnice wyznawcze.

Bibliografia: Tadeusz Sulimirski : *British-Polish Marriages* (A. Preliminary Study). *Polish Fortnightly* Nr 5. London 1948, strona 4. Tadeusz Sulimirski. *Mixed British-Polish Marriages and the Problem of Matrimonial Selection. Resumé des Communications. Deuxième Congrès International des Sciences Anthropologiques et Ethnologiques.* Jerzy Berent: *A study of the successfulness et Polish-British Marriages*, London 1950.

(3a) Twierdzenie powyższe dotyczy tylko omawianej kategorii ludzi, bowiem w większości wypadków naturalizacja (przyjęcie obywatelstwa brytyjskiego) nie jest równoznaczna z asymilacją. Zetknąłem się z wieloma ludźmi których można zaklasyfikować do kategorii pod nazwą akomodacja, a którzy czuli się zmuszeni do uzyskania paszportu brytyjskiego dla uzyskania posady rządowej, otwarcia przedsiębiorstwa handlowego i tym podobnych celów.

Obserwacje, jakie przeprowadziłem w katolickiej szkole dla dziewcząt w Londynie oraz w czasie półkolonii wakacyjnej, prowadzonej przez harcerstwo, dowiodły, że przeciętne dziecko polskie, przybyłe do Anglii po zakończeniu wojny jest bardziej wrażliwe na wpływy środowiska brytyjskiego, aniżeli dziecko, które przebywało tutaj przez dłuższy przeciąg czasu.

Jakże więc należałoby wytłumaczyć to paradoksalne zjawisko? Czym wytłumaczyć fakt, że dziesięcioletni Jurek, który opuścił Kraj w styczniu 1948 roku, nie tylko zapomniał mowy polskiej po niespełna roku pobytu w angielskiej szkole internatowej, ale zapytany po angielsku nie potrafił wymienić ani jednego z nazwisk polskich bohaterów narodowych ani też narysować biało-czerwonego sztandaru?

Indywidualne badania poszczególnych dzieci na ogół wykazują, że te dzieci, które przeżyły poważne wstrząsy psychiczne w czasie wojny lub bezpośrednio po jej zakończeniu (bombardowanie, trudy tułaczki itd.) są bardziej wrażliwe na oddziaływanie środowiska brytyjskiego : znalazłszy się w nieporównanie lepszych warunkach na terenie szkoły, internatu czy rodziny kolegów angielskich, Igną do tego wszystkiego, co jest symbolem ciepła rodzinnego choćby w najmniejszym stopniu. Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem kompensacji (równoważenia psychicznego, w czasie którego to procesu w podświadomości dziecka następuje utożsamienie straconego ognis domu czy też prawdziwego ciepła rodzinnego z obecnym otoczeniem).

Proces ten występuje jeszcze wyraźniej wtedy, kiedy dziecko rzeczywiście nie posiada tutaj domu w pełnym tego słowa znaczeniu. Jest to wypadek bardzo częsty w dzisiejszym położeniu materialnym naszego uchodźstwa. Rozłączone rodziny, brak stałych mieszkań, trudna sytuacja materialna — oto warunki krańcowo różne od tych w jakich przebywa dziecko przez większą część roku uczęszczając do szkoły angielskiej.

Dlatego też dziecko przyjeżdżając do rodziców na wakacje z internatu, czy też powracając do domu po całym dniu spędzonym w szkole, dostrzega różnice w warunkach materialnych. Niektóre dzieci potrafią nawet zupełnie jasno sformułować te różnice. Dziesięcioletni Jurek, na pytanie gdzie woli się bawić — w domu czy w szkole, odpowiada: „Lepiej jest w szkole, bo mamy duży plac do zabawy, a w domu mieszkam w jednym pokoju z rodzicami”. Dziesięcioletni Ryszard tęskni do końca wakacji i powrotu do szkoły skarżąc się: „Na wakacjach jestem w domu zupełnie sam, bo mamusia wraca z pracy dopiero o szóstej wieczorem. Nieraz jestem głodny gdyż nie ma mi kto ugotować ciepłego obiadu”.

Utożsamienie straconego domu z angielską szkołą, czy środowiskiem angielskich kolegów, to pierwsza faza wynaradawiania u dziecka.

Wtórny objawem procesu wynaradawiania jest tendencja do zastąpienia języka polskiego — językiem angielskim dla po-

trzeb zabawy i kontaktów między dziećmi. Język polski używany jest rzadko, często zniekształcony i tylko jako środek porozumiewania się z rodzicami, czy też przedstawicielami starszego pokolenia polskiego. Dziecko poczyną tracić więzy łączące go ze społeczeństwem polskim i powoli — początkowo nieświadomie — zaczyna myśleć kategoriami członka społeczeństwa brytyjskiego. Charakterystyczne w tej fazie jest przyjmowanie brytyjskich symboli narodowych za własne. 10-letnia Helenka zapytana: Kto jest twoim królem? — odpowiada: Jerzy VI (4), a proszona o narysowanie sztandaru rysuje poprawnie brytyjski Union Jack. Przypadek Helenki nie jest odosobniony i warto opisać go szczegółowo, jako typowy przykład związku przyczynowego, którego wynikiem jest stan zatracenia świadomości narodowej.

Helenka przybyła do Wielkiej Brytanii w lecie roku 1947 po z górą siedmiu latach rozłąki z rodzicami. Wybuch wojny zastał ją z dala od rodziców, na Podkarpaciu, gdzie przebywała jako zupełnie jeszcze małe dziecko pod opieką siostry matki, podczas gdy rodzice zajęci byli przenoszeniem mieszkania z Warszawy do Lwowa, gdzie też stracili z nią łączność. Sprowadzona do Wielkiej Brytanii po siedmiu latach Helenka zobaczyła rodziców właściwie po raz pierwszy. Wczesne dzieciństwo, spędzone z dala od nich, obecnie nieustabilizowane życie rodziców, bardziej niż skromne warunki materialne, kontrastujące ze świetnie wyposażoną szkołą, uczyniły Helenkę podatną na wpływy środowiska brytyjskiego.

Do charakterystycznych objawów tej fazy procesu asymilacji należy również powolne *zatracenie u dzieci poczucia wspólnoty z tradycją narodową*. W tej fazie dziecko zaczyna odczuwać brak zrozumienia, atrakcyjności i znaczenia takiego na przykład zwyczaju, jak łamanie się opłatkiem w wieczór wigilijny. Dzieje się to w tym okresie, kiedy rozwój umysłowy dziecka postępuje szybko naprzód i wydawać się mogło, że powinno ono lepiej i głębiej wnikać w sens tego obrzędu. Równocześnie zaś w świadomości dziecka zaczyna zmniejszać się atrakcyjność wszystkich innych przejawów polskości. I tak na przykład dziecko, które nawet zna dobrze język polski i ma do wyboru angielski „Comics” i polskie pisemko dla dzieci, wybierze niechybnie „Comics” z historyjkami o Mickey Mouse, Donald Duck czy też wierszykiem o Jack i Jill. Śpiący rycerze na Giewoncie, historyjka o smoku wawelskim lub kosynierzy Kościuszki — nie znajdują miejsca w strefie „klimatu duchowego” zasymilowanego dziecka.

Trzecia faza procesu asymilacji to *konflikt między dzieckiem a jego rodzicami*. W tej fazie dom, rodzice, całe środowisko polskie staje się dla dziecka obce, odległe i różne od „klimatu

(4) Dotyczy badań jakie przeprowadzałem w styczniu 1952 roku, na kilka tygodni przed śmiercią Jerzego VI.

duchowego” środowiska brytyjskiego. Dziesięcioletnia Zosia zwraca uwagę matce, że mówi w autobusie głośno po polsku. Ośmioletni Janek nie chce mówić wieczornego pacierza po polsku, płacze, kiedy matka każe zostać mu w domu w sobotnie popołudnie dla uczczenia imienin ojca, podczas gdy w domu angielskiego kolegi odbywa się „Children's party”.

2. — AKOMODACJA.

Przez zapożyczone z obcego języka pojęcie „akomodacja” rozumiem taki stosunek między grupą imigrantów a społeczeństwem tubylczym, który można by określić jako kompromis pomiędzy asymilacją z jednej strony a konfliktem z drugiej strony. Akomodacja (tak w zastosowaniu do całej grupy jak i poszczególnych jednostek) różni się od asymilacji gdyż nie oznacza całkowitego wchłonięcia imigrantów przez społeczeństwo miejscowe; różni się też od konfliktu tym, że oparta jest na zasadzie pokojowego a często i przyjaznego *modus vivendi* pomiędzy imigrantami i tubylcami. Z powyższego wynikają następujące cechy charakterystyczne tego stanu rzeczy, który nazwalibyśmy akomodacją:

- a) zachowanie odrębności kulturalnej u grupy imigrantów;
- b) segregacja mieszkaniowa, na odcinku pracy, w rozrywce i odpoczynku;
- c) ograniczenie styczności ze społeczeństwem tubylczym do kontaktów opartych na zasadzie instytucyjnej, to jest za pośrednictwem polskich organizacji i instytucji (por. działalność „konsularna” Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w części I. niniejszego artykułu).

Podobnie jak w wypadku asymilacji czynnikiem zasadniczej wagi jest przynależność do brytyjskiej grupy pierwotnej — tak też w kategorii przystosowania który nazywamy akomodacją, uczestnictwo w polskiej grupie pierwotnej ma decydujące znaczenie. Co więcej, silne więzy łączące jednostkę z polską rodziną, kołem oddziałowym, grupą kolegów z którymi wiąże się wspomnienie wspólnej pracy zawodowej przed wojną — to wszystko są czynniki, w większości wypadków skutecznie oddziaływujące jako środek zwalczający tak częste przejawy melancholii, nostalgii, schorzeń psychicznych. Wynika więc z tego że akomodacja jest stanem świadczącym o zdrowej postawie olbrzymiej większości polskiego społeczeństwa. Ten stan rzeczy (utwierdzają mnie w tym twierdzeniu nie tylko badania poszczególnych wypadków ale rozmowy z przedstawicielami władz brytyjskich, samorządu, oraz przemysłowców zatrudniających liczne rzesze Polaków) jest wynikiem oddziaływania tych wszystkich czynników instytucyjnych, którym poświęciłem część I. mego

artykułu. Mechanizm kontroli społecznej, którego motorem są organizacje polskie tak świeckie jak i kościelne, a wyrazem polska prasa — czyni ze społeczności polskiej grupę zwartą, zdyscyplinowaną, a z punktu widzenia naszych gospodarzy nie tylko nie będącą ciężarem społecznym, ale dającą z siebie wiele dla gospodarstwa brytyjskiego.

Segregacja mieszkaniowa, na odcinku pracy i odpoczynku — jest też w znacznym stopniu konsekwencją oddziaływania czynników instytucjonalnych połączonych z domieszką ekskluzywności i ksenofobii u przeciętnego Brytyjczyka. O znaczeniu polskich ghett w miastach i osiedlach pisałem już w części I. tego artykułu. Pragnę poświęcić parę uwag segregacji na odcinku pracy. Ten typ segregacji zaobserwowałem podczas kilkumiesięcznej pracy w fabryce czekolady P. pod Londynem. Dostałem się tam dzięki uprzejmości urzędnika z miejscowej Labour Exchange (5), który poinformował mnie, że skierowano tam kilkudziesięciu byłych żołnierzy polskich oraz parę setek robotników angielskich (fabryka uruchomiona była po dłuższej przerwie spowodowanej wojną).

W początkowej fazie zatrudnienia w fabryce P. Polacy (stanowiący około 1/5 załogi fabryki) rozrzućeni byli po wszystkich działach. Po mniej więcej miesiącu utworzyli swój własny „kąt” zwany „Polish Corner” w kantine fabrycznej, gdzie w przerwie obiadowej spotykali się na „wspominki” lub rozmowę o kłopotach i sprawach bieżących. Tam też wyjmowano potłuszczone egzemplarze „Dziennika Polskiego” kolejno czytane przez wszystkich. Z biegiem czasu Polacy zmonopolizowali jeden dział fabryczny, mianowicie produkcję czekoladek z migdałami, i od tej chwili tam koncentruje się życie polskiej załogi fabryki P. Nie obeszło się przy tym bez zatargu z robotnikami angielskimi, którzy protestowali przeciw nadmiernej gorliwości Polaków obsługujących maszyny spryskujące migdały czekoladą; był to okres wzrastającego popytu na słodczyce i Polacy chętnie pracowali w sobotnie popołudnie, a z czasem i na zmianę nocną. Z zatargu Polacy wyszli obronną ręką. Kierownictwo fabryki, świadome korzyści płynących z zatrudnienia Polaków w dziale czekoladek migdałowych, przeniosło tam większość Polaków z innych działów, tworząc dział wyłącznie polski pod nadzorem polskiego „foreman’a” (majstra), którym mianowano popularnego wśród Polaków byłego plutonowego saperów z Korpusu.

Przykład fabryki P. nie jest odosobniony. Z materiałów jakie zebrałem nie wydaje się ulegać wątpliwości, że w większości wypadków zatrudnienia Polaków w przemyśle, pracodawcy dochodzą wcześniej czy później do wniosku, że wydajność robotnika polskiego jest funkcją poczucia bezpieczeństwa jakie daje praca w zespole polskim a nie mieszanym. W tym wypadku

(5) Państwowe Biuro Pośrednictwa Pracy.

taki właśnie dobrany zespół polski staje się w pewnym sensie grupą pierwotną (6).

Problem wykorzystania czasu wolnego od pracy zarobkowej ma specjalne znaczenie w analizie akomodacji. Wspomniałem już w części pierwszej niniejszego artykułu jak liczna jest grupa ludzi, skazanych na degradację zawodową i społeczną. Czas wolny od pracy zarobkowej pozwala tym ludziom na poświęcanie choćby kilku godzin na zainteresowania zawodowe, poczynania intelektualne i rozrywki do jakich byli przyzwyczajeni w Kraju. W mej pracy w języku angielskim nazwałem to zjawisko terminem: „compensatory leisure pursuits”, podkreślając w ten sposób, że istotne znaczenie posiada w tym wypadku kompensacyjne oddziaływanie zainteresowań poza-zarobkowych. Kilka godzin spędzonych wieczorem w bibliotece naukowej, na zebraniu zrzeszenia byłych adwokatów, lub na wspominkarskim wieczorku z lampką wina w Ognisku Polskim, stanowią tę właśnie konieczną przeciwwagę dla polskiego profesora uniwersytetu, byłego członka palestry w Warszawie lub ziemianina z Kresów, który dzisiaj zmuszony jest zarabiać na życie zmywając naczynia w restauracji londyńskiego hotelu. Bez tej przeciwwagi ludzie ci narażeni byłiby na wykoślenie moralne lub schorzenia psychiczne. I na tym właśnie polega rola polskiej instytucji — od organizacji kombatanckich począwszy a na bibliotekach, klubach i świetlicach skończywszy — że stwarzają one warunki w których kompensacyjne zainteresowania poza-zarobkowe mogą być urzeczywistniane.

W tym miejscu pragnę raz jeszcze podkreślić rolę prasy polskiej i to nie tylko tej „masowej” („Dziennik Polski”, „Gazeta Niedzielną”) ale i periodycznej, odpowiadającej zainteresowaniom i poziomowi intelektualnemu czytelników. Poważne „Życie”, wspominkarsko-literackie „Wiadomości”, pobudzająca do myślenia swą nie-ortodoksyjną postawą „Kultura” a wreszcie cała masa pomniejszych periodyków emigracyjnych i niektórych krajowych — stwarzają „klimat” polski, w którym segregacja Polaków, choćby w jednym tylko pokoleniu, staje się faktem a przez to podkreśla naszą odrębność kulturalną. Prasa ma również specjalne znaczenie dla tej, coraz liczniejszej rzeszy Polaków, która pracuje w angielskich urzędach i instytucjach naukowych, słowem w pracy zawodowej styka się z Brytyjczykami na gruncie wymiany intelektualnej. Dla tych ludzi, należących do grupy nie podpadającej pod kategorię „asymilacji”, prasa polska jest też w pewnej mierze środkiem kompensacyjnym. Ko-

(6) Do największych zakładów przemysłowych zatrudniających zwartą grupę Polaków należy British Celanese Ltd. w środkowej Anglii. W roku 1951 pracowało tam 650 Polaków, zatrudnionych pod kierownictwem polskich majstrów wraz z polskim referentem opieki. Spore grupy zatrudnione są również w fabryce herbatników Peak Freans i fabryce lodów Walls'a w Londynie, oraz w fabryce linoleum Tay Floorcloth Co w Newburgh w Szkocji.

rzystają oni w równej mierze (i dodają : z pożytkiem) z dorobku kulturalnego brytyjskiego i polskiego.

3. — KONFLIKT.

Pojęcie konfliktu w socjologii styczności społecznych ma dwojakie znaczenie. Pierwsze oznacza stan napięcia, niezgody lub rywalizacji pomiędzy dwiema grupami. Drugie znaczenie określa stan psychiczny jednostki, powodujący rozdzźwięk pomiędzy daną jednostką a społeczeństwem. Dla potrzeb naszej analizy kategoria konfliktu, jako jedna z trzech kategorii procesów przystosowania, używana będzie przede wszystkim w drugim znaczeniu. Nie oznacza to wcale, że stosunki pomiędzy Polakami i Brytyjczykami wolne są od zadrażnień lub elementu rywalizacji; takie elementy w stosunkach pomiędzy obu grupami spotykamy na każdym kroku. Pamiętać jednak należy, że tego rodzaju zadrażnienia i rywalizacja nie wywołują stanu chronicznej niezgody, nie tworzą polskich skupisk o takim charakterze jaki nosiły np. obozy internowanych Niemców czy Włochów w czasie wojny w Anglii. Dla tego też kategorię konfliktu ograniczymy do indywidualnych wypadków rozdzźwięku pomiędzy poszczególnymi Polakami a otaczającym ich społeczeństwem brytyjskim a niejednokrotnie nawet własną rodzinną grupą polską.

Rozpatrzmy teraz pokrótce trzy główne formy konfliktu : zaburzenia psychiczne, przestępczość i samobójstwa.

Zaburzenia psychiczne, od melancholii i schizofrenii aż do chorób umysłowych niebezpiecznych dla otoczenia, są, niestety, typową chorobą emigracji polskiej. Badania nad tym zagadnieniem przeprowadził w latach 1951-1952 psychiatra angielski dr H. B. Murphy, któremu pomagałem w analizie statystycznej materiałów zebranych drogą ankiety, rozeslanej — za pośrednictwem Zjednoczenia Polskiego — do blisko dwustu ośrodków polskich, rozsianych po całej Wielkiej Brytanii. W ankiecie naszej przyjąłmy skierowanie do szpitala dla umysłowo chorych jako wskaźnik konfliktu u jednostek (w terminologii fachowej dr Murphy nazwał to : „Index of personal disorganization”). Wyniki ankiety streszcza podana niżej tablica.

USTOSUNKOWANIE MIEJSCOWEGO SPOŁECZEŃSTWA

	Przyjazne	Obojętne	Nieprzyjazne
Ilość osób objętych badaniami	7.210	8.700	2.575
W tym : ilość osób skierowanych do szpitali dla umysłowo chorych	24	52	16
Stopa skierowań do szpitala (w stosunku do 1.000)	3.33	5.98	6.21

KONTAKTY Z MIEJSCOWYM SPOŁECZEŃSTWEM

	Ożywione	Brak kontaktów
Ilość osób objętych badaniami	5.700	12.675
W tym : ilość osób skierowanych do szpitali dla umysłowo chorych	15	76
Stopa skierowań do szpitala (w stosunku do 1.000)	2.63	6.0

Studium danych zawartych w powyższej tablicy nasuwa nam dwa wnioski.

Pierwszy wniosek dotyczy związku przyczynowego pomiędzy rodzajem stosunków łączących ośrodek polski ze społeczeństwem brytyjskim a występowaniem schorzeń psychicznych u Polaków (ściśle mówiąc ilością skierowań do szpitali dla chorych umysłowo w stosunku do tysiąca). Otóż nie wydaje się ulegać wątpliwości, że istnieje związek przyczynowy tego rodzaju zarówno w kategorii „ustosunkowania miejscowego społeczeństwa” jak i w kategorii „kontakt z miejscowym społeczeństwem”. Stopa 6.21 pro-mille dla kategorii „nieprzychylne ustosunkowanie miejscowego społeczeństwa” jest krańcowym przykładem takiego stosunku funkcjonalnego. Drugie spostrzeżenie dotyczy rzędu wielkości stopy skierowań do szpitali dla umysłowo chorych. W Wielkiej Brytanii stopa ta w ostatnich latach nie przekraczała, wśród polskich emigrantów, 0.8 pro-mille, w warunkach optymalnych (kategoria: „przyjazne ustosunkowanie się miejscowego społeczeństwa”), stopa skierowań do szpitala jest czterokrotnie wyższa. Jest to chyba przekonujący dowód, jak zgubne skutki pociąga za sobą odcinanie się niektórych ośrodków polskich od społeczeństwa angielskiego.

Każdemu komu znana jest historia polskiego uchodźstwa wojennego, gehenna byłych deportowanych do Rosji, Niemiec, byłych więźniów i jeńców — nie trudno będzie doszukać się przyczyn zaburzeń psychicznych. Nie należy jednak zapominać o tym, że ucisk psychiczny, spowodowany przeżyciami okresu tułaczki potęgowany jest wielokrotnie tym stanem rzeczy, który socjolog nazywa izolacją kulturalną. Baczny obserwator życia polskiego w Wielkiej Brytanii łatwo dostrzeże różnice w zdrowiu psychicznym takiego ośrodka jakim jest polskie osiedle, składające się z rodzin utrzymujących się z pracy w okolicy, a zamkniętym ghettem polskim w Londynie, składającym się z ludzi samotnych, nie zdolnych do pracy zarobkowej i żyjących w atmosferze wewnętrznych swarów politycznych i rozpamiętywań przeszłości.

Osobną uwagę wypada poświęcić zjawisku degradacji (lub jak wolą niektórzy nasi dziennikarze : deklasacji) społecznej i za-

wodowej. Wspomniałem już o tym pisząc o wykorzystaniu czasu wolnego od pracy zarobkowej dla „równoważenia” degradacji. Pisząc o konflikcie jednostek z otoczeniem nie mogę pominąć degradacji społecznej i zawodowej jako czynnika leżącego w wielu wypadkach u źródeł schorzeń psychicznych, a nieraz i samobójstw. Ten ostatni wypadek nie jest bynajmniej odosobniony. W moich badaniach natknąłem się na wiele wypadków samobójstw na tym tle. Są to oczywiście wypadki krańcowe, w których degradacja jednostki kojarzy się z izolacją kulturalną, wstrząsem psychicznym zadany przez przeżycia wojenne, itd. Splot takich właśnie czynników prowadzi jednostkę do samobójstwa (7).

Przestępczość wśród Polaków w Wielkiej Brytanii jest zjawiskiem rzadkim, i, podobnie jak samobójstwo, jest krańcową formą „dezorganizacji osobowości”. Policja angielska nie prowadzi oddzielnej ewidencji przestępców narodowości obcej nie można więc porównać przestępczości Brytyjczyków, Polaków i innych narodowości. Można jednak ustalić, z pomocą *dossier* policji brytyjskiej lub sprawozdań prasowych, przeszłość przestępcy i w ten sposób wypośredkować te czynniki w przeżyciach jednostki, które prawdopodobnie leżą u źródeł przestępczości.

Analiza wszystkich wypadków przestępczości u Polaków (skrupulatnie notowanych przez „Dziennik Polski”) na przestrzeni trzech lat, 1948-1951 utwierdziła mnie w przekonaniu, że przestępcy wśród Polaków rekrutują się z dwóch grup: byłych deportowanych do Rosji Sowieckiej oraz ludzi wywiezionych na roboty do Niemiec w latach okupacji. W jednym i drugim wypadku ludzie ci byli deportowani w okresie dojrzewania, to jest w okresie kiedy charakter i struktura psychiczna człowieka kształtują się ostatecznie. Zdani na własne siły, pozbawieni opieki i nadzoru domu i szkoły — młodzi wystawiani byli nie tylko na zgubne wpływy moralne, ale — jak to podkreśla dr Tadeusz Grygier w swej pracy o psychologii i kryminologii polskich dipisów (8) — wystawieni byli na wpływy ucisku psychicznego związanego z utratą wolności, degradacją moralną, oderwaniem od ciepła rodzinnego.

Jest rzeczą ciekawą, że w analizie przestępczości przeważają wypadki przestępstw natury agresywnej, takich jak porażenie nożem, bronią palną lub (w nielicznych wypadkach) morderstwo. Należy przypuszczać, że taka właśnie forma agresyw-

(7) W roku 1951 Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii zebrało wiadomości o 26 wypadkach samobójstwa wśród Polaków. W piętnastu wypadkach przyczyna samobójstwa ustalona przez sędziego (tzw. „Coroner”) było zaburzenie psychiczne („disturbance of the balance of mind”); poczucie zawodu z powodu degradacji klasowej połączone z niemożnością znalezienia odpowiedniej pracy, podano w ośmiu wypadkach jako przyczynę odebrania sobie życia przez uchodźcę.

(8) *Oppression. A study in social and social criminal psychology*, International Library of Sociology and Reconstruction London, 1954. Stron XIV + 362.

ności, połączona z posiadaniem broni palnej lub noża, itp. symbolizuje czasowe choćby uzyskanie straconego niegdyś przez przestępcę, poczucia bezpieczeństwa. Większość przestępców, w okresie poprzedzającym rozprawę sądową nie prowadziła osiadłego życia i nie potrafiła znaleźć sobie stałej pracy.

Dynamika procesów asymilacyjnych wśród emigrantów polskich w Belgii i we Francji

Jeśli pominiemy Niemcy Zachodnie to po „tej” stronie Żelaznej Kurtyny w Europie możemy mówić o dwóch jeszcze — obok Wielkiej Brytanii — skupiskach Polaków. Są to dwa ośrodki „starej” emigracji we Francji i w Belgii zasilone w latach powojennych zastrzykiem emigracji politycznej. Ostatnio ukazało się szereg wartościowych studiów emigracji polskiej w tych krajach (9); nie od rzeczy więc będzie streścić najważniejsze wnioski zawarte w tych studiach i monografiach oraz porównać spostrzeżenia badaczy francuskich i belgijskich z moimi własnymi.

Według oficjalnych danych francuskich liczba Polaków osiadłych we Francji wynosi 460.000, w tym około 60.000 posiada status uchodźców (10); w Belgii według spisu z roku 1947 znajdowało się 58.000 Polaków, w tym około 16.000 uchodźców.

Socjolog, który bada procesy asymilacyjne u Polaków we Francji lub Belgii posiada tę wyższość nad badaczem emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii, że może przeprowadzać porównanie stopnia asymilacji u dwóch, a czasem nawet trzech pokoleń. Girard i Stoetzel podkreślają wysoki stopień zachowawczości u przedstawicieli najstarszego wiekiem i długością pobytu we Francji pokolenia emigrantów polskich. Przejawia się to w używaniu języka polskiego, sposobie spędzania czasu wolnego, czytelnictwie gazet polskich, słuchaniu polskich audycji radiowych — u Polaków, którzy przybyli do Francji trzydzieści lat temu szukając pracy w kopalniach i na roli. Ciekawie wypada porównanie stopnia zachowawczości u górników polskich w departamencie Nord i rolników w departamencie Aisne. Okazuje się, że ele-

(9) Jacques Vernant. *Les Réfugiés dans l'après-guerre*. Editions du Rocher, Monaco, 1953; Georges Mauco, „The Assimilation of Foreigners in France”, *Cultural Assimilation of Immigrants*, UNESCO, London, 1950; Alain Girard et Jean Stoetzel: *Français et Émigrés, L'attitude Française. L'Adaptation des Italiens et des Polonais*, Presses Universitaires de France, Paris 1953.

René Clémens, Gabrielle Vosse-Smal, Paul Minon, *L'Assimilation culturelle des Immigrants en Belgique. Italiens et Polonais dans la region liegeoise*, Liège 1953.

(10) W liczbie 60.000 jest około 48.000 przedstawicieli przedwojennej emigracji zarobkowej, którzy formalnie wyrzekli się opieki konsularnej władz reżymu warszawskiego i w ten sposób uzyskali status uchodźców; 12.000 osób należy do uchodźstwa wojennego *stricto sensu*.

ment górniczy znacznie bardziej przesiąknięty jest wpływami francuskimi; robotnicy rolni i chłopi podlegają wpływom francuskim w znacznie mniejszym stopniu.

Pokoleniem pośrednim są dzieci i młodzież wychowana we Francji. Pokolenie to łącznie otwarcie do wszystkich przejawów kultury francuskiej; mowa tu nie tylko o używaniu języka, czytelnictwie książek i prasy, ale również o naśladowaniu Francuzów w ich sposobie życia. Młodzi, z reguły, awansują społecznie i zawodowo, a to pociąga za sobą często zmianę miejsca zamieszkania i otoczenia. Ciekawe jest, że właśnie ten element awansu społecznego jest czynnikiem zmuszającym starsze pokolenie (rodziców) do szybszego przystosowania się do środowiska francuskiego (np. w wypadku rodziców, którzy dla dobra dzieci zaczynają stykać się z ich przyjaciółmi — Francuzami i naśladować ich sposób życia). Girard i Stoetzel nazywają ten proces pośredniego przystosowania się terminem „integration”; jest on wstępem do asymilacji („assimilation”).

Pokolenie najmłodsze ilością lat spędzonych na emigracji — to znaczy uchodźstwo wojenne — jest również zachowawcze jak i najstarsze pokolenie emigracji zarobkowej. Zarówno Mauco jak i Vernant oraz Girard i Stoetzel podkreślają tu rolę czynnika politycznego, świadomość misji politycznej emigracji wojennej, podsyconą przez prasę niepodległościową oraz organizacje kombatanckie i polityczne. Ważnym czynnikiem jest tutaj walka z grupką domorosłych komunistów wśród „starej” emigracji.

Zagadnienie odrębności wyznania i obrządku religijnego, które podkreśliłem w części pierwszej mego artykułu pisząc o roli polskich parafii katolickich — występuje również silnie u starej emigracji we Francji oraz w Belgii. Girard i Stoetzel obliczają, że w miejscowościach, w których Polacy nie posiadają odrębnej organizacji parafialnej — 1/3 osób, które praktykowały w kraju — nie chodzi do kościoła francuskiego i nie przyjmuje Sakramentów Św. Dotyczy to przede wszystkim ludzi starszych, dla których religia łącona jest z sentymentem narodowym. Jest to często przyczyną zatargu rodziców z dziećmi, które — wychowane w szkole katolickiej — nie widzą przyczyn, dla których rodzice ich nie mogliby praktykować w kościele francuskim.

Georges Mauco analizuje ciekawe dane dotyczące zaburzeń psychicznych i przestępczości wśród polskich robotników rolnych. Spostrzeżenia jego wydają się potwierdzać wnioski, które powyżej podałem pisząc o Polakach w Wielkiej Brytanii. Otóż badania *dossier* Polaków w więzieniach francuskich wykazały, że w olbrzymiej większości więźniowie byli zatrudnieni jako robotnicy rolni na farmach francuskich, odcięci od kontaktów z rodzinami i pozostający pod opieką Francuzów, całkowicie nie doceniających niebezpieczeństwa tego co psychologia społeczna nazywa izolacją kulturalną. Oddalenie, samotność, nieznanostwo języka — sprawia, że poszczególne jednostki „zamykają się” w sobie i nie będąc w możności dania upustu naturalnym dążnościom obcowania społecznego — szukają go w aktach a-spo-

tecznych. Słusznie wnioskuje Mauco pisząc, że jednostka rzucona w obce środowisko objawia większe skłonności do dezorganizacji swej osobowości; tylko kontrola społeczna rodzinnego środowiska i obcowanie społeczne z ludźmi o wspólnej kulturze — trzyma jednostkę w ryzach i zmniejsza okoliczności wiodące na drogę zła.

Studium Seminarium Socjologii w Liège składa się z szeregu monografii, z których każda poświęcona jest oddzielnemu skupisku imigrantów narodowości włoskiej lub polskiej. Dla czytelnika polskiego specjalnie godna uwagi jest monografia miejscowości La Brouck, w okręgu Liège, w której grupa polska, licząca około 900 osób, stanowi z górą 60 procent wszystkich mieszkańców. Autor monografii przedstawia wyniki swych badań przeprowadzonych na wiosnę 1950 roku, a obejmujących 28 reprezentatywnych rodzin polskich zamieszkujących w Le Brouck (w tym 25 rodzin ze starej emigracji i trzy rodziny z uchodźstwa powojennego, ogółem około 110 osób).

Na podstawie danych zawartych w części analitycznej książki *L'Assimilation Culturelle des Immigrants en Belgique* — możemy wnioskować, że kolonia polska w Le Brouck jest środowiskiem reprezentatywnym dla całej sześćdziesięcio-tysięcznej emigracji polskiej w Belgii. Pozwala nam to na stosowanie uogólnień.

Podobnie jak we Francji i w Wielkiej Brytanii, Polacy w Belgii żyją w zwartych skupiskach co w tym ostatnim wypadku wynikało z trudności mieszkaniowych oraz ze sposobu rekrutacji robotników polskich do pracy w kopalniach lub przemyśle metalurgicznym. W Le Brouck prawie wszyscy Polacy mieszkają w dużych domach czynszowych, zbudowanych specjalnie dla ich użytku przez koncern przemysłu metalowego, który tam ich sprowadził z Polski lat temu z górą dwadzieścia. Mieszkając i pracując w zwartej grupie Polacy w Le Brouck stykają się z Belgami rzadko, i to przeważnie na płaszczyźnie stosunków służbowych z władzami administracyjnymi, pracodawcami lub ich przedstawicielami z całkowitym prawie wyłączeniem kontaktów towarzyskich z belgijskimi współtowarzyszami pracy. Ograniczenie stosunków społecznych do kontaktów z przedstawicielami władz i pracodawców nie sprzyja bynajmniej szybkiej asymilacji; co więcej, daje okazje do zatargów służbowych lub nieporozumień.

Ciekawe jest również zestawienie danych dotyczących drugiego pokolenia emigracyjnego, to jest dzieci urodzonych lub wychowanych w Belgii. Autorzy studium podkreślają, że jakkolwiek dzieci są bardziej zaawansowane w procesie asymilacyjnym aniżeli ich rodzice, to jednak „asymilacja” jest bardzo niekompletna („...l'assimilation des enfants paraît très certaine, quoique encore incomplète”). Czynnikiem sprzyjającym asymilacji jest, podobnie jak i we Francji, porzucenie ghetta polskiego w poszukiwaniu lepszej pracy i awansu społecznego. Czynnikiem opóźniającym asymilację są więzy rodzinne, łączące po-

szczególne jednostki ze starszym pokoleniem oraz ta dziwna mieszanina liberalizmu i ksenofobii, na której opiera się stosunek Belgów i Francuzów co cudzoziemców.

Podobnie jak i we Francji, Polacy w Belgii stronią od praktyk religijnych w kościołach belgijskich. W miejscowościach, w których brak jest duszpasterzy polskich, Polacy nie chcą brać udziału w nabożeństwach dla Belgów. Tak jest np. w Le Brouck gdzie 80 procent Polaków nie praktykuje zupełnie; zmaturalizowane otoczenie i praca w niedziele są to dodatkowe czynniki oddziaływujące na takie właśnie stanowisko Polaków. W braku tego naturalnego ośrodka jakim jest parafia polska — życie społeczne i kulturalne koncentruje się w polskiej gospodzie i na periodycznie urządzanych obchodach narodowych. Autorzy podkreślają niechętnie stanowisko polskich imigrantów do reżymu warszawskiego, niemniej jednak stwierdzają, że tak górnicy jak i metalowcy zezwalają swym dzieciom na chodzenie na kursy wieczorowe języka polskiego, na których uczą nauczyciele sprowadzeni przez reżym. Chodzenie na takie kursy jest warunkiem, którego spełnienie umożliwi dzieciom polskim wyjazd na bezpłatne kolonie wakacyjne w Polsce (1950 rok).

Zakończenie.

Brak miejsca powoduje, że w artykule tym ograniczyłem się tylko do wskazania lub podkreślenia pewnych czynników natury instytucyjnej, politycznej i emocjonalnej, odgrywających ważną rolę w przebiegu i szybkości procesów asymilacyjnych wśród polskiego uchodźstwa wojennego. Podkreśliłem więc kolejno rolę takich czynników instytucyjnych jak niewątpliwie przychylne i życzliwe dla uchodźstwa wojennego stanowisko władz krajów zachodnio-europejskich, w których się znaleźli (symbolem tego stanowiska jest fakt, że zarówno Wielka Brytania, jak i Francja oraz Belgia są sygnatariuszami Konwencji Genewskiej w sprawie statusu uchodźców z lipca 1951 roku i że skrupulatnie przestrzegają jej przepisów). Wskazałem następnie na konsekwencje istnienia sprawnie pracujących organizacji polskich, tak świeckich jak i kościelnych, zwróciłem wreszcie uwagę czytelnika na istnienie całego kompleksu czynników emocjonalnych, które wpływają z jednej strony na ksenofobię ludności krajów zachodnio-europejskich, z drugiej zaś strony umacniają Polaków w postawie „tymczasowości”.

Szkic mój zatytułowałem „Socjologia emigracji polskiej...” Tytuł ten nie jest rzeczą przypadkiem. Wybrałem go rozmyślnie chcąc w ten sposób podkreślić dwie rzeczy. Po pierwsze, jak to zaznaczyłem we wstępie, analizuję zbiorowisko społeczne jakim jest emigracja polska jako socjolog, a więc przedstawiciel dyscypliny społecznej wolnej od sądów wartościujących i dlatego właśnie obiektywnej. Po drugie — jako socjolog patrzę na grupę społeczną jako zbiorowisko poszczególnych jednostek, z których

każda różni się od innych specyficznością swych problemów, aspiracji, odmiennością struktury psychicznej. Wydaje mi się, że błąd popełniają ci działacze emigracyjni, którzy polskie uchodźstwo wojenne sprowadzają do jednego wyłącznie wspólnego mianownika emigracji politycznej. Ekskluzywność tego rodzaju jest błędna i fałszywa gdyż każe nam zapominać o tym, że emigracja żyje nie tylko wizją oswojonej Polski ale i powszedniością swych codziennych, ludzkich trosk i problemów. Wychowanie naszych dzieci zajmuje w tych codziennych problemach (i ośmielę się powiedzieć : dylematach) bynajmniej nie poślednie miejsce.

Jerzy ZUBRZYCKI

W POLSKIM DOMU — W POLSKIEJ SZKOLE
W POLSKIEJ SWIETLICY

znajdą się znane na cały świat a obecnie na nowo wydane

TAŃCE POLSKIE

ZOFII STRYJEŃSKIEJ

ręcznie tłoczone przez T. Wallicha.

Piękna teczka zawiera 5-ciokolorowe plansze tańców polskich, a mianowicie :

Mazur — Oberek — Kujawiak — Góralski oraz Krakowiak.

Format 25 cm. × 32 cm. Cena we Francji : 1.200 fr. ;
w Niemczech 15 DM. ; w Ameryce 5 dolarów.

Do Niemiec, Belgii, Szwajcarii Szwecji oraz na terenie Francji, teczkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatną przy odbiorze. Do innych krajów po uprzednim otrzymaniu należności.

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telefon : DANton 51-04.

Metro : Sully-Morland albo Pont-Marie. Autobusy : Nr. 86 oraz 67.

W Anglii:

Cena sh. 24. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Przeгляд niemiecki

HISTORIA „POLITYCZNEJ PRÓZNI”

Wśród powodzi artykułów na tematy niemieckie na uwagę zasługuje szkic Karl Jaspers'a w lipcowym numerze „Foreign Affairs”. Autor swą analizę rozpoczyna od stwierdzenia, że jeszcze nigdy dotąd nie było demokratycznych Niemiec, a demokracja narzucana była Niemcom z zewnątrz, zawsze w wyniku klęski.

W Niemczech Bismarcka — wolność istniała w sferze nauki, literatury, sztuki, lecz w sensie politycznym Niemcy były państwem rządzonym autorytatywnie. I to jest ów niemiecki ideał. Niemiec pragnie wolności wyłącznie w sferze życia prywatnego a od rządu oczekuje sprężystej i uczciwej administracji. Wykonuje posłusznie i lojalnie zarządzenia władzy ale nie ma poczucia współ-odpowiedzialności za swój rząd.

Po upadku Hitlera i klęsce militarnej zwycięskie państwa zachodnie narzuciły Niemcom ponownie ustrój demokratyczny. Dla nas jednak — pisze Jaspers — owa polityczna wolność oznacza jedynie przesunięcie władzy ku partiom politycznym, a w niektórych wypadkach, zdeponowanie władzy w rękach polityków, którzy zajmowali rządowe stanowiska przed rokiem 1933. Ów plan re-demokratyzacji należałoby realizować niezmiernie wolno — przez dziesięć a może i dwadzieścia lat. Lecz niestety zamiast takiej stopniowej ewolucji wskrzeszono plan, który już raz zawiódł. W przeciągu krótkiego czasu opracowano regionalne i federalną konstytucje. Lecz konstytucje te nie zapuściły korzeni w świadomości narodu niemieckiego. Powstały bez udziału zainteresowanych — ludzie w Niemczech nie omawiali tych ustaw ani ich nie dyskutowali. I do dziś — podkreśla Jaspers — konstytucje te są Niemcom zupełnie nieznanne.

Ludzie głosowali — nie wiedząc na co głosują. I oto powtarza się znów ta sama historia. Przeciętny Niemiec uważa, że ponieważ rząd to nie jest jego „business” (i nie on ponosi za

niego odpowiedzialność) najlepiej jest płacić podatki i robić swoje. Gdy mu jest za ciężko — narzeka. Nie ma pojęcia o konstytucji ani o tym co ona oznacza. Pragnie być „uczciwie rządzonym”, lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że nie można liczyć na „uczciwy rząd” jeżeli się jest samemu politycznie biernym. Większość Niemców — powiada Jaspers — oczekuje, że rząd wypełni swoje zadanie. Jeżeli jednak rząd zawiedzie — Niemiec nie pragnie udziału w odpowiedzialności, pragnie natomiast „otrzymać” nowy, lepszy rząd.

Jeżeli spojrzeć na problem pod tym kątem widzenia — re-demokratyzacja Niemiec w ogóle jeszcze się nie zaczęła. Większość Niemców — zdaniem autora — pragnie w gruncie rzeczy rządu autorytatywnego lecz uczciwego. Niemcy odrzucają Hitlera, który ich straszliwie zawiódł — nie odrzucają jednak idei wodza i przywódcy.

Interesujące są uwagi Jaspersa na temat zjednoczenia Niemiec. Według jego opinii dążenie do zjednoczenia jest w znacznie większym stopniu wyrazem tęsknoty do minionej potęgi niż przejawem narodowej solidarności. Innymi słowy, Niemcy zachodni nie tyle pragną wolności dla swych rodaków we wschodnich Niemczech ile restauracji niemieckiego Reichu.

A przecież — zauważa Jaspers — zjednoczenie nie jest jedyną drogą wiodącą do uwolnienia. Niemcy wschodnie mogą odzyskać wolność a pozostać odrębnym państwem. Zjednoczenie usprawiedliwione byłoby tylko wówczas, gdyby było jedyną drogą wiodącą do uwolnienia.

„Lecz jeżeli naszym celem” — pisze Jaspers — „będzie nie wolność lecz zjednoczenie to powtórzymy błąd, który popełniliśmy w XIX wieku, kiedy naszym hasłem było : wpiery zjednoczenie — później wolność! Wówczas twierdzono, że gdy osiągniemy zjednoczenie (a w konsekwencji mocarstwową potęgę) narodzi się i wolność. Dziś wiemy, że tak się nie stało.

PRZYSZLI DOWÓDCY

Prasa niemiecka przedrukowała, dodając własne komentarze, sensacyjny artykuł „Newsweek'a” o armii niemieckiej.

Amerykański tygodnik wymienia jako przyszłego niemieckiego ministra obrony T. Blanka, a jako jego następcę F. J. Strausa. W razie realizacji planu o armii europejskiej — o obsadzeniu najwyższych stanowisk w armii niemieckiej nie decydowałiby oczywiście tylko Niemcy, lecz zgodnie z procedurą Europejskiej Wspólnoty Obrony tzw. Stała Rada Armii Europejskiej. Najpoważniejszym kandydatem na stanowisko naczelnego wodza jest generał Ludwik Crüwell — następca generała Rommela w Afryce. Na inne wyższe stanowiska w sztabie i w kwaterze głównej EDC wymienia się nazwiska generałów A. Hensingera, H. Speidela oraz płk. J. A. von Kielmannsega.

Karl Jaspers w cytowanym powyżej artykule w „Foreign Affairs” przeciwstawia się jak najbardziej kategorycznie powoływaniu do przyszłej armii niemieckiej zawodowych oficerów, którzy służyli Hitlerowi. Jego zdaniem można by tylko znaleźć garść oficerów zawodowych, których zachowanie się w okresie hitlerowskim daje gwarancje, że byliby odpowiednimi wychowawcami i dowódcami armii demokratycznych Niemiec. Prawdopodobnie jednak — ci odpowiedni (pisze Jaspers) nie przyjęliby oferowanych im stanowisk. Tak czy inaczej przyszli zawodowi oficerowie niemieccy nie powinni być szkoleni przez zawodowych oficerów armii Hitlera. Był czas w XIX wieku, kiedy pruscy instruktorzy współdziałali w szkoleniu armii amerykańskiej. Czy dziś — zapytuje Jaspers — Stany Zjednoczone nie powinny spłacić owego „długu” kształcąc w swych szkołach wojennych zawodowych oficerów niemieckich?

Karl Jaspers zapomina jednak o tym, że o ile podporucznika można wyszkolić na kursie trwającym 18 miesięcy, o tyle pułkowników i generałów niemieckich nie mogą wyprodukować amerykańskie szkoły wojenne. Gdyby do nowej armii niemieckiej nie przyjmowano w ogóle zawodowych oficerów z armii Hitlera — dowódcami — od dowódców kompanii wżwyż — musieliby być cudzoziemcy.

NOWA NIEMIECKA POLITYKA WSCHODNIA ?

Na marginesie głośnego wystąpienia Dr K. Pfeleiderera — londyński „The Listener” przypomina, że niemal dwa lata temu Dr Pfeleiderer wystąpił z własnym planem zjednoczenia Niemiec. Ów plan przewidywał wycofanie się wojsk sowieckich na granicę Odry i Nisy i całkowitą ewakuację wojsk mocarstw zachodnich z terytorium Niemiec. Zjednoczone i zneutralizowane Niemcy miałyby uzyskać gwarancję wielkich mocarstw.

Dr Pfeleiderer w swej argumentacji wysunął jeden punkt, który wydaje się istotny. Mianowicie, że jeżeli raz dopuści się do zbrojenia Niemiec — na wszystkie propozycje zjednoczeniowe Sowiety odpowiedzą: nie! Sowieckie „nie” oznacza w praktyce utrwalenie obecnego podziału Niemiec na czas nieokreślony.

Z tonu prasy niemieckiej od ewangelickiego „Christ und Welt” po „Frankfurter Allgemeine Zeitung” — należy wnioskować, że polityka niemiecka szuka nowej podstawy wyjściowej w stosunku do Wschodu. Trzeba pamiętać, że głównym celem tych wszystkich neutralistycznych i „pro-wschodnich” wystąpień jest zjednoczenie. Herman Rauschning powtarza w każdym odczycie, w każdym mieście Niemiec zachodnich, że świat nie zna spokoju dopóki Niemcy nie zostaną zjednoczone. Znane wypowiedzi Dr H. Brüninga, ostatniego legalnego kanclerza republiki weimarskiej a obecnie profesora uniwersytetu w Kolonii — w dużej mierze idą po tej samej linii. Brüning sądzi, że dypl-

macja niemiecka winna się stać „przewodnikiem i mediatorem” i wrócić do swej roli z okresu Rappalla i Locarna.

Ostatnio Dr Pfeleiderer na łamach „Stuttgarter Zeitung” oświadczył, że Niemcy mają do wyboru albo... zjednoczenie republiki związkowej z Zachodem — albo... zjednoczenie zachodnich Niemiec z wschodnimi Niemcami. Dr Pfeleiderer sądzi, że kardynalnym warunkiem zjednoczenia Niemiec jest — neutralność. Niemcy nie mogą wiązać się ani z Wschodem ani z Zachodem i winny się przeobrazić w większą Szwajcarię...

Ponieważ — być może — polityka niemiecka znajduje się w przededniu zmiany kursu — należy zadać pytanie o ile nowy proponowany wschodni kurs wpłynąłby na problem „ziem odzyskanych”. Obiektywna analiza doprowadzi nas do stwierdzeń dość paradoksalnych.

Wyobraźmy sobie, że powstają zjednoczone, zneutralizowane Niemcy a Amerykanie — jak proponuje H. Rauschning — wycofują się z Europy. Jest oczywiste, że pozycja przetargowa takich „szwajcarskich” Niemiec w stosunku do Sowieków byłaby równa zeru. Niemcy nie związane z Zachodem i ze Stanami Zjednoczonymi — po roku czy po dwóch przestałyby być „szwajcarskie” i stałyby się zwyczajnie satelickie akceptując granice na Odrze i Nisie jako „granicę pokoju”.

W gruncie rzeczy kanclerz Dr Adenauer a nie jego krytycy — reprezentują realną politykę nie tylko zjednoczenia ale i odzyskania (przez Niemcy) ziem nad Odrą i Nisą.

Jeżeli problem ziem nad Odrą i Nisą rozpatrywać z punktu widzenia rewizjonizmu niemieckiego — to jedyną celową polityką jest ta, którą prowadzi Dr Adenauer. Kanclerz realistycznie ocenia, że pełne włączenie Niemiec w system zachodni da jego polityce coraz silniejsze poparcie Stanów Zjednoczonych. Niemcy uzbrojone, Niemcy pełno-prawny członek NATO, Niemcy filar amerykańskiego systemu na kontynencie europejskim — będą posiadały silną pozycję przetargową zarówno w stosunku do Rosji jak i kogokolwiek innego (a więc i Polski). Polityka Dr Adenauera nie tylko bardzo zręcznie utrzymuje problem ziem nad Odrą i Nisą jako międzynarodową „kwestię otwartą”, lecz z jeszcze większą zręcznością prezentuje Niemcom (i reszcie świata) Stany Zjednoczone i Anglię jako mocarstwa... popierające rewizjonistyczne roszczenia niemieckie. Po tamtej stronie „żelaznej kurtyny” problem ziem nad Odrą i Nisą w ogóle nie istnieje. Podjąć go można tylko z tej strony barykady i pod tym względem (z niemieckiego punktu widzenia) Dr Adenauer wnioskuje logicznie.

Innymi słowy rozpatrując ewentualną zmianę kursu polityki niemieckiej trzeba stwierdzić, że nie krytycy Dra Adenauera są maksymalistami, lecz, wręcz przeciwnie — maksymalną politykę reprezentuje kanclerz zaś jego krytycy i zwolennicy „nowego” kursu — wysuwają koncepcję minimalną. Bo w gruncie rzeczy zwolennicy „szwajcarskich”, neutralnych Niemiec gotowi są po-

święcić ziemię nad Odrą i Nisą wzamian za zjednoczenie wschodnich i zachodnich Niemiec.

INSTYTUT WSCHODNIO-EUROPEJSKI PRZY UNIWERSYTECIE BERLIŃSKIM

Instytut wschodnio-europejski przy wolnym uniwersytecie berlińskim organizuje w bieżącym roku kurs dla specjalistów „wschodnich”. Kurs trwać będzie dwa lata i przeznaczony jest dla absolwentów wyższych zakładów naukowych. Do uzyskania dyplomu wymagana będzie znajomość w słowie i w piśmie języka polskiego lub rosyjskiego.

Uczestnicy kursu otrzymają stypendium na okres dwóch lat.

Światowe zainteresowanie Europą wschodnią jest w znacznej mierze inspirowane (i finansowane) przez Amerykanów. W Stanach Zjednoczonych powstają instytuty „wschodnio-europejskie” przy uniwersytetach Indiana i Columbia.

Instytut berliński mimo, że finansowany przez rząd związkowy — korzysta również z pomocy amerykańskiej.

LONDYŃCZYK

20 lipiec- Dr John - Rapallo

Dziesiąta rocznica zamachu na Hitlera zamierzona była w Niemczech Zachodnich podniośle, demonstracyjnie i z uruchomieniem nowoczesnej masowej scenarii. Oficjalne uroczystości, akademie, audycje radiowe uświetnione pierwszym przemówieniem ponownie wybranego prezydenta, profesora Theodora Heussa. Data wyborów prezydenckich i Berlin jako ich miejsce, między innymi celami, także były pomyślane dla uświetnienia rocznicy, no i dla podkreślenia demokratycznych nastrojów Zachodnio-Niemieckiej Republiki Związkowej. W dniu tej rocznicy wybrał wolność, tym razem wschodnią, dr Otto John, szef Urzędu Ochrony Konstytucji Republiki Związkowej, czyli instytucji, której jednym z głównych zadań jest walka z sowieckim szpiegostwem, dywersją, inspiracją i propagandą. Zbieżność tych dat wydaje się zwykłym przypadkiem, nie wskazującym żadnego związku między zamachem, a wyczynem dra John'a. Jednakże...

Na temat zamachu lipcowego istnieje już obszerna literatura, nie tylko niemieckich autorów. Tym niemniej pozostaje

wiele jeszcze tajemniczych momentów i niewyjaśnionych powiązań, zwłaszcza w ustalaniu genezy spisku, jego planów i skutków. W ogłoszonych publikacjach do najbardziej niejasnych momentów należy sprawa zagranicznych kontaktów sprzysiężenia, ale trudno jest się oprzeć przekonaniu, że do spisku zdołały się włączyć zewnętrzne, nie niemieckie siły, a także pewna ilość rodzimych, ubezpieczających się, politycznych spekulantów.

Po wojnie, gdy wokół zamachu zaczęła narastać legenda, gdy stało się wygodne należenie do czynnej przeciwhitlerowskiej opozycji, oczywiście ilość „spekulantów” wzrastała, i ta grupa z czasem potrafiła swą istotną, czy urojoną łączność ze spiskiem zamienić w źródło rozmaitych korzyści. Zjawisko znane nam w Polsce, gdy po 1926 roku ilość i znaczenie byłych legionistów mnożyły się niekiedy w niepoważny sposób. Niemieccy badacze zamachu podkreślają brak dostępu do wielu ważnych źródeł, znajdujących się nie tylko za „żelazną kurtyną”, a przy tym stwierdzają dość zgodnie idealistyczne podłoże, oraz moralne i historyczne znaczenie spisku, dodając że ostateczną ocenę zrobić będzie można dopiero po zbadaniu obecnie nieznanymi, a niedostępnymi motywów. Nieliczni żywi spośród elity spiskowej na ogół są bardzo oględni w zabieraniu głosu i chętnie unikają wyurzeń na ten temat.

Ostatecznie, mimo ostentacyjnie obchodzonej dziesiątej rocznicy zamachu, stosunek szerokiej opinii niemieckiej do sprzysiężenia lipcowego daleki jest jeszcze od zdecydowanego i powszechnego ukształtowania, a może najbliższe rzeczywistości będzie z grubsza ujęte następujące określenie tego stosunku:

— Przede wszystkim duża obojętność w szerokich masach;

— Oficjalne uznanie zamachu za punkt zwrotny w historii panowania hitleryzmu;

— Urzędowe uznanie spiskowców, a przede wszystkim ofiar terroru rozszalałego po nieudanym zamachu, za bojowników wolności i demokracji (zachodniej, rozumie się);

— Stosunkowo często spotykane wątpliwości, czy ci bojownicy byli tak na pewno i bez wyjątków patriotami i zachodnimi demokratami;

— Nieliczne, ale nie bez wpływów pozostające, głosy ostrej krytyki, twierdzące że choć wielu członków działało w najlepszej wierze i z najbardziej idealistycznych pobudek, to jednak dali się pokierować siłom zewnętrznym, głównie — choć nie wyłącznie — wschodnim.

— Trafiające się jeszcze wypowiedzi nieuleczalnych „Führerystów” można pominąć, jako nie mające widoków powodzenia.

A teraz dr Otto John. W dużej części opinii niemieckiej już dość dawno dopatrywano się w osobie dra Johna wybitnego przedstawiciela owych „politycznych spekulantów”, mogącego wykazać się związkiem z zamachowcami z 20 lipca. Jego wysoką funkcję państwową traktowano jako wynik głębokich sto-

sunków i mocnego poparcia brytyjskiego. W tym duchu jedno z wielkich i poważnych pism niemieckich od dłuższego już czasu zwalczało dra Johna w sposób, jak na umiar i powagę tego pisma, bardzo ostry.

Krótko mówiąc — traktowano dra Johna jako powiernika angielskiego, a więc w pewnej mierze nietykalnego. Tolerowano go, choć urząd posła Blanka (instytucja niemiecka — przyszłe ministerstwo spraw wojskowych), a zwłaszcza organizacja generała Gehlena (instytucja amerykańska — domniemany przyszły niemiecki sztab generalny), odcinały się niedwuznacznie i od osoby i od urzędu dra Johna. Nie szczędzono mu najrozmaitszych zarzutów, że alkoholik, że karierowicz, że obcy agent itd. Ale „obcy agent” — to sądzono angielski, a to w obecnych warunkach w Niemczech — ostatecznie nie taki znów straszny kryminał! Jednakże możliwość współdziałania i ze Wschodem uważano za tak dalece nieprawdopodobną, że do dziś jeszcze nie przestano mówić o uprowadzeniu, o jakimś fantastycznym szantażu i o podobnych bajkach.

Exodus szefa niemieckiego kontr-wywiadu pod opiekuńcze skrzydła sowieckie wywołał nie tylko konsternację, ale przede wszystkim niebывałą dezorientację zarówno w Niemczech, jak i na Zachodzie, jako afera wybiegająca swymi skutkami daleko poza granice Niemiec.

W tej dezorientacji Wschód kapitałnie sobie wyrównuje poważną stratę poniesioną wskutek wypadnięcia z gry takiego asa jakim był dr John. Może wprawdzie nie atutowego, ale w każdym razie asa.

Jednym z przejawów dezorientacji jest wniosek, że afera dra Johna to dowód, czy skutek, wzmożenia się w Niemczech tendencji prorosyjskich, polityki nowego Rapalla. Jest to zagadnienie niezmiernej wagi i to nie tylko dla nas, Polaków.

Zewnętrznych oznak zabiegów niemieckich o porozumienie z Moskwą nie brak. Wymieńmy tylko kilka najpoważniejszych. A więc głośne od pół roku wystąpienie posła Pflaiderera; dalej — lipcowy zjazd ewangelików w Lipsku z tysiącami Niemców Zachodnich, z biskupami, posłami i różnymi dygnitarzami na czele; wreszcie mocno rozreklamowana trzytygodniowa podróż po Rosji prezesa Synodu Kościoła Ewangelickiego i byłego ministra spraw wewnętrznych w Bonn, dra Gustawa Heinemanna i jego pięciu towarzyszy. Poza tym wiele innych mniej hałaśliwych faktów. Tak, to wszystko zmierza do ułożenia się z Rosją i z komunizmem. Czasami to wygląda na więcej niż nowo-rapalowskie tendencje. Mam na myśli misję prezesa Heinemanna: przygotowując układ w Rapallo — obie strony działały poważnie; o misji prezesa Synodu trudno powiedzieć żeby odbywała się poważnie; natomiast pan prezes publikuje najpoważniej, że podczas jednego nabożeństwa w jego obecności odprawianego, odbyło się 250 (dwieście pięćdziesiąt) chrztów. Tu już trudno powstrzymać się od dygresji i nie wspomnieć o Berii nieboszczyku, który mając w swoim czasie kłopot z zainscenizowaniem

mszy dla generała de Gaulla podobno tak przemówił do ponad setki swych najbliższych podwładnych: *Towariszczi sotrudniki eM - We - De! Kto iz was sumiejiet messu prawit'?!...*

Jeżeli pan prezes Synodu takie niewybredne chrzcinowe kawały decyduje się przyjąć za dobrą monetę, to oznacza więcej niż rapalłowską tendencję. To jest pragnienie porozumienia za wszelką cenę. Takich prezesów i podobnych nie prezesów jest w Niemczech jeszcze nie tak wiele, ale będzie ich chyba przybywać coraz więcej, gdyż warunki obecne są bardzo po temu przychylne. Uzasadnienie?... Proszę: Trudno wymagać aby w Niemczech nie dostrzegano:

— że Stany Zjednoczone powoli, ale stale tracą swą wagę w zbrojeniach;

— że Anglia uporczywie umizga się do Wschodu, a dyskretnie szantażuje Zachód;

— że Francja w swych kłopotach imperialnych z Mołotowa zrobiła swego powiernika i arbitra;

— że Anglia i Francja nie chcą wspólnie z Niemcami bronić Zachodu, a czy samodzielnie zechcą się same bronić, to także jeszcze nic pewnego;

— że Anglia i Francja próbują całkowicie uniemożliwić uzbrojenie Niemiec, a przynajmniej opóźnić tę konieczność jak najdalej;

— że poparcie krajów Beneluxu to duża moralna pozycja, ale bez dalszego współdziałania Francji i Anglii, to niewiele zmienia sytuację.

Trudno także wymagać, aby w Niemczech wszyscy wierzyli w cud raptownego odrodzenia się Francji i w jeszcze większy cud, to znaczy w przemianę polityki angielskiej na nieprzynoszącą nieszczęść Europie.

Nie bacząc na te wszystkie trudności wielu jeszcze polityków i zwykłych śmiertelników w Niemczech wierzy, że mimo całego bezwładu Francji, mimo korzystnej dla Kremla polityki angielskiej, w chwili ostatecznego zagrożenia, oba te kraje staną jednak do walki o wspólną Europę. Tak sądzący Niemców jest wciąż jeszcze dużo, ale i inaczej myślących też już nie mało. I jeżeli obecna sytuacja Zachodu nie ulegnie jakimś pomyślnym przemianom, liczba tych „inaczej myślących”, tych rzeczywistych, czy tylko potencjalnych rapalłowców, czy ugodowców, albo po prostu oportunistów, będzie rosła i wreszcie musi stać się decydująca.

Należy jeszcze wspomnieć, że dawne, nazwijmy tradycyjne, niemieckie w kierunku Rosji ciągotki osłabły bardzo po ostatniej wojnie. Ogromną rolę odegrały tu potworne ilości pomordowanych w Sowietach niemieckich jeńców wojennych, jak i zeznania tych kilkunastu tysięcy szczęśliwych nieszczęśników, którym udało się powrócić z niewoli. Poza tym raj sowiecki jest o wiele lepiej znany Niemcom, niż pozostałej zachodniej Europie, gdyż kurtyna między Republiką Zachodnią a Zoną Sowietką, jest jednak dość przenikliwa, bez porównania łatwiejsza do

przebycia niż granica polsko-ukraińska, czy inna między Satelitami. Dla dzisiejszych Niemców, zwłaszcza dla młodzieży, wzorem chętnie naśladowanym jest Amerykanin. Dzisiejszy student niemiecki chce pracować i używać owoców swej pracy po amerykańsku, chociaż w Europie. Wzory sowieckie, najpomysłowiej nawet propagowane, wcale nie chwytają.

Wniosek końcowy z tych rapallowskich rozważań: gdy Niemcy dostrzegną krzepnięcie Zachodu, chęć wspólnej obrony nie tylko u sąsiedniego Beneluxu, ale i u obu głównych sił Europy, to jest Francji i Anglii — niewielu tu pozostanie amatorów Rapalla czy Kremla. To już raczej ożywi się amatorstwo na Wrocław, Poznań czy Sudety, jako i sercu i w kilometrach bliższe. Na razie klucze od bramy do nowych Taurogów i Rapalla znajdują się w Paryżu i w Londynie.

I jeszcze jedna sprawa. W ostatnich czasach znów częściej można spotkać się z określeniem „zafascynowanie potęgą sowiecką”. Można by wnioskować, że takie objawy polityczne w Niemczech, jak akcja posła Pfeleiderera, czy podróże po Rosji prezesa Synodu Heinemanna, to właśnie skutki uwierzenia w niezwykłą potęgę sowieckiej. Wydaje się jednak, że to raczej jest całkiem odwrotnie. Że to jest przekonanie o bezwładzie, a nawet rozkładzie Zachodu i stąd logiczny wniosek: próby porozumienia się z barbarzyńcą.

Bogdan KONASZEWICZ

Monachium, 1 sierpnia 1954.

PIĄTY

ROCZNIK POLONII

1954/5

Cena: 23 sh., albo \$ 4.00

I JEGO UZUPEŁNIENIA

KWARTALNY DODATEK ROCZNIKA

Prenumerata roczna 6 sh. 6 d., albo \$ 1.00.

Taurus (Publishers & Distributors) Ltd.

95, Black Lion Lane, London W. 6. England

PRZEDSTAWICIELE I WIĘKSZE KSIĘGARNIE
NA CAŁYM ŚWIECIE

Kronika kulturalna

Biennale 1954

Wenecja, lipiec, 1954.

Trzecia z kolei Biennale, którą oglądam. Pięćdziesiąt pawilonów, 32 kraje, kilkuset malarzy, kilka tysięcy obrazów. Wystawa powszechna, Luna-Park, jarmark sztuki. Po kilkugodzinnym krążeniu przestaję widzieć, ogarnia mnie przygnębienie: przecież to salon Gonzala z „Trans-Atlantyku”. Znudzony przebiegam przez sale obwieszane obrazami najlepszych (w każdym razie publicznie, oficjalnie, z łaski krytyków i „jurys”) współczesnych artystów. Kątem oka widzę płótna, które by mnie zaintrygowały, pobudziły, może zachwyciły nawet — w pracowni malarza, w pokoju znajomych, czy nawet w jakiejś galerii Rive Gauche. Tutaj unicestwiają się wzajemnie, przestają istnieć, są produktami maszyny kultury, która podaje mi je na taśmie, jedno po drugim, jak Fordy czy serdelki. Zresztą może podobnie bywa z maszynami na targach lipskich: nową zniwiarkę czy obrabiarkę oglądają tam kupcy, pośrednicy — maszyny te zaczną żyć dopiero na żywnym polu czy w manchesterskiej fabryce. Biennale jest targiem dla pośredników sztuki — giełdą muzeów, krytyków, handlarzy obrazów. W hallach Gritti i Danieli dyrektorzy z Sao Paulo, sztywne panie od Knoedlera, uprzejmi młodzi ludzie od Catherine Viviano czy Jollasa notują pewno nerwowo plusy, minusy, punkty. Może te obrazy, których nie widzę, zachwycą przechodnia na Fifth Avenue, czy przekształcą jakoś wizję świata młodych ludzi którzy chroniąc się od upału zajądą do Museo de Arte Moderna w Caracas.

Biennale jest cmentarzyskiem żywej sztuki. A jednak fascynuje jako przekrój, skrót, esencja wszystkiego co wyobraźnia, wizja, moda, imitacja dyktuje jednocześnie malarzom na całym świecie.

W tym roku oficjalnym hasłem jest „sztuka fantastyczna”. A więc ten strumień, który w Europie bogato płynie w średniowieczu, błyszczą Boschem i Breughellem, kapryśnie mam Arcim-

boldem, Flamandami XVII wieku, w osiemnastym pojawia się przypadkowo — jak poprzez mistycyzm Blake'a — w dziewiętnastym ożywia się (Wirtz, Prerafaelici, Böcklin, Ensor) i wykwa na nowo surrealistami. Ale ten program uwydatnia tylko sprzeczności, nonsensy, dzunglę współczesnego malarstwa. Hasła zawdzięczamy, że — po Matisse i po Braque'u — w tym roku nagrodę Biennale przyznano Max Ernstowi. Do hasła zastosowali się Belgowie, po części Francuzi i Hiszpanie. Ale Biennale ma tradycję „malarską” krytyki i jury. „Sztuka Fantastyczna” jest tej krytyce właściwie obca i wroga. Nigdy chyba „temat” wystawy nie był przyjęty tak „à contre-coeur”. I dlatego Biennale 1954 stała się triumfem, konsekracją akademicką (może pierwszym oficjalnym pogrzebem?) sztuki abstrakcyjnej. Nad wszystkim postacią olbrzyma góruje nie mający nic wspólnego ani ze „sztuką fantastyczną”, ani z abstrakcją, Gustave Courbet, któremu w tym roku (tak jak dwa lata temu Turnerowi) przyznano „patronat przeszłości”.

Tyle wstępu. Pozostają luźne notatki, które będą równie nieuporządkowane i może równie nużące jak spacer po Biennale.

ABSTRAKCJA

Zacznijmy jednak od abstrakcji, bo jest jej najwięcej, bo najpotężniej na tej wystawie-monstre przygnębia i nuży. Tragédią abstrakcyjnego obrazu jest może to, że istnieje on tylko i wyłącznie jako wyzwanie rzucone wszechświatu, jako kontrpropozycja złożona (jakże nieraz nonszalancko) Panu Bogu czy naturze przez chudego czy grubego pana w małym studio w Rzymie, Paryżu, Pernambuco. Bo jeśli obraz abstrakcyjny nie jest tym wyzwaniem, to zgódźmy się, że nie jest niczym innym jak udanym czy nieudanym, ładnym czy brzydkim, gustownym czy niegustownym projektem na materiał, tapetę, dekorację baru. Niczym innym jak właśnie *dekoracją*. Otóż na Biennale weneckiej takich konkurencji ze Stwórcą mamy przeszło tysiąc. Wiszą obok siebie. Rzędem. I nużą, nudzą, nie przekonują. Nie chcę przez to powiedzieć że nie ma w sztuce abstrakcyjnej różnic jakościowych. Są takie same jak pomiędzy krzyżówką „Times'a” i krzyżówką „Gońca Niepokalanej”. W pewnym obrazach abstrakcyjnych znać dowcip, inteligencję i kulturę, w innych jest tylko błady banał, efekciarstwo i niema imitacja. Ale dlaczego mamy je szanować bardziej od krzyżówek?

Abstrakcja panuje niemal niepodzielnie w olbrzymim pawilonie włoskim (oto do czego prowadzi silenie się na modernizm i „rozumienie” panów Venturi i Longhi). Wykwita ona tam swoim najbardziej absurdalnym kwiatem. Obraz Fontany obywa się bez farb. Na płótnie kilka okrągłych dziur. Uczona przedmowa uczonego krytyka powie nam, że „ostatnim etapem

duchowej wędrowki Fontany jest dziura” (sic). Odczuwam nagle nostalgię do zabawy Dada, do wesołych biletów tramwajowych, sznurków i korków... *Mais où sont les neiges d'antan...*

Na Biennale uderzył mnie geograficzny akademizm abstrakcji. Pamiętam jak dziesięć lat temu na brytyjskich wystawach, obok Anglików Sutherlanda czy Bacona, Australijczycy występowali jako oficjalni portreciści sub-Royal Academy, najwyżej podjeżdżali pod Augustus Johna. Dziś Australia, Południowa Afryka, Wenezuela, Egipt dają nam egzotycznych Pollocków, Ropelle'ów, de Staelów. Abstrakcja załata prowincję całej kuli ziemskiej.

Tak jak mnie nuży nie tylko abstrakcja, ale nawet czkawka kubizmu w drugiej klasie malarstwa (pod-Picassy i pod-Braque'owie), tak jestem dosłownie pod urokiem rzeźby tego samego kierunku. Dlaczego nic mi nie mówi Viera da Silva, a zachwyca mnie Germaine Richier? Dlaczego nudzą mnie obrazy Afro, a cieszą rzeźby jego brata Miro? Niestety podejrzewam że działa tu magia, czy bardziej cynicznie, oszustwo materii. Dzisiejsza rzeźba mogłaby operować przepisami kuchennymi: wziąć stary kubeł, związać z dwoma korzeniami, dodać rogi krowie, odlać w bronzie: indywidualny udział artysty prawie żaden, a rezultat — wspaniały byk. Przypadkowość, dla mnie przynajmniej pozbawiona wyrazu w farbie i na płótnie, nabiera raptem w trzech wymiarach jakiejś niespodziewanej ekspresji. Piękno samej surowej materii w bronzie łączy się z tym co Malraux powiedział o starych rzeźbach: że nigdy nie mogły być tak piękne kiedy były nowe. Rzeźba nowoczesna daje nam — gotowe — greckie torsy, twarze bez nosów, ułamki etruskich bronzów: prefabrykuje nam tajemnicę, którą dotąd drażyła erozja wieków. A więc sceptycznie i nieco wstydliwie oświadczam że podoba mi się i Giacommetti i Mascherini i Greco.

SZTUKA FANTASTYCZNA

Belgowie trochę zaszachrowali: w przedśionku tryptyk Boscha, anamorfizmy Joos de Mompera, biblijne fantasmagorie Peter Huysa i Jan Mandjna. Dalej „La Belle Rosine” barona Wirtz, tego XIX-wiecznego ekscentryka, który obok potwornych i ogromnych bohomasów zostawił kilka tajemniczych i urzekających płócien. Po takim wytchnieniu gotowi byłibyśmy wszystko przebaczyć. Ale sztuka współczesna — mało może „malarska” — występuje tu jednak z olśniewającą logiką surrealizmu. Dwie sale poświęcono René Magritte i Paul Delvaux. Magritte, malarz nieco sztywny i „blaszany”, na pewno nie najgłębszy w surrealistów, czaruje jednak dowcipem, pomysłowością, właśnie *imaginacją*, o którą przecież tu chodzi. Odnajduję nieśmiałego Delvaux, jak przechadza się ubrany na czarno, w meloniku, po swoim świecie burdeli i śmierci.

Miro i Dali występują w podwójnym charakterze : swoim własnym i jako Hiszpanie. Miro ma całą salę. Zachęcił mnie do niego świetny artykuł Ulatowskiego, z pasjonującą analizą problemu przestrzeni w malarstwie. Ale mimo tych intelektualnych ciągów wróciłem do mego pierwotnego wrażenia : Walt Disney zaszczerpiony na Paul Klee. Jest zresztą i Klee, z całą salą u Niemców : magia dzieciństwa, mikroskop i pierwsza intuicja samego procesu przyrody. Dali wystawia jeszcze swoje atomowe Madonny i mechaniczną biżuterię w Palazzo Rospigliosi w Rzymie — wszystkim ma zjechać na Biennale w sierpniu. Ale w pawilonie hiszpańskim widzę wreszcie jego akwarele do „Boskiej Komedii”, niedawno zamówione przez rząd włoski, na które tak się oburzali zazdrośni włoscy malarze. Jak zawsze ogromnie nierówne, tym razem pod wyraźnym wpływem Blake'a, zawierają jednak genialne intuicje. Trzeba się wreszcie z tym pogodzić : antypatyczny i irytujący człowiek może być jednak wielkim artystą.

Francja wystąpiła ze zniechęcającym wyborem „fantastycznych” malarzy. Okropny Labisse, Coutaud, malujący obrazy Dali z elementów Tanguy, cukierkowy Goerg i dekorator Carzou. Na tym tle wybijają się obcy mi André Masson i aztecki Brauner.

Włosi, wbrew tradycji własnego malarstwa, nie cierpią sztuki fantastycznej. W powodzi abstrakcji i „sorealizmu”, jeden Fabrizio Clerici z zimnymi, ale jakże subtelnymi mirażami miast na pustyni i ze wspaniałym „Minotaurem”, który na ogromnej arenie z rusztowań oskarża publicznie własną matkę...

Austriacy mają grupę kilku młodziutkich malarzy, którzy surrealizm wcielili w tradycję starej niemieckiej szkoły. Z tych „Psów” (objawili się oni w Wiedniu jako „Die Hunde”) nie ma niestety Fuchsa, ale jest ciekawy, apokaliptyczny Lehmden.

MAX ERNST

Max Ernst maluje inteligencją. Humor, absurd, nihilizm, melancholia, a przede wszystkim objawienie nieoczekiwanej, samoistnej fantazji rzeczy powszednich — oto elementy wkładu Ernsta do naszej wizji świata, która bez niego byłaby uboższa. Nie ma podstępny, którego by nie użył w swym dziele, operując nim uważnie i precyzyjnie, jak siatką na motyle. „Collage”: Ernst pierwszy stał się łowcą prozaicznych sztychów, starych katalogów „Grands Magasins”, z których elementy potrafił łączyć w nieoczekiwaną i niepokojącą poezję. Dekalkomania. „Frottage”: jedwabny, miękki papier, zmięty w kulkę i przyciśnięty do świeżej jeszcze farby oddaje to meandry mikrobów, to życie i śmierć przyrody, tak obficie później użyte i nadużyte. Ale Max Ernst jest też rzetelnym malarzem : jego wizje umarłych miast, istoty dżungli, potopu Europy mają bogactwo Celnika

Rousseau połączone z najbardziej wyrafinowaną kulturą. Wybór obrazów świetny, reprezentatywny, choć wolałbym więcej przykładów jego epoki azteckiej, kobiet-ptaków i wielkich kolorowych kobierców z piór. „Sztuka Fantastyczna” okupiona jest na tegorocznej Biennale przynajmniej laureatem.

COURBET

Wielka sala Courbeta może cieszyć tych jego admiratorów, którzy dobrze znają arcydzieła, a ciekawi są obrazów mniej ważnych, rozproszonych po europejskich muzeach. Nie ma ani „Demoiselles de la Seine”, ani „Bonjour Monsieur Courbet”, ani „Lezbijek” (bodajże obraz ten nazywa się teraz pruderyjnie „Snem”). Nie ma też oczywiście „L'Origine du Monde”, której nikt by nie śmiał dziś wystawić publicznie. Za to zgromadzono masę obrazów rozproszonych po prowincjonalnych francuskich muzeach, po prywatnych kolekcjach. Dwa zachwycające płótna : „La Toilette de la Mariée”, niebywale subtelną gra białych i czarnych i nieoczekiwane u Courbeta nawiązanie do Goyi. „Pstrąg” z Zürichu, o którym pisałem kiedyś w „Kulturze” że jest „pra-rybą, abstrakcją 'rybności’”.

Olbrzym Courbet, „realista” i członek paryskiej Komuny jest dla komunistów patronem żenującym. Wszystkie literackie i artystyczne pisma komunistyczne na Zachodzie i oczywiście za Żelazną Kurtyną poświęcają tej retrospektywie całe strony. Ale płaskość, nuda i retoryka „sorealizmu” jeszcze bardziej się uwydatnia w zestawieniu z Courbetem, którego zasadniczy realizm jest tylko ramą do jednej z najbardziej malarskich i najsubtelniej „poetyckich” wizji świata.

SOCREALIŚCI

Jedyny malarz na tegorocznej Biennale, którego sztuka wydaje mi się zarazem rzetelna i społecznie rewolucyjna, to Amerykanin Ben Shahn — ani socrealista ani komunista. Artyści zachodni, których dostosowanie się do politycznej „linii” partii śledzimy od kilku lat, są odstrasającym przykładem śmierci talentu. Francuz Fougerson, Włosi Guttuso i Purificato mieli zadatki na ciekawych malarzy. Ich dzisiejsze płaskie propagandowe plakaty mogą chyba tylko zaimponować siłą dyscypliny, doprowadzającej do artystycznego samobójstwa. Ciekawe jest, że socrealizm, zabójczy dla malarstwa, pozwala często rysunkowi i grafice wyjść obronną ręką. Komunista Renzo Vespiagnani pozostał jednym z najlepszych współczesnych rysowników. Uchodzi mu fantazja, subtelność, nawet pewien „dekadentyzm” (wrażny wpływ na jego ostatnich rzeczach Aubrey Beardsleya i „Revue Blanche”), które by malarza z pewnością naraziły na partyjne nagany.

Z krajów komunistycznego bloku uczestniczą w tegorocznej Biennale: Polska, Czechosłowacja, Rumunia i Węgry. Czesi, niegdyś awangardowi, ciekawi „nowinek”, wykręcają się dziś nudnym kompromisem. Tkwią przy kolorze, ale nie śmieją już „bonnardyzować”. Rezultatem jest dość mdły post-impresjonizm, przypominający przedwojenne wystawy „Zachęty”. Rumuni i Węgrzy z wywieszonym językiem chwalą traktory, żłóbki, fabryki, przywiązując dla stalinizmu rewolucyjne epizody z przeszłości. Jako sztuka — zero.

POLSKA

Polski pawilon jest przyjemną niespodzianką. Bardzo słusznie zrezygnowano z wywożenia zagranicę nowych malarskich „kolektywów” i poświęcono wystawę trzem artystom: Dunikowskiemu i rysownikom-grafikom Kulisiewiczowi i Kobzdejowi.

Dunikowski ma sałę z dziełem całego życia. Od popiersia malarza Szczygłińskiego (1898) i aktora Kamińskiego (1906), poprzez głowy z wawelskich kasetonów aż do powojennych chłopów i robotników. Rzeźba Dunikowskiego zawsze mnie nudziła, ale niewątpliwie należy do pierwszej klasy europejskiego akademizmu ostatniego półwiecza. Solidność, sumiennosc, poprawność, nawet przebłytki wyrazu poprzez banał stylu. Napis po włosku na progu sali, że Dunikowski otrzymał oficjalny tytuł „budowniczego Polski ludowej” brzmi jak bizantyński paradoks przy tak niewątpliwie zachodnim i europejskim dziele.

Tadeusz Kulisiewicz jest świetnym rysownikiem. Dzieło jego jest tak dyskretne, tak ujmująco skromne, że trzeba się niejako przebić przez pozorną szarość żeby odkryć jego poezję, pójść za jego baczny spojrzeniem wyrażonym linią subtelną w samej prostocie. Najlepszy włoski krytyk Alfredo Mezio pisze, że Kulisiewicz „szuka we wspomnieniu Rembrandta sekretu swej grafiki”. Żałuję że słowa te nie dojdą pewno do Kulisiewicza: Mezio, antyfaszysta i rewolucjonista, jest współpracownikiem „Il Mondo”, którego lewicowy liberalizm i nienawiść do stalinowskiej dyktatury najbardziej muszą irytować reżym.

Aleksander Kobzdej ma trzydzieści trzy lata i jego formacja artystyczna musiała się odbyć już po wojnie. Jest rówieśnikiem Vespignanego i dużo ma z nim wspólnego. Szkoda że tak niewątpliwie wybitny talent rozwija się w warunkach, które utrudniają mu znalezienie osobistego stylu. Ma on wszystkie zadatki na artystę, a jest twórcą artystycznego reportażu.

Ale najciekawsza w pawilonie polskim jest tematyka. Połowa rysunków Kulisiewicza, wszystkie rysunki Kobzdeja — to Chiny i Indochiny. Rewolucja, wojna, wrzenie Azji, wschodnia wiosna ludów. Tłumaczenie tego rządowymi zamówieniami może być nawet po części prawdziwe, ale wydaje mi się zbyt symplisytyczne. Sympatia do azjatyckiej rewolucji jest tu niewątpli-

wie szczerą — rysunki nie budzą żadnej wątpliwości. Trudno się zresztą temu dziwić: autentyzm wschodnich ruchów wolnościowych musi być nielada gratką dla polskiego „zniewolonego umysłu”, niebyle wkładem do „double-thinku”. Kłamstwo „rewolucji” we wschodniej Europie, narzuconej siłą sowieckich wojsk, zorganizowanej przez grupy quislingów, umożliwionej przez zdradę, głupotę i słabość Anglosasów, jest zbyt oczywiste, żeby można ją było opiewać z czystym sumieniem. Co za ulga, że można się usprawiedliwiać przed samym sobą solidarnością z ruchami komunistycznymi, nawiązującymi do tradycji niepodległościowej, operującymi sloganami „walki z najeźdźcą”. Jakże miło móc zacierać zasadnicze różnice porównując walki w Indochinach do Powstania Warszawskiego... Uderza tu jeszcze jakieś pośrednie, ale autentyczne wejście Polski (choć tak bierne) w wir historii na skalę światową. To już nie „Chińczyki trzymają się mocno”, po którym przychodzi „była polska wieś spokojna”. Jako satelita Sowietów, jako część składowa komunistycznego bloku, Polska uczestniczy dziś (jeszcze raz podkreślam: biernie, wbrew woli i w jakże tragicznych warunkach) w wypadkach rozgrywających się na południkach, o których nie śniło się nawet Lidze Morskiej i Kolonialnej. Polski pawilon na Biennale jest jakoś wskaźnikiem tego procesu, tak jak handel Gdynia-Chiny, polski szpital na Korei, sierocińce azjatyckie pod Warszawą, książki i reportaże o Indochinach...

Zresztą są to wszystko zaledwie domysły, intuicje. Od Polski odeszliśmy daleko. Przechadzałem się po polskim pawilonie z numerem „Kultury” w ręku. Podeszła do mnie miła starsza pani, jak się okazało przebywająca na uchodźstwie w Szwajcarii. Wojenna emigracja. „Jaki śliczny pawilon!” zakrzyknęła, chcąc się podzielić z rodakiem entuzjazmem dla Dunikowskiego, Kulisiewicza, Kobzdeja. „Jak się to udało zorganizować?” — pytała, dumna i podniecona. — „Czy to pieniądze ze Skarbu Narodowego?”. Moje tłumaczenie wydało jej się dziwne. Jakiś, komuniści posyłają dzieła swoich artystów na Zachód? „Ale w takim razie... jak oni pozwolili — ciągnęła w rozterce — przecież to wszystko cierpienia naszych chłopców... sowieckie obozy...” Rodaczka nasza wzięła Indochiny za Kazachstan, Koreę za Uzbekistan...

PO PAWILONACH

Norwegia przedstawia wielką retrospektywę Edvarda Muncha. Pamiętałem tylko jego „Krzyk”, często reprodukowany jako klasyk ekspresjonizmu: na portowym mołu krzyk przerażonej kobiety ogarnia morze, niebo, chmury. Widzę teraz pierwsze obrazy, w manierze Degasa i późniejsze bonnardowskie akty, ale ciężkie, północne, brutalne. Munch jest plastycznym ekwiwalentem skandynawskiego świata Strindberga, Wedekinda, Przybyszewskiego.

Jednym z ogólnie przyjętych banałów jest twierdzenie, że nie było w Hiszpanii malarstwa od Goyi do Picassa. Niedawna paryska retrospektywa Guturriez Solany pokazała potężnego malarza z końca ubiegłego wieku, który w odwieczny hiszpański temat śmierci wplótł — przed Ensorem i surrealistami — maski, manekiny, lalki, tworząc urzekający własny świat w ciemnych brązach i rdzach. Pawilon hiszpański na Biennale daje teraz retrospektywę Isidoro Nonella (1873-1911). Oto niewątpliwe źródło „epoki niebieskiej” Picassa. Jedna z cyganek Nonella wydaje mi się ważnym, kluczowym obrazem końca XIX wieku. Ze współczesnych Hiszpanów nie emigrantów (choć pawilon Franco chwali się i Dalim i Miro) jeden Ortega Munoz — w tradycji Solany — jest interesujący.

Wielka Brytania wystąpiła z trzema malarzami: Ben Nicolsonem, Francis Baconem i Lucianem Freudem. Nicolson jest ojcem angielskiej abstrakcji. Inteligentny i kulturalny, do znudzenia powtarza dobrze przyswojone elementy z Mondriana, Picassa, Braque'a. Lucian Freud, trzydziestoletni wnuk wielkiego psychoanalityka, jest neo-realistą o niebezpiecznej pokusie wznowienia „Neue Sachlichkeit”. Ale parę obrazów martwych ptaków oddaje malarsko proces rozkładu. Francis Bacon jest chyba najgłębszym współczesnym malarzem angielskim. Przetawia on na język świadomie skonstruowanych i nowoczesnie uproszczonych form tradycję Rembrandta, Goyi, Sutiina.

Niemcy dają dwie retrospektywy: Paul Klea i niedawno zmarłego, mało znanego zagranicą Oskara Schlemmera. Związany z „Bauhauserem”, Schlemmer miał wielki wpływ na sztukę niemiecką lat dwudziestych jako teoretyk i wykładowca. Obrazy jego są poważne, solidne, inteligentne — brak im tylko iskry która by ożywiła ciekawe teoretyczne założenia. Schlemmer studiuje płaszczyzny i wpisuje w nie postać ludzką. Obrazy jego — to najczęściej schody, na których widać z tyłu ludzkie sylwetki. Musiał on ze starych mistrzów najbardziej podziwiać Piero della Francesca, z nowych — Seurata.

O wielkiej retrospektywie Ben Shahna w pawilonie amerykańskim już wspominałem. „Kultura” zamieściła studium o tym malarzu w numerze poświęconym amerykańskiemu życiu kulturalnemu. Jest to dzieło wzruszające, głęboko ludzkie, w którym współzucie miesza się z drapieżną ironią. Oto autentyczny malarz, posiadający osobisty, oryginalny styl, i dzieło swe poświęcający służbie społecznej idei. Skuteczność jego służby jest oczywiście funkcją autentyzmu malarstwa i oryginalności stylu — pozorny paradoks nad którym winni się zastanowić „sorealisti”.

Na Biennale spędziłem cały wtorek. W środę rano poszedłem do Accademii. Siedziałem pół godziny przed „Burzą” Giorgione. Jednak malarstwo coś znaczy.

K. A. JELEŃSKI

Szaraczek na szaro

Teatr Kameralny przyjechał do Paryża z kuligiem, koldunami, polowaniem, starką, wintem i wistem, hipoteką, Klubem Myśliwskim i Resursa Kupiecką: jednym słowem z Polską szlacheczką.

Fredro, siłą dziś strojony w piórka reformatora społecznego, to prototyp zamożnego szlachcica, trochę Cześnik, bardziej Rejent. Obok pornograficznej epopei, którą ustna tradycja przekazywała nowym pokoleniom w prowincjonalnych gimnazjach, napisał parę niezłych komedii i stał się „polskim Moliere”, jak Kraków „polskimi Atenami”. Wśród tych komedii, „Mąż i Żona” jest zapewne najsłabszą. „Libertinage”, zakosztowana przez Fredrę jako teoria życia w napoleońskich kampaniach, rozkwita tu ciężko i nudno. Galicyjski „Palais-Royal”. Mąż rogacz, rogacz kochanek, zdradzona żona i kochanka, sprytna służąca (Arlekin w spódnicy) i najbardziej zakurzony z rekvizytów: listy. Dzielimy tu z Fredrą nudę ziemianskich wieczorów i podszczypywanie dziwek po kątach.

Dziwna, zawiedziona, pełna kompleksów miłość Żeromskiego do szlacheckiej Polski przebiega nawet przez te nieudolne trzy akty „Grzechu”, które mają być atakiem (słabym i nieśmiałym) na mieszczańską moralność. Nic dziwnego, że Żeromski bronił się przed wydaniem tego poronionego utworu. Są przecież — z tego samego okresu i na podobne tematy — solidne, dobre polskie sztuki: choćby świetna „Moralność Pani Dulskiej” Zapolskiej, czy „Aszantka” Perzyńskiego.

W paryskim Festiwalu teatralnym brało udział dwanaście państw. W tym — z bloku sowieckiego jedynie Polska i Wschodnie Niemcy. Cóż pokazała ta Polska, która rzekomo przeszła przez rewolucję, w której realizowano system do którego tęskni spory odłam Francuzów? Dwie burżuazyjne piły, bez śladu oryginalności, w sosie właśnie „zachodnim” (ale jakże prowincjonalnym), zrozumiałe tylko w kontekście dworów, sum na hipotece, balów w Resursie. Oto do czego prowadzi tępą, ciężką, prymitywną teorią „realizmu”. Według reguł swoistej chińszczyzny, scholastyki i kabały znanej reżymowym mandarynom i uczynom w piśmie, „Mąż i Żona” i „Grzech” należą do „realizmu” i są owocem dozwolonym (co za zgniła gruszka). „Dziady” — z rewolucyjnym oddechem; „Balladyna” — krwawe maliny; „Nieboska Komedia” — możliwość ukazania upiórnej kontr-rewolucji; „Wesele” — pod symbolizmem epoki poezja: wszystkie te sztuki mogłyby przemówić językiem wstrząsającym, mogłyby od nich powiać na paryską salę jakimś nowym wiatrem od wschodu. Ale to wszystko tabu. Wszystko co mocniejsze, co ma w sobie oddech — do lamusa. Żyw się, polska kulturo, szaraczkiem na szaro.

Czy przynajmniej postarano się przyrządzić te mdłe dania w jakimś nowym sosie? Podczas przerwy spotkałem w barze teatru François Fejtő (który był komunistą kiedy nasi mandaryni jeszcze grzecznie chwalili Becka czy pisywali do „Prosto z Mostu”). Porozumieliśmy się spojrzeniem. „Czy to możliwe — zapytał mnie Fejtő — żeby tak nic nie pozostało z polskiego teatru awangardy, o którym tyle słyszałem przed wojną? Ta reżyseria, ten styl gry — wydaje mi się, że wróciłem do chłopięcych lat, że widzę prowincjonalne przedstawienie z okazji urodzin któregoś z arcyksiążąt”.

„Jedyna nowość — to element ordynarności, wulgarności w „Mężu i Żonie”, sztuce która miała być w założeniu eleganckim „marivaudage”. Tym-

czasem hrabiowie wciąż przewracają i hrabinę i służącą na kanapę z kieczkami do góry. Młody aktor grający amanta jest wiechowką wersją arystokratycznego ulana, jego potencjalne „z czym do gościa” ma pewną siłę komizmu w zestawieniu z treliami Romanówny, bardzo „grande dame”, a nawet „précieuse ridicule” w swej nudnej roli. Dobry, zrównoważony Kreczmar — jedyny naprawdę w stylu epoki — w roli męża. Kreczmarowa gra służącą, jakby naprawdę chodziło o dziewczkę od krów, na bosaka noszącą wiadra. A przecież jest to garderobiana, wychowana razem z hrabiną, pisząca po francusku, a więc jak zwykle bywa w takich wypadkach, na pewno bardziej pretensjonalna od swej pani — hrabina do trzeciej potęgi. Reżyser rozpaczliwie stara się wprowadzić do tego wodewilu element społeczny. I tak, kiedy w ostatniej scenie pogodzone „dobre towarzystwo” wysła Justysię do klasztoru, ta, zamiast ulec atakowi hysterii czy „waporów” wychodzi „twardym zbutowanym krokiem” klasy pracującej. Ładne, dość banalne dekoracje (tak jak i w „Grzechu”) i piękne kostiumy (oprócz munduru amanta który — choć zapewne wierny historycznie — ewokuje bardziej policjanta niż ulana na widocze).

W „Grzechu” wszystko przesłania wspaniała gra Zelwerowicza. Ale wdając się na chwilę w obowiązujące dziś w Polsce subtelne rozróżnienia między „realizmem” i „naturalizmem” — trudno o interpretację bardziej dziewiętnastowieczną, bardziej naturalistyczną. Ten stary, zramolały szlagon, jedyna zresztą sympatyczna postać — bo trudno wzruszać się losem dziewczyny zdolnej zakochać się w irytującym, rozwrzeszczanym, nahałnym chłystku, choćby miała paść ofiarą „burżuazji” — jest rzeczywiście „jak żywy”. Charczenia, ataki apopleksji, drzenie rąk nabrzmiałe żyły, plucia — razem z łaską i alpagową kurtką, „trompe-l'oeil” zrujnowanego szlachciury w komplecie.

Zeromski nie dokończył „Grzechu”. Sztuka w obecnej formie kończy się na wyjściu Anny — w ciąży opuszczonej przez kochanka-drania, który ożenił się dla pieniędzy, i wygnanej przez siostrę, rodzaj wice-Dulskiej — „w świat”. Podobno w Polsce grano tę sztukę z czwartym aktem, dorobionym przez Kruczkowskiego. Annę przygarniają murarze i w świecie ludzi pracy staje się ona na nowo „człowiekiem”. Dlaczego nie przywieziono tego reżymowego „happy-endu” do Paryża? Czy wydał się on sztyty zbyt grubymi niemi? W każdym razie zadowolono się niedokończonym melodramatem.

Melodramat osiągnął większe powodzenie od wodewilu. Na sali — emigracja niemal w komplecie, reżymowi urzędnicy i agenci, trochę komunistycznych polonofilów, cała rue des Rosiers, żydowscy sklepikarze, między sobą mówiący żargonem, przywiezieni jakąś nostalgią — zerwała się burza oklasków, na scenę wniesiono kosz biało-czerwonych kwiatów, wszyscy stali, w niemilkającej owacji. Wzruszony Zelwerowicz płakał. Przez jakieś dziwne zespolenie aktora z rolą, wydało mi się jakby płakał Simon i Stecki, Bachus, Krzemieński, Resursa Kupiecka, Hotel Rzymski i Hotel Saski z ulicy Koziej.

W „Przeglądzie Kulturalnym” czytam „sprawozdanie” Stanisława Witolda Balickiego, dyrektora polskich teatrów, pt. „Z Fredrą i Zeromskim w Paryżu”. Balickiego widziałem na jego konferencji prasowej w teatrze Sarah Bernhardt, przed polskimi przedstawieniami. Niebieskie oczy, pozbawione wyrazu, nalana twarz i olbrzymi kark, góra sadła, z trudem przechodząca w kohnierzyk. Jeden z krajowych pisarzy mówił mi że pozycję społeczną na nowej polskiej reżymowej drabinie ocenia się właśnie wielkością karku.

Ton artykułu Balickiego jest uciechny. Wciąż się chwali jacy my kulturalni, dobrze wychowani i koleżeńscy, jak na Zachodzie wszyscy szorstcy, źle wychowani i niekoleżeńscy — ma się wprost wyrażenie, że chciałby powiedzieć „niekulturalni”. Bo polska delegacja i złożyła wieniec na grobie Sary Bernhardt; i pod portretem teje Sary Bernhardt w teatrze goździki ze wstążkami; i dała „pracownikom technicznym sceny francuskiej” ludowe lalczki; i Belgom pogratulowała (ci nie mogli wyjść ze zdziwienia: „na Zachodzie nie znane są takie stosunki koleżeńskie”). I wszyscy Polacy byli grzeczni, mili, spokojni (za to kiedy na scenę wchodzili źli Niemcy Adenauera, „bałagan i wrzask zatruły już pierwsze godziny gospodarzom”). Teatr? Sztuka, Sprawozdanie, uplecione z dobrych uczynków, grzeczności i karności, pachnie wycieczką harcerską.

Terminologia oficjalnej biurokratycznej polszczyzny zawsze ta sama. A więc, Teatr Kameralny był „dobrym”, poważnym ambasadorem kultury narodowej w Polsce Ludowej... dał dowód wielkiego patriotyzmu z jakim budujemy nasz kraj, z jakim wiążemy się z patriotycznym uchodźstwem, patriotyzmu w imię którego... itd., itd., itd.

Bierut, Rokossowski, Bezpieka, obozy koncentracyjne. Z tego wszystkiego: nowi, patriotyczni, strasni mieszczanie.

Szarość, poprawność, prowincjalizm, anachronizm polskiego teatru. A na tym samym festiwalu wschodnie Niemcy — kraj o podobnym ustroju — występują z najlepszym przedstawieniem. „Mutter Courage” Brechta — sama sztuka słaba, chytra, nie pozbawiona hipokryzji, banalna. Gdzieniegdzie znać jeszcze lekkość autora „Dreigroschenoper” — powiew tego Offenbacha rewolucji. Ale reżyseria ale gra aktorów doprowadzone do jakiejś dziwnej doskonałości. Nawet na tak nikłym tekście wschodni Niemcy potrafili pokazać nowy potężny styl teatralny. Grę całego ciała, niemal tańczącą. Element hieratyczny, jakby zapożyczony ze wschodniego teatru. Chciałbym zobaczyć w wykonaniu „Berliner Ensemble”, „Pentesileę”, czy „Wozzecka”.

Może we wschodnich Niemczech teatr jest wolniejszy niż w Polsce, dlatego że istnieje tam artystyczna konkurencja Niemiec zachodnich? Może to kokieteria w stosunku do zachodnich intelektualistów, których trudno by skusić nudą socrealizmu? Może w zjednoczonych Niemczech komunistycznych obowiązywałby również „szaraczek na szaro”?

KAJ

26-ty Kongres PEN-Clubów

Tematem tegorocznego zjazdu był „eksperyment w literaturze współczesnej”. Już sama osoba nowego prezydenta, Ch. Morgana, wybranego na miejsce zmarłego Benedetto Croce, była w pewnym sensie gwarancją tonu i poziomu obrad. Dla nas, pisarzy emigracyjnych, przemówienie Morgana, wygłoszone jeszcze w listopadzie ubiegłego roku w Paryżu, brzmiało obiecująco. Między innymi oświadczył: „Jako prezydent PEN-Clubu będę służyć sprawie, która leży mi na sercu, sprawie wolności myśli i słowa..”

„...Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, mówił, aby zachować wolność naszych zebrań i nie dopuścić do powstawania komórek politycznych w naszych szeregach”. Równie jasno adresowane były słowa o konieczności obrony „przed próbami opanowania naszej organizacji” przez tych co „nadużywają przywilejów, które daje wolność, aby ją zdławić”.

W tym samym tonie utrzymane było inauguracyjne przemówienie Morgana w pierwszym dniu Kongresu. Długi i serdeczny ustęp poświęcił PEN-Clubowi Pisarzy na Wagnaniu, raz jeszcze przestrzegając ewentualnych „agentów przybyłych w celach politycznych”. Akcenty te miały na pewno związek z przybyciem delegacji czeskiej, polskiej, węgierskiej i wschodnio-niemieckiej (które zjawily się tu po paruletniej nieobecności), jak również wyrażały dobitne stanowisko zarządu PEN-Clubu wobec pisarzy sowieckich, których prośbę o przyjęcie do związku rozpatrywał komitet wykonawczy PEN-Clubu w Amsterdamie. Decyzję w tej sprawie odłożono, co niewątpliwie zasmucilo pewne koła pisarzy zachodnio-europejskich, wierzących jak zwykle w „możliwość dialogu ze Wschodem” i marzących o czulej fraternizacji. Niestety obecność Morgana i kilku poważnych pisarzy utonęła w cizbie miernot przybyłych na Kongres. Amsterdam nie był wyjątkiem. Dziewięć dziesiątych uczestników Kongresów PEN-Clubów to zazwyczaj pisarze trzecio- lub dalszorzędni. Przyjeżdżają, aby się otrzeć o garść drugorzędnych i pokłonić się dwu lub trzem pisarzom pierwszej klasy. Nic też dziwnego, że referaty warte są pisarzy, których zainteresowania skupiają się przede wszystkim na przysmakach miejscowej kuchni i miłych wycieczkach.

Amsterdam gościł około trzystu pięćdziesięciu pisarzy, reprezentujących trzydzieści PEN-Clubów narodowych. Z „tamtej strony”, jak już wspominałem, przybyła między innymi delegacja polska, niewątpliwie jedna z najpoważniejszych, obok angielskiej i francuskiej. W skład jej wchodził: Jan Parandowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Michał Rusinek, Wojciech Żukrowski i Kazimierz Brandys. W piątym dniu Kongresu przemawiał Parandowski. Na tle banalnych przyczynków i oklepanek, wysłuchiowanych z apatią, był to piękny apel humanisty, przypominającego iż dola człowieka była i być powinna osiłą zainteresowań pisarskich. Mówiąc o Roku Mickiewiczowskim, wspominał również o braku zainteresowania literaturą polską na Zachodzie (za smutny przykład podaje nieznaną Mickiewicza), cytując przy okazji cyfry olbrzymich nakładów dzieł pisarzy zachodnich (Balzak, Hugo...), ukazujących się obecnie w Kraju. Powyższe uwagi spowodowały interwencję węgierskiego pisarza emigracyjnego, Horwath'a, który wyraził zdziwienie iż Parandowski wspomina jedynie o krajowych przykładach z dzieł pisarzy *dziś już nie żyjących*. Horwath zauważa, iż na Zachodzie tłumaczy się *współczesną* literaturę polską i cytuje nazwiska Miłosza, Herlinga-Grudzińskiego, Wierzyńskiego, Kossak-Szczuckiej i Kuncewiczowej, których książki znane są czytelnikom krajów zachodnich. Po Horwath'cie zabrał głos Iwaszkiewicz, starając się uzyskać efekt komiczny przez zestawienie dzisiejszych pisarzy emigracyjnych z Mickiewiczem. Następnie wygłosił krótkie przemówienie, w którym wszystkie zdania zaczynały się od „musimy” a kończyły się sakramentalnym: „dla nas”. Widocznie tak było trzeba.

Wydaje mi się, że utyskiwania Parandowskiego były nie uzasadnione, bowiem przy wymianie dóbr kulturalnych pomiędzy narodami poezja jest

towarem jak najmniej nadającym się na eksport. Mickiewicz był tłumaczony, ale żaden z przekładów nie potrafił znaleźć równowartości dla języka i narodowej urody *Pana Tadeusza*, który przepuszczony przez sito pięknej prozy Cazina jest ciekawostką, a nie największą epopeją współczesną. *Dziady* na scenie mogłyby olśnić cudzoziemców, w przekładzie są folklorem i kroniką narodową.

Niektóre ośrodki polskie na Emigracji były reprezentowane na Kongresie w osobach: Celiny Wieniawskiej (PEN-Club Pisarzy na Wagnaniu), Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (Radio Free Europe) i Mariana Pankowskiego (*Kultura*).

(p)

O roli awangardy

NA MARGINESIE ARTYKULU MIŁOSZA O CZECHOWICZU

W artykule którego punktem wyjścia była twórczość Czechowicza, (*Kultura*, Nr 7/81-8/82), Miłosz zamieścił świetnie nakreślony obraz przedwojennych stosunków literackich w Warszawie. Artykuł ten, napisany z dużą pasją, daje nowe naświetlenie tej epoki, ale — jak to często bywa przy próbach syntetycznych skrótów — obok doskonałych sformułowań zawiera także sądy fragmentaryczne, niekompletne, czasami nawet sprzeczne z rzeczywistością lub niesłuszne. Przyczyna tego jest prosta: Miłosz przybył do Warszawy z Wilna w roku 1935 i zna doskonale atmosferę literackiej Warszawy na kilka lat przed wojną, ale od okresu, który nastąpił bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny dzieli go zbyt duża odległość, by mógł się opierać na osobistych doznaniach i na informacjach z pierwszej ręki. Dotyczy to zwłaszcza tzw. awangardy, której pierwsze wystąpienia przypadają na początek trzeciego dziesiątka bieżącego stulecia. Z awangardą załatwił się Miłosz po kawaleryjsku w sposób zbyt sumaryczny i bezceremonialny przytaczając kilka kawałów z *Ziemiańskiej* i przechodząc do porządku dziennego nad dorobkiem poetyckim całego dziesięciolecia (1920-1930). Na poezję tego okresu nie wolno patrzeć przez pryzmat „Perskiego Oka” i „Qui pro quo”, przez okulary Rzeczy i Przyczyny, pocieszając się z satysfakcją, iż „szkoda papieru i atramentu, tudzież Peiperu i Putramentu” (1). Te rodzaju uproszczenia gdyby wyszły spod pióra młodego krytyka zaczynającego pisać obecnie — byłyby zrozumiałe, gdyż warunki powojenne odcięły młodych od możliwości zapoznania się z literaturą tego okresu, ale budzą pewne zdziwienie, gdy się wie, iż ich autorem jest

(1) Miłosz nie zna zapewne dalszego ciągu tego dwuwiersza, który przed wojną kursował wśród bywalców *Ziemiańskiej*:

„Szkoda Przybosa tudzież Miłosza,
Wszystko to razem pójdzie do kosza”.

Kto mieczem wojuje... Daje to wyobrażenie, jak bardzo krzywdzące i niebezpieczne są tego rodzaju dowcipy.

Miłosz, który zaliczany był również do awangardy, w szerszym znaczeniu tego słowa.

Dla uniknięcia nieporozumień należałoby ustalić pewne definicje. Terminu awangarda używaliśmy początkowo, w okresie „Zwrotnicy”, stosunkowo rzadko; spopularyzował go dopiero Jalu Kurka, w czasie wydawania „Linii”, określając nim najpierw tzw. awangardę krakowską (grupę „Zwrotnicy” i „Linii”). Następnie termin ten został rozciągnięty na innych poetów szukających istotnie nowych sposobów wyrazu poetyckiego („Zagaryści” w Wilnie, Czechowicz i Łobodowski w Lublinie). Z biegiem czasu awangarda zaczęła się rozrastać w sposób zdumiewający. W latach 1935-1939 dziesiątki poetów uważało się za awangardzistów. Było wśród nich kilka rzetelnych talentów, ale większość ograniczała się do rozmiękania na drobna monetę wartości wniesionych przez awangardę. Tych ciurów ciągnących za wojskiem, naśladowujących Czechowicza lub Przybosia, szpikujących swe wiersze dziwacznymi metaforami — nazwałem czego czasu — detalistami literatury.

Załatwienie się w jednym zdaniu z Peiperem, „wydawcą *Zwrotnicy*, gdzie poza tym drukował Przyboś”, pominięcie milczeniem Jalu Kurka i „Linii” zapomnienie, iż Ważyk był także autorem „Oczu i ust” jednego z najlepszych tomów poetyckich tego okresu, że artykuł Peipera o „Metaforze terażniejszości” był głównym punktem wyjścia ruchu awangardowego (a nie maszynizm jak mylnie sądzi Miłosz), gdyż przez szereg lat poezja awangardowa była utożsamiana z nową metaforą, twierdzenie, że w Polsce nie było rewolucji poetyckiej, że przeciwstawność „Skamander-awangarda” nie istniała — to wszystko razem wzięte świadczy, że Miłosz niezbyt dobrze zna pierwszy „okres burzy i naporu” awangardy. W artykule swym Miłosz cytuje Frydego. Szkoda że nie przeczytał bardziej uważnie jego wstępu do antologii, który jest jedną z najbardziej trafnych i uczciwych prób syntetycznego ujęcia polskiej poezji dwudziestolecia, gdyż prawdopodobnie nie popełniłby tego rodzaju przeoczeń. Gdyby nie było „Zwrotnicy” i „Linii” — nie byłoby również całej tej poezji okresu przedwojennego, o której z taką werwą pisze Miłosz, a raczej — mówiąc ściślej — poezja ta byłaby zupełnie inna, bardziej związana z epoką poprzedzającą, ciążyłaby na niej może jeszcze „Młoda Polska”, a w najlepszym razie — „Skamander”.

Do słusznej oceny pewnego okresu literackiego potrzebne jest najpierw jego umiejscowienie w czasie, ustalenie następstwa chronologicznego, które pozwala na zdanie sobie sprawy z wzajemnego przenikania pewnych ruchów i wartości. Dopiero potem — można stosować, z pełnym poczuciem odpowiedzialności, kryteria estetyczne, etyczne czy socjologiczne. Ten okres „burzy i naporu” awangardy nie doczekał się jeszcze swego historyka. Warunki w jakich obecnie żyjemy, brak książek i publikacji z tej epoki — czyni to zadanie z każdym dniem coraz to bardziej trudnym. Jestem w wyjątkowo szczęśliwym położeniu, iż wiele z tych publikacji posiadam w swej bibliotece. Dla tych co nie znają lub nie pamiętają tego okresu — byłoby może interesujące przypomnienie chronologii poetyckiej tych lat:

1920-1921 — jednodniówki futurystyczne, pierwsze tomy futurystów: Brunona Jasińskiego, Anatola Sterna, Tytusa Czyżewskiego (Zielone Oko — 1920), Stanisława Młodożeńca (Kreski-futureski — 1921). Brak mi bezpośrednich materiałów do tego dwulecia.

- 1922 — Czyżewski — „Noc-Dzień”.
 1922-1923 — Pierwsza seria „Zwrotnicy” z artykułami Peipera: „Miaśto, masa, maszyna” i „Metafora terażniejszości”. Wiersze Br. Jasińskiego, Al. Sterna, T. Czyżewskiego, St. Młodożeńca, w ostatnim numerze — wiersz Przybosia.
 1924 — tomy Peipera: „A” i „Żywe linie”, Ważyka „Semafor”.
 1925 — pierwsze tomy Przybosia („Śruby”) i Brzękowskiego („Tętno”), wydane nakładem „Zwrotnicy”; Jalu Kurka („Upały”); drugi tom Ważyka: „Oczy i usta”, który ukazał się pod firmą „Zwrotnicy”; rozprawka teoretyczna Peipera o poezji: „Nowe Usta” („wstyd uczuć”; nowa metafora, ekwiwalentyzacja uczuć, podkreślenie różnicy między językiem prozy a poezją: „proza nazywa, poezja — pseudonimuje”).
 Czyżewski „Pastorałki”.
 1926 — Przyboś — „Oburącz”.
 1926-1927 — druga seria „Zwrotnicy” (Peiper, Brzękowski, Kurek, Przyboś, Ważyk).
 1927 — pierwszy tom Czechowicza: „Kamień”.
 1928 — Brzękowski „Na katodzie” (w Coll. Esprit Nouveau).
 1929 — pierwszy tom Łobodowskiego „Słońce przez szpary”.
 1929-1930 — Brzękowski redaguje w Paryżu czasopismo „L'Art Contemporain — Sztuka Współczesna” skupiające poetów i malarzy polskich i francuskich.
 1930 — „Dzień jak codzień” Czechowicza, „Poranek goryczy” Czuchnowskiego, „Sponad” Przybosia, „Śpiewy o Rzeczypospolitej” Kurka oraz zbiór artykułów teoretycznych Peipera pt. „Tędy”.
 1931 — Czuchnowski „Kobiety i konie”, Łobodowski „Gwiezdny psalterz”.
 1931-1933 — „Linia” pod redakcją Jalu Kurka skupia obok awangardy krakowskiej (Brzękowski, Przyboś) rozszerzonej na Czuchnowskiego i Piętaka, także — w roku 1932 i 1933 „zagarystów” wileńskich (Miłosz, Zagórski, Maśliński, Bujnicki). W tymże okresie wychodzą w Wilnie najpierw „Zagary” potem „Piony”. Leżący przede mną numer 5 „Pionów” nosi datę: Grudzień 1932.
 1932 — Przyboś „Wgłęb las”, Czuchnowski „Reporter róż”, Czechowicz „Ballada z tamtej strony”, Łobodowski — „W przeddzień”.
 1933 — Rozprawka teoretyczna Brzękowskiego „Poezja integralna”; zajmująca się strukturą i budową nowej poezji (podkreślenie roli elipsy, obrazu poetyckiego, zdania metaforycznego, kondensacji wartości poetyckich, substancji treściowych itp.).
 — Brzękowski „W drugiej osobie”, Czuchnowski „Tak”.
 — Pierwszy tom Zagórskiego „Przyjście wroga”.
 — Pierwszy tom Miłosza „Poemat o czasie zastęglym”.
 To umiejscowienie w czasie pozwoli nam zrozumieć pewne luki w artykule Miłosza. Gdy w roku 1933 Miłosz wydał swój pierwszy tom — minęło dziesięć lat od ukazania się „Zwrotnicy”, a osiem lat od pojawienia się „Nowych Ust” Peipera i pierwszych tomów Brzękowskiego, Kurka i Przybosia. Rewolucja poetycka była wtedy już faktem dokonanym. Dlatego może Miłosz jej nie zauważył.

Jan BRZEKOWSKI

Książki

Mowa bez ziemi

A czym jest cała poezja ?
Jednym wielkim krzykiem
o jakiejś Inaczej. Inaczej
wizualnie, inaczej uczuciowo,
inaczej moralnie.

J. Tuwim. „Pegaz dęba”.

Zanim przejdę do omawiania dwunastu wydanych ostatnio książek, których autorami są poeci polscy żyjący na Emigracji, chciałbym w pierwszej kolejności zwrócić uwagę na fakt z pozoru tylko osobisty.

Jak każdy z wierzących w siebie poetów posiadam swój warsztat artystyczny. Poetykę, w imię której piszę, uważam oczywiście za najlepszą; jedyną, która umożliwia osaczenie i pojęcie lirycznego zwierza. Tak myślimy wszyscy, inaczej już od dawna wyginałby ród poetów. Czy istnieje więc jakaś nadrzędna poetyka, złota miara, pozwalająca trafnie osądzić utwory napisane według różnych, często bardzo różnych metod?

Aby wypełnić zwrotkę rymowaną klasycznie, lub cztery linijki białego wiersza, czerpiemy w polszczyźnie, mając do dyspozycji nieskończone ilości zestawień słownych. Pod piórem utalentowanego poety napięcie emocjonalne wiersza bywa osiągnięte niezależnie od obranego sposobu wyrażania. Należy jednak unikać popadania w stare, skostniałe formy (które wczoraj urzekają świeżością), bo jak mówi Heine, „inne czasy, inni ludzie, inni ludzie, inne pieśni”. Trzeba się więc zastanowić, czy wybrana, lub co gorzej przyjęta mimowolnie poetyka, nie rozładuje napięcia lirycznych przez sam fakt, iż operuje chwytami oklepanymi? I tutaj poprawię pierwsze twierdzenie: forma może osłabić wigor wiersza, jeżeli z odkrycia, z krzyku staje się abecadłem wykutym na pamięć i powtarzającym przez epigonów. Wówczas przestaje być gromnikiem ściągającym poezję.

Ostatni tom Mariana Czuchnowskiego (1) to czterdzieści stron rumianej poezji. Gdyby mnie ktoś zapytał, o czym pisze poeta? Odpowiem: o urodzie życia urodziwą polszczyzną. Stwierdzenie to nie wyczerpuje jednak charakterystyki *sztuki poetyckiej* Czuchnowskiego; jest zaledwie podaniem rodowodu poety, urodzonego po to, aby bez przerwy podziwiać i chwalić świat. Umiejętność ta, czy dar, pozwalała mu spotykać rzeczywistość wszystkimi zmysłami naraz i smakować świat po staropolsku, nie troszcząc się o jego znaczenie. Za przykład niech posłuży wiersz tytułowy zbioru, *Motyl i zakonnica*, który autor poświęcił porównaniu białoubranej mniszki do lilii. Drzemiącą w letnie popołudnie pokrywa obłok wielobarwnych motyli. Obraz ten, bo trudno tu mówić o temacie, pozwolił Czuchnowskiemu wyłożyć przed nami bogactwo kolorów, zapachów, światła i słodczy. (Nazwa „Zaczarowany ogród” oddałaby lepiej zawartość utworu). Pomimo to wiersz nie wzruszył nas ani nie wzbogacił emocjonalnie. Posiadanie tęczowego oka stawia przed poetą problemy, które nie zawsze umie rozwiązać. Obrazy nakładają się jeden na drugi, linie pęcznią od jędrnej mowy i poeta, uwiedziony własnym zachwytem, staje się z artysty świadomie wyznaczającego kształt utworu, stenografistą doznań („Zdejmująca podwiązki”).

Dlatego też z radością odkrywamy kilka wierszy, w których autor przezwyciężył postawę zachwyconego reportera róż i wdzięków kobiecych, *tworząc* poezję. Wiersz „Woda” (drukowany w nr 5/55 *Kultury*) jest jednym z najlepszych w zbiorze. Jest to pean na cześć rzek, źródeł i wszelkiej świeżości. Jest odkrywczy swym przerysowaniem rzeczywistych danych. „Widok wieczorny” (z rzadką u Czuchnowskiego pointą!), „Mimozy”, „Ślad”, czy „Szkarłatny kwiat”, oto jeszcze inne wiersze, których materia poetycka została nacechowana znakiem rasowego poety, jakim jest niewątpliwie Czuchnowski. Jeżeli nie wymienię innych utworów, to dlatego, że autor, odrzuciwszy tradycyjną formę wiersza sylabicznego, nie zdyscyplinował bogatej materii nowym, własnym rygiem.

Jest w tomie Czuchnowskiego wiersz pt. „Cyranka i kaczor”. Piszę o nim dlatego, ponieważ uważam go za typowy dla autora i jego rozumienia poezji. Poeta, urzeczony miłosnym spotkaniem pary kaczek, poświęca temu długi wiersz, przekazując nam dokładnie ową scenę. Nie mam zamiaru poprawiać wiersza, ale żałuję, że to co *widział*, Czuchnowski wziął za wizję artystyczną. We wspomnianym zjawisku nie ważne jest to, że cyranka „zadrecza swą gotowością samca...”, albo że jest „w objęciu męża... szczęśliwa bardzo, że ją kaczor bierze”. O ileż ciekawiej można było wykorzystać temat, zajmując się jego stroną *poetycką*. Kaczka tonąca pod ciężarem miłości, dwa ptaki tonące w szczęściu — rzecz tę można było wbudować do jakiegoś wiersza, gdzie poeta mógłby *posłużyć* się tym pięknym, niewąt-

(1) *Motyl i zakonnica*, Londyn, 1953.

pliwie obrazem dla przydania napięcia lirycznego utworowi, który by nie miał nic wspólnego z kaczkami i stawem.

◆
Nie ufam poecie, gdy zapewnia mnie o swej skromności, ale podejrzenia moje wzrastają, gdy widzę tytuł zbioru: *Wyświechtane cytaty* (2). Jest to siódma książka Jerzego Laskowskiego. Pierwszą wydał dziewiętnaście lat temu.

Istnieje straszne plemię grafomanów, tak wieczne jak wieczna jest poezja, na której istnieniu żerują. Ofiarą ich padają nie tylko czytelnicy, ale, niestety i przede wszystkim mowa polska! Oto przykłady. We wstępie autor zapewnia: „drugiego wydania, przynajmniej za mego życia, nie będzie. Za następne pokolenia nie odpowiadamy, i co najwyżej mogę je prosić, ażeby jednak tego nie *robili*” (podkreślenia moje, M.P.). Na str. 11: „Nie *zrozumię* tego, nie pojmę nas...”. Na str. 21: „I tam słuchałem *pieśni* słowików”. Coś z polityki, str. 23: „Wolność, alianci, pochód zwycięski, / Wszystko to znamy od wielu lat / Do tego każdy z nas tęsknił / Gardłuje o tym niejeden psubrat”.

Jest tam jeszcze oblesny wiersz(?) o trójkacie małżeńskim, „Pan Dyrektor”; inny o „nózce, że proszę siadać”, ale wszystkie rekordy bije „Katar”, z którego przytoczę fragment, przprasząc czytelników za rodzaj cytaty. „Kichasz, płaczesz, w oczach łzy — żaloba. / Psiakrew! Skwierczysz jak na patelni smalec. / Raz po raz w chusteczkę nos siąkasz. / Głośno i wyraźnie, z ceremoniałem, / A potem oglądasz, patrzysz i wąchasz, / I myślisz: A to się wysmarkałem”.

◆
Wróćmy teraz do poezji. Książka Bronisława Przyłuskiego, *Strofy o malarstwie*(3), jest wydarzeniem kulturalnym. Świadczy pochlebnie o Społeczności Akademickiej Uniwersytetu St. Batoryego, które ją wydało, a Stanisławowi Gliwie i jego Oficynie przynosi zaszczyt; luksusowa bowiem szata graficzna, w jaką wyposażył tekst, jest dowodem smaku i doskonałej znajomości sztuki typograficznej.

Bodźców do napisania poematu nie brakowało Przyłuskiemu, ale najważniejszymi były chyba: istnienie środowiska malarzy polskich w Anglii i książka Malraux, „Les voix du silence”, będąca wielką wyprawą pisarza poprzez stulecia sztuk plastycznych. Przypuszczam nawet, że właśnie drugi powód skłonił Przyłuskiego do napisania książki, opartej, powiedzmy szczerze, na zasadniczym nieporozumieniu. Dotychczas udawało się poetom „przełożyć” obraz malarza na wiersz, materią poetycką wyrazić istotę sztuki któregoś z mistrzów np. Van Gogha (Wierzyński), ale Przyłuski spróbował napisać *historię* malarstwa. Jeżeli rezultat nie pokrywa się z zamiarem, nie jest to winą

(2) New York — Londyn.

(3) Londyn, 1953.

poety. Takiej książki nikt nie potrafi napisać, gdyż poezja i historia to dwie różne rzeczy. W aliażu Przyłuskiego, jakim są „Strofy o malarstwie”, nie przestajemy odróżniać wyżej wymienionych składników. Na przestrzeni 46-ciu stron sąsiadują ze sobą linie dobrej poezji i informacje historyczno-techniczne, dotyczące malarstwa. „I na nieba pustkowi zimnym żócią kręgow słonecznych dociekał...” Użycie słowa *żóć* jest trafnym aktem poetyckim. Poeta potrafił nazwać boleśnie kolor najbardziej typowy dla tragicznego malarza. Podobnie w Pieśni XII-ej, gdy Przyłuski pisze o pierwszych impresjonistach: „Idą szturmem wiosenni podpalacze”. Czyż można było lepiej odczytać żywiołowość kolorów (nie nazywając ich po imieniu!) i rewolucyjną nowość kierunku. Niestety, zaraz czytamy: „Upadł lęk na skostniałe akademie. / Nawałnica zmiotła mity z ołtarza, / runęły hierarchie, / egzarchaty i marchie. / ...”

Racja, tak było, ale to nie ma nic wspólnego z poezją. A na domiar złego poeta wpada w kanciasty werbalizm, stąd te „egzarchaty” i te do rymu potrzebne (?) „marchie”...

Wtręty anegdotyczne, niezbędne przy pisaniu historii malarstwa, przechodzą czasem w najzwyczajszą prozę, jak np. w Pieśni XV-ej: „Widzę rząd jego płócien na wystawie Kapistów, / pierwszej w kraju, odważnej, pełnej, męskiej.” Tyle o nieporozumieniu, którego owocem są „Strofy o malarstwie”.

Książka pozwoliła nam spojrzeć poecie na ręce. Przyłuski zna dobrze rzemiosło poetyckie, ma bogaty i czysty język — lecz przede wszystkim posiada wrodzone poczucie rytmu, bez którego, jak słusznie twierdzi Claudel, nie można mówić o prawdziwym poecie. To nic, że niektóre strofy są pod widocznym wpływem Wierzyńskiego (str. 12, „Przyjdziemy z dołów”...), nic że para rymów „przeziór” i „jeziór” (str. 21) została zapożyczona z wiersza Leśmiana „Pragnienie”. Poezja nie spada z księżyca. Istnienie zależności kulturalnych, w tym wypadku formalnych, między pokoleniami jest rzeczą naturalną.

Zwrotka, którą posługuje się Przyłuski, jest „wąska w pasie”. Po dwu liniijkach, liczących 9, 10 lub 11 zgłosek, następują dwie siedmiozłotkowe po czym znów dwie dłuższe, 10, 11 lub 12 sylab. Chodzi mi o ten „pas”. Dźwiękowo jest on urozmaiceniem, zmianą rytmu, ale znaczeniowo siedmiozłotkowe linijki nie mogą unieść wiele treści, toteż poeta zapelnia to miejsce materiałem stosunkowo słabszym, np. „A na gruzach konwencji, / Na gruzach ekscelencji”, albo „Przez mityczne poloty, / Cyprysowe tęsknoty”. Dwuwiersze powyższe, rymowane zazwyczaj bardzo wyraźnie, swoim tra-ta-ta-ta psują często piękną linię rytmiczną strofy.

◆
Wielką niespodzianką jest tomik Józefa Bujnowskiego, *Rysy na pustce*(3). Pisma emigracyjne raczą nas przeważnie wierszyka-

(3) Polskie Towarzystwo Literackie, Londyn, 1953.

mi, których swojskość i łezka, nie mówiąc już o metryce, przypominają Wincentego Pola. „Nastrojowe” zwrotki, zwrotki zamykane rymami jak stuknięciem podkówki, drukowane są ze względu na legendarne „szerokie masy czytelników”. Utwory zaś poetów, szukających samotnie nowego wyrazu, nie przedostają się na łamy pism. Nic więc dziwnego iż poezja Bujnowskiego, oparta na zwięzłym użyciu mowy, na pewnym prowadzeniu rytmu, nie może liczyć na przychylność redaktorów. Wielka szkoda, gdyż jest to poezja mądra i celna. Krótkie, jasne wiersze dotyczą problemów filozoficznych i moralnych. Świadczą iż Bujnowski należy do rzędu pisarzy spotykanych najrzadziej: jest poetą lirycznym, który myśli. To nie są rysy na pustce; rylec poety ominął drzewo miękkie i śpiewne, aby wyjść zwycięsko ze spotkania z twardą powierzchnią metalu. Staloryty Bujnowskiego, prawie wszystkie są tak oszczędne w rysunku jak ten, który przytoczę w całości:

Z NOTESU DNIA

*Moja wieczność jest dziś
kiedy piszę ten wiersz
na kartce*

*wyrwanej z notesu dnia
pochylonego w noc.*

*Nie dbam o miejsce
w którym
jutro spocznie ostrze mych słów
napiętych myślą w łuk
nad brwią.*

*Ani mi śpiewność mowy skora
kierować drzące pióra strzał
w serce.*

Odejdź!

*Sam ten poemat: krótki
jak ciężki jęk
jest laurem.*

*Zostawiam tylko furkot piór
i strzały gwizd.*

Gdzie indziej („Kryptogram religijny”) wiersz jest jak gdyby skandowany powtórzeniami. „Niebo jest zawsze miejscem, / niebo jest / zawsze miejscem / miejscem zawsze jest niebo / dalekim. / Oko zaczepisz o oko / zębem zaczepisz za ząb / niebo jest

zawsze wysoko / wysoko jest zawsze niebo / wysoko stąd / jako jest człowiek człowiekiem / jako jest”.

W ten sposób „normalne”, zbanalizowane powiązanie słów zostaje zastąpione nowym układem elementów treści. Magicznie brzmiące powtórzenia, jakiś rytualny krok w tył zanim postąpiemy naprzód, zatapiają utwór w aurze zadumy i dziwności. Poezje udało się stworzyć swoje „Inaczej”.

(Dokończenie nastąpi)

Marian PANKOWSKI

“Piórem umaczanem w niebie”

Jest zjawiskiem rzadkim, by pisarz koło siedemdziesiątki (nagroda Nobla, etc.) jeszcze zaskakiwał. Powieści Mauriaca, jego eseje, obrysowały jakby ostatecznie charakter jego twórczości, styl wielkiego pisarza. W *Galigai* (*) zdawał się już powtarzać siebie samego. Mówiono... „wiek”. I nagle jego ostatnia powieść *L'Agneau* (**), na nowo, obok *Bloc-notes*, w „Expressie” wysuwa tego pisarza na plan pierwszy.

A przecież aura tej ostatniej książki jest ta sama, „mauriacowska”, świat ludzi tonących w ognistym potoku wszelakich żądz, zbrodniczych nienawiści i faryzejskiej hipokryzji, wobec której „groby pobielane” Ewangelii zdają się prawie dobrodusze.

Kłębowisko zmij albo wyrzeczenie — to jedyny świat u Mauriaca na prawdę istniejący. Mógłby on powtórzyć za Joubertem „we wszystkim zdaje mi się, że brak mi idei pośrednich, albo że one zbyt mnie nudzą”.

Jeden jest tylko ratunek o którym pisarz nigdy nie zwątpił, jedno jedyne okno na światło — to świętość, ofiara całkowita i ofiara niewinna baranka. W *L'Agneau* barankiem jest Xavier. Cofa się on ostatniego dnia przed wstąpieniem do seminarium, by ratować parę istot które wypadek (czy wypadek?) stawia mu na drodze, ostatecznie ginie, znów z wypadku, czy zabity z zadości przez Jean Mirbela, czy może nawet odebrał sobie życie z rozpacz, wobec zła którego jest bezsilnym świadkiem.

Cała książka jest pełna skrótów i ponurych niedomówień. Nigdy Mauriac nie napisał książki tak zwartej, odcyszczając ją nawet z opisów zapachów i dźwięków; one zwykle nadawały kolo-

(*) Flammarion, Paris, 1952.

(**) Flammarion, Paris, 1954.

ryt dawnym jego powieściom. Pisarz bynajmniej nie próbował zmieniać skóry, żeby po nowemu czytelnika zdobyć, jedynie swój własny styl doszlifował do tak surowej lakoniczności. W prawdziwym kłębawisku żmij świeci jak diament, jak iza, po- stać zraniona, niemocna i zbawcza zarazem — baranka.

Obrysowany z niezapomnianą czujnością, skrytą nieśmiałą czułością — Xavier jest bratem „Wiejskiego Proboszcza” Bernanosa.



Nie tylko *L'Agneau* jest niespodzianką tegoroczną Mauriaca ale i jego *Bloc-notes* w „Expressie”. Nurt artykułów pisarza w „Figaro” zdawał się słabnąć, chociaż i tu niektóre z tegorocznych („Torture” na przykład) należą do najświetniejszych. Z „La Table Ronde” Mauriac — założyciel tego miesięcznika, wystąpił skarżąc się na cenzurę wewnętrzną, która we Francji gra zawsze, gdy pisarz zaczepia pewne potęgi. I nagle, w „Expressie”, piśmie lansującym najsilniej Mendès-France'a, *Bloc-notes* Mauriaca nabierają siły, tchu, jakiego nigdy uprzednio w tym stopniu nie posiadały. Pisarz reaguje w nich błyskawicznie na wypadki aktualne z wszelkich dziedzin: kryzys, polityka Francji, Mendès-France, obrona namiętna i szlachetna Maroka i Tunisu przed dotychczasową polityką Francji w tych krajach i to wszystko pomieszane z rozważaniami, wyznaniem natury religijnej, nieraz najbardziej intymnymi. Mauriac zapisuje co przeżywa przystępując do Komunii, czy że z powodu bólu gardła do Komunii nie przystępuje. Gide robił wyznania seksualne, Mauriac go przesłuchał — robi wyznania religijne.

Cioran napisał świetne studium: „La fin du Roman”, gdzie w powodzi współczesnych romansów widzi śmierć tego rodzaju literatury. Gdybym był Corianem, napisałbym drugi esej o końcu tego co zwykliśmy nazywać „Journal intime”. Od tylko dla siebie pisanego, cudownego w swej skromności dziennika Maine de Biran, okrutnie inteligentnego Benjamin Constant, pisanego częściowo greckim alfabetem, by się nikt do niego nie mógł dostać, od wstydliwego pastelowego „Journal Intime” Amiela, aż po Gide'a (o swym pamiętniku sam Gide pisał, że od czasu gdy go drukuje jest on jak przyjaciel niedyskretny, któremu nie ma nic do powiedzenia), po wspinały — choć drażniący namiętą drobiazgowością — dziennik Du Bosa, wykrygowany Julien Greena, kończąc „bloknotami” Mauriaca, którym autor nawet odleżeć się nie daje i zaraz posyła na maszyny, aby czytali wszyscy, wszyscy, wszyscy — jak się Mauriac gniewa i jak się modli. Można by o tym napisać parę stron... drapieżnych.

W „Bloknotach” pisarz angażuje się całkowicie w obronie spraw, które zdają mi się słuszne i najślusniejsze, ale nie pamiętam by kiedykolwiek autor swoje pióro maczał w takim wywarze z piółunu i strychniny.

„Bóg mi dał dar złośliwości (méchanceté), muszę się nim posługiwać” — miał jakoby powiedzieć Mauriac.

We „France Catholique” niepodpisany autor otwartego listu — tak jak i Mauriac, stronnik rządu Mendès — wyraża obawę, że kampania *Bloc-notes* może prędzej zaszkodzić Mendèsowi niż mu pomóc. Wszyscy wzięci przez Mauriaca na muszkę, kopnięci boleśnie i lekceważąco, zranieni, zdemaskowani przez niedyskrecję, dowcipnie w *Bloc-notes* wysypaną, pogardliwie poklepani po ramieniu lub uraczeni konkretną groźbą z nieodłącznym „cher” — łączą się w zwarty blok i czekają tylko, by się mścić na tych, których właśnie broni Mauriac — mścić się za Mauriaca.



Na marginesie problem natury szerszej, z którym nie umiem dać sobie rady. Dlaczego pisarze katolicy (nie tylko Francji, bo przecież i Nowaczyński, zdaje się, podawał się za pisarza katolickiego) zajmują tak poczytne, chyba czołowe, miejsce w sztuce pamfletu i paszkwilu? Mauriac ma wielkich przodków i Bloy przede wszystkim, ale także i Bernanosa! (choć lwi ryk tego ostatniego zawsze zdawał mi się niejako podszyty dobroduszością).

Jak się to dzieje, że pisarz im silniej podkreśla swój katolicyzm, więc chrześcijaństwo, jak pisarz który w każdym artykule wspomina o Bogu — nie Bogu Azteków, ale Bogu Miłości, więcej — pisarz, który stworzył, wyprowadził ze siebie, postać *świętego*, jak ten sam pisarz czuje się w prawie być tak drapieżnym w polemice.

Gdyby Gombrowicz, który nigdy za chrześcijanina się nie podawał, a do tego jeszcze ogłasza, że jest „wolny, wolny etcetera wolny”, bo „utrącił w sobie Boga” (u Nietzschego Bóg umarł, Gombrowicz Go już tylko „utrąca”), gdyby ten Gombrowicz napisał, że zamierza smażyć ludzi na wolnym ogniu, lub co głupszych żywcem pożerać, bo to mu sprawia przyjemność, nie wiem dlaczego miałbym to uważać za nielogiczne, ale Mauriac z Bogiem na ustach i mszałem w kieszeni?

Przecie go *obowiązują* zdania, które w mszale swym musi odczytywać jak na przykład te, które wybieram na ślepo spośród tysiąca podobnych: „Jeśli by kto rzekł iż miłuje Boga a nienawidzi brata swego, kłamcą jest. Albowiem kto nie miłuje brata swego którego widzi, Boga, którego nie widzi, jakże może miłować?”



W chwili wysyłania tego artykułu do *Kultury* czytam ostatni piękny „Bloc-notes” Mauriaca. Jest on na zmianę napisany „piórem umaczanem w niebie” i zdaje się odpowiadać na moje wątpliwości. Mauriac pisze „...ci co są zdolni nienawidzić tylko dlatego że są zdolni kochać”. To tłumaczy i pamflety i poszkwi-

le, ale to nie uniewinnia pisarza, podkreślającego swoje chrześcijaństwo. To byłoby zbyt *latwe*.

„Szeroki jest człowiek, zbyt szeroki — powiedział Dostojewski, — jabym zwięził”.

Józef CZAPSKI

Claudél odmienny

Zanim wpadły mi do ręki, dwa lata temu, dzieła zbiorowe Claudela, znałem tylko jego publiczną postać i korespondencję z Gidem. Wyznałem ze wstydem, że miałem do tej postaci — „le personnage” — silną antypatię. Podzielałem tę wulgarną opinię, która zawsze powstaje wokół wyjątkowych indywidualności i która wokół Claudela, zarówno u agnostyków jak u wielu chrześcijan, wytworzyła aurę hipokryzji, faryzeizmu, pychy. Od „Claudel — ce traître” André Bretona, aż po „la grenouille dans un bénitier” jakiegoś katolickiego księdza, poprzez nienawiść Bernanosa, uszczypliwość Gide’a w „Dzienniku” — mało kto mógł strawić to życie będące wyjątkowym połączeniem sukcesu dzieła i sukcesu kariery, tę formę triumfującą i „kterykalną” chrześcijaństwa, to zestawienie nowatorstwa w literaturze i tradycjonalizmu w filozofii, tę agresywność, tę skłonność do pogardy. Poezja Claudela była dla mnie rewelacją. Jego dramaty czy może jeden dramat, który rośnie, staje się coraz potężniejszy i wspanialszy i dochodzi do apoteozy w „Le Soulier de Satin” — wydają mi się jednym ze szczytów literatury, a Claudel największym żyjącym poetą francuskim.

W serii rozmów z pisarzami, którą od końca wojny przeprowadziło francuskie radio, dialog Claudela z Jean Amrouche jest niewątpliwie najciekawszy, najbogatszy, najbardziej oryginalny. Dialog ten ukazał się obecnie w formie książkowej (Paul Claudel: *Mémoires Improvisés*, recueillis par Jean Amrouche, Gallimard, Paris, 1954). Pisałem już, zdając sprawę z „radiowych pamiętników” André Bretona, że ta nowa forma wprowadza prawdziwą rewolucję do autobiografii, zmuszając pisarza do poruszania najbardziej drażliwych tematów. Trzeba przyznać że francuskie radio doskonale wybiera „partnerów” w tych rozmowach. Przypierają oni pisarza do muru, wabią go jak łosia z leśnych ostępów, drażnią jak toreador byka. Jean Amrouche jest wspaniały w tej roli. Słusznie wybrano dziennikarza, który nie jest wierzącym katolikiem, który, choćby przez swoją długoletnią przyjaźń z André Gidem stoi raczej „po przeciwnej stronie barykady”, ale który przecież zna na wylot całe dzieło Claudela, nie tylko zna, ale żył z tym dziełem i pokochał je.

Wybrał on — słusznie chyba — metodę chronologiczną w tych rozmowach, ale nie trzyma się jej niewolniczo, pozwala Claudelowi na meandry, nawroty, nawiasy. Zwolna rośnie misterna konstrukcja, niemal organiczna, dzieła na tle człowieka. Od anarchicznego, nietzscheańskiego dramatu „Tête d’Or”, pisanego w latach ciężkiej walki duchowej (nawrócenie Claudela to proces czteroletni), poprzez „La Ville” która brzmi dzisiaj niemal jak dramat komunistyczny, dochodzimy do Claudela z „Le Partage du Midi”, z którym łączy się głębokie, tragiczne przeżycie osobiste.

przeżycie mające zaciążyć na całym dziele poety, rozwiązane dopiero w apoteozie mistycznej z *Le Soulier de Satin*.

W rozmowach tych uderza potężna, oryginalna i misterna inteligencja Claudela. Przed neotomistami zetknął się on z „Sumą” Św. Tomasza i poświęcił całe lata współżyciu z Akwinem, integracji chrześcijańskiego arystotelizmu ze swą własną, indywidualną wizją świata. Może dlatego że Claudel tak długo żył w Chinach i tak je pokochał widzieć go teraz, po przeczytaniu „Mémoires Improvisés” jako katolickiego mandaryna, który wszystko zdolny jest pojąć i zrozumieć, a przecież wybrał konstrukcję intelektualną najbardziej misterna, katedrę w której więcej może baroku kontrreformacji niż gotyku scholastyki. Trudno dzisiaj ocenić, jak rzadkim fenomenem, jak wyjątkową postacią był ten młody Claudel, jedyny katolik wśród francuskiej elity intelektualnej, pojmujący słowo i poezję jak Mallarmé, i mający kult do Rimbauda. Claudel należy właśnie do postaci ludzkich „wyjątkowych”, do kategorii białych słoni, których dzieło spada niespodzianie, jak dziwaczny aerolit. Stąd może jego niechęć, nawet jego bluźniercza nienawiść do pisarzy ogólnoludzkich, którzy starali się w swym dziele wyrazić sumę człowieczeństwa („Goethemu daję oślą czapkę” — powie Claudel).

Gwałtowne dzieło, gwałtowne życie wewnętrzne — przy tym akumulacja godności, orderów, ambasad. Gorszenie się tym — jak Breton czy niektórzy bardziej „ewangeliczni” chrześcijanie — wydaje mi się dziwnie naiwne. Bo przecież jest to może tylko jeden jeszcze dowód „odmienności” Claudela.

W *Mémoires Improvisés* wiele jest pasjonujących uwag o słowie, poezji, istocie literatury. Opisując swą ewolucję literacką, Claudel spłaca dług Mallarmé’u. Warto zacytować tę rozmowę (około roku 1885). Mallarmé mówi o Zoli, Loti, czy Goncourtach: „Cóż robią ostatecznie wszyscy ci ludzie? Opowiadania o tym, co już wiemy. Opisują Trocadéro, bale, Japonię — co pan chce. To wszystko — to wypracowanie z francuskiego”. I potem, w ustach Mallarmé’go to powiedzenie które zaciąży na dziele Claudela i w którym znajdujemy w błyskawicznym skrócie — siedemdziesiąt lat temu — przecucie nowej literatury: „To co ja wnoszę do literatury, to że nie staję przed widownią pytając, ‘co to jest’ i starając się jaknajlepiej je opisać, ale pytając ‘co to znaczy?’”.

Claudel dzieło swoje poświęcił właśnie odpowiedzi — w swym własnym języku — na to pytanie, mające po francusku jeszcze silniejszą wymowę (bo zaznacza ono jakby funkcję poety pośredniczącego rzeczą w wypowiedzeniu się): „*Qu’est-ce que cela veut dire?*”

Stary, przeszło osiemdziesięcioletni Claudel przypomina to wspaniałe drzewo o którym pisze w swym pierwszym dramacie „Tête d’Or”.

KAJ

Notatki wydawnicze

„Kwestia Żydowska” jest dramatem, w którym grają trzej aktorzy : antysemita, demokrat i Żyd. Antysemita jest jednocześnie autorem dramatu. Demokrat twierdzi że dramat nie istnieje, jego zachowanie się na scenie jest zachowaniem się aktora który udaje że nie gra. Żyd, zmuszony do gry przez antysemitę, fałszuje jednocześnie swą grę, zerkając na demokrację. J. P. Sartre nie używa co prawda tego obrazu w swoich *Reflexions sur la Question Juive* (Gallimard, Paris 1954), ale jego wspaniały esej sprowadza się właściwie do niemal dramatycznej ekspozycji społecznego „Huis-Clos”. Mielśmy do kwestii żydowskiej podejścia historyczne, społeczne, gospodarcze, psychologiczne. Żadne z nich nie wydało mi się równie nowe i prawdziwe jak postawienie przez Sartre'a tego zagadnienia na płaszczyźnie egzystencjalnej. Zasadnicze twierdzenie Sartre'a, że kwestia żydowska jest stworzona przez antysemityzm nie jest nowe. Jest to prawda tak oczywista (oprócz dla antysemity), że nie sposób podejść inaczej do problemu żydowskiego. Nie ma również nic specjalnie rewelacyjnego w charakterystyce antysemity i antysemityzmu, którą daje Sartre (choć z właściwą sobie błyskawiczną inteligencją dokonuje on tu integracji wszystkich motywów które składają się na antysemityzm w jedną postawę psychiczną). Ale Sartre bije wszystkich dotychczasowych pogromców antysemityzmu przez to, że uznaje istnienie specjalnej osobowości żydowskiej, którą negują zazwyczaj nie tylko „demokraci”, ale nawet nieraz i sami Żydzi. Demokratą przyswoił sobie raz na zawsze racjonalizm XVIII wieku z jego analitycznym podejściem : konkretne syntezy tworzone przez historię nie istnieją dla niego. Demokratą skłania się ku rozbiciu wszystkich społeczności na indywidualne elementy : nie ma dla niego Żydów, ani Murzynów, tak jak nie ma burżuazji ani proletariatu — jest tylko człowiek, identyczny niezależnie od miejsca i chwili. I stąd jeśli antysemita wyrzuca Żydom to, że są Żydami, demokratą wyrzuca im nieraz, że się uważają za Żydów.

Książka Sartre'a stawia odważnie następujące pytanie : — czy Żyd istnieje ? — jeśli istnieje, kim jest ? — najpierw Żydem, czy najpierw człowiekiem ? Czy rozwiązanie problemu polega na eksterminacji wszystkich Żydów (jedyna logiczna teza antysemity) — czy też na ich całkowitej asymilacji (jedyna logiczna teza demokracji) ? Czy też można inaczej postawić ten problem i inaczej go rozwiązać ?

Dla Sartre'a Żydzi nie są społecznością religijną, narodową, międzynarodową, etniczną czy polityczną : jest to społeczność historyczna. „To co tworzy Żyda, to jego sytuacja konkretna; to co go łączy z innymi Żydami — to identyczność tej sytuacji”. Antysemityzm jest według Sartre'a regresywnym fenomenem społecznym — prelogiczną koncepcją świata. Jest to forma manicheizmu w której nienawiść do Żydów staje się mitem, tłumaczącym wszystko. Sartre nadaje swej analizie charakter marksistowski, twierdząc że antysemityzm jest również zbiorowym wysiłkiem klas posiadających stworzenia unii narodowej wbrew klasowemu podziałowi społeczeństwa : z antysemityzmem łączy się pewien mistyczny kult własności nieruchomości, pojęcia ziemi polskiej, czy francuskiej, mityczny obieg krwi między gruntem, domami, narodem.

Asymilacja ? Prawdziwym przeciwnikiem asymilacji nie jest Żyd, ale antysemita. Od czasu swej politycznej emancypacji, mniej więcej od półtora wieku, Żyd stara się połączyć ze społeczeństwem, które go odpycha : póki będzie istniał antysemityzm, asymilacja pełna i całkowita jest niemożliwa. Teoretycznie istnieją pewne środki koercyjne, jak przymusowa zmiana nazwisk, polityka małżeństw mieszanych, zakazy praktyk religijnych i obrzezania — ale Sartre sprzeciwia się takiej formie rozwiązania : wydaje mu się ona nieludzka. Żydzi dążą do asymilacji, ale do asymilacji jako Żydzi. Zresztą posiadają oni w każdym społeczeństwie specjalną wartość duchową, właśnie jako Żydzi. Formułą Sartre'a jest „konkretny liberalizm” :

„Wszyscy ludzie którzy dają danemu krajowi swą pracę mają prawo do pełnego obywatelstwa tego kraju. To co im daje to prawo, to nie problematyczna i abstrakcyjna „natura ludzka”, ale aktywne współdziałanie w życiu społeczeństwa. Oznacza to (Sartre pisze o Francji) że Żydzi, tak jak Arabowie i Murzyni, z chwilą gdy są solidarni z narodowym zespołem, mają do tego zespołu prawo : są obywatelami. Mają te prawa jako Żydzi, Arabowie, Murzyni : jako osoby konkretne. W społeczeństwach, w których kobiety mają prawo głosowania, nie wymaga się od nich zmiany płci, kiedy przystępują do urn : głos kobiety ma tą samą wartość co głos mężczyzny, ale kobieta głosuje jako kobieta, ze swymi kobiecymi troskami, z charakterem kobiecym. Kiedy chodzi o oficjalne uprawnienia Żyda, ale również o jego uprawnienia niepisane, bardziej subtelne, również konieczne, których nie zawiera żaden kodeks, należy uznać te uprawnienia nie dlatego że jest on „potencjalnym chrześcijaninem”, ale dlatego że jest francuskim Żydem : musimy go przyjąć z jego charakterem, obyczajami, upodobaniami, religią (jeśli ją wyznaje), nazwiskiem, rysami twarzy. Jeśli przyjmujemy go w sposób totalny i szczerzy, przyjęcie to ułatwi Żydowi najpierw wybór autentyczności, a potem umożliwi, bez gwałtu, przez sam bieg historii, tę asymilację, którą chcieli się narzucić siłą”.

Wystarczy zestawzić powyższy ustęp Sartre'a z procesami „sjonistów” w Czechosłowacji i Rumunii, z atakami na „kosmopolityzm” Żydów w Z.S.S.R., aby zrozumieć jak daleko w bloku sowieckim od tego „konkretnego liberalizmu”. Rozumowanie Sartre'a można zresztą również dobrze zastosować do katolików — i jasne się wówczas stanie jak bardzo właśnie „forma nieludzka” przemocy, przed którą cofa się Sartre, jest ogólnie przyjętą formułą w bloku sowieckim. Książka Sartre'a napisana była zaraz po „Liberation”. Dużo w niej aluzji do antysemityzmu polskiego. Należy załować, że Sartre cofnął się w nowym wydaniu przed analizą antysemityzmu sowieckiego. Analiza ta mogłaby również wzbogacić „marksistowską” stronę jego eseju : albo jego argumenty o „klasowym charakterze antysemityzmu nie dają pełnego wytłumaczenia tego fenomenu, albo też daleko w sowieckim bloku do „bezklasowego” społeczeństwa...

◆
Po abstrakcyjnym, profesorskim esaju Sartre'a, książka Dr Filipa Friedmana o epopei warszawskiego getta (Philip Friedman : *Martyrs and Fighters, The Epic of the Warsaw Ghetto*, Frederick A. Praeger, New York, 1954) sprawia wstrząsające wrażenie. Jest to zbiór dokumentów : pamiętniki, opowiadania naocznych świadków, listy, testamenty, źródła oficjalne żydowskie, polskie i niemieckie, raporty z walk — zestawione tematycznie, połączone krótkim, patetycznie skromnym i obiektywnym komentarzem autora. Są epizody w historii, których tragiczna wymowa jest tak potężna, że transpozycja ich w fikcję, najbardziej nawet dramatyczną, stanowi mimo wszystko obniżenie tonu, otwiera nam drzwi do pytania : czy to możliwe ? Przy książce Friedmana błędnie „The Wall” Herseya, błędnie

powojenne polskie opowiadania Andrzejewskiego, Iwaszkiewicza. Zebra-
ne przez niego dokumenty przywracają do życia potworny, absurdalny mikro-
kosmos warszawskiego ghetta — to kłębowisko wszystkich ludzkich namię-
tności, nad którym panuje głód i śmierć. Podobnie jak w świecie koncen-
tracyjnym, przestają tu grać zwykle normy ludzkiego współżycia. Dr Fried-
man z pełnym obiektywizmem historyka oddaje tę zbiorową tragedię (w gre-
kim, klasycznym znaczeniu tego słowa). Najpotworniejszym może pociągnię-
ciem hitlerowców było oddanie „rządów” nad ghettem w ręce samych Ży-
dów, którzy w ten sposób zmuszeni byli wydawać swych najbliższych na
śmierć. Epizody bohaterstwa i świętości, miłosierdzia i poświęcenia sąsiadu-
ją tu ze zdradą, chciwością, makabrycznym „nocnym życiem”, chęcią ostat-
niego użycia. Od reszty Polski ghetto dzielił mur. Mur tak szczelny, że
mało przeniknęło przezeń pomocy, chyba tej płatnej milionami i biżuterią.
Dr Friedman pisze o polskim społeczeństwie bez gorczy. Ale, może wbrew
logice, może naprzekór historycznym możliwościom narodu, który, w in-
nym wymiarze, był przecież wówczas również ofiarą, trudno chyba Pola-
kowi czytać tę książkę bez uczucia palącego wstydu.

Stary Giovanni Papini, po trzydziestu latach ortodoksyjnej zgody z ka-
tolicyzmem proponuje nam dziś w swoim *Le Diable* (Flammariion, Paris,
1954) tezy, które mocno zaniepokoiły Kościół. Bóg jest miłością, bunt Sza-
tana nie mógł mieć miejsca bez zgody Boga, a więc właściwie należy mieć
nadzieję że Szatan będzie kiedyś zbawiony — oto zasadnicza teza książki
Papiniego. Autor próbuje jednocześnie przeprowadzić analizę satanizmu we
wszystkich dziedzinach życia. O ile trudno nie odczuć sympatii dla tezy Pa-
piniego, i o ile jego interpretacja Pisma jest nieraz niezwykle ciekawa, o tyle
jego osądy literackie i artystyczne są tak naiwne i prostackie, że traci się
wprost zaufanie do autora *Diabla*.

Pierre Klossowski, brat malarza Balthusa, jest Polakiem z pochodze-
nia. Jest on jednym z najbardziej wnikliwych współczesnych teoretyków lite-
ratury. Jego piękna książka o Markizie de Sade (*Sade mon prochain*, Edi-
tions du Seuil) stanowiła najpoważniejszy może wkład do rewizji poglądów
na pisarza w którym tak długo widziano tylko szaleńca, zbrojeńca i porno-
gra, a który jest jednym z najgłębszych, najbezlitośniej logicznych i naj-
tragiczniejszych duchów francuskiej literatury. *Roberte ce Soir* Klossow-
skiego (Editions de Minuit, Paris 1954) jest opowieścią, filozoficznym dia-
logiem na tle surrealistycznej dekoracji. Ostry erotyzm i ścisła inteligencja
z jaką autor stara się przeświecić mgłę stosunków „międzyludzkich” nadaje
tej hermetycznej książeczce urok, który w dziwny sposób łączy się z niepo-
pomijającym realizmem obrazów Balthusa. Ilustracje samego Klossowskiego przy-
pominają zresztą sztukę jego brata.

G)

W dwóch słowach

Informowanie polskich czytelników o bieżących książkach wydawanych
na Zachodzie jest jednym z zadań które stawia sobie „Kultura”. Trudno
jest każdej książce zasługującej na wzmiankę poświęcić krytykę, czy nawet
notatkę. Dlatego wprowadzamy nowy dział, „w dwóch słowach” wjmujący
treść, charakter, czy wagę książki. Niektóre z nich będą może później szerzej
omawiane w „Kulturze”. Nowy dział pozwoli nam jednak na szerszy rzut
oką.

FRANCJA

Jorge-Luis Borges: *Labyrinthes*, Gallimard, Paris 1953.

Najciekawszy pisarz południowo-amerykański. Opowiadania te łączą
konstrukcję „detektywów” i tematykę „science-fiction” z poezją i meta-
fizyką. Połączenie Kafki z Whiteheadem, Gombrowicza z Chwistkiem.

Jean Burnat: *C'est Dupont, mon Empereur*, Amiot-Dumont, Pa-
ris, 1954.

Epopcja napoleońska, widziana oczami „roggnarda” z cesarskiej gwar-
dii. Temat Gąsiorowskiego, mniej banal i syntymentalizm, plus dowcip,
inteligencja, cynizm i poczucie aktualności. Gwardzista Dupont często mru-
ga okiem do czytelnika z roku 1954.

J.-L. Curtis: *Les Justes Causes*, Julliard, 1954.

Były laureat Goncourta, młody pisarz, analizuje (w powieści) dyle-
maty polityczne, filozoficzne, sentymentalne, współczesnego francuskiego inte-
lektualisty. Pokrewieństwo z Miłoszem.

Raymond Guérin: *Les Poulpes*, Gallimard, Paris, 1953.

Jedyny francuski krytyk literacki, który łączy inteligencję, intuicję, od-
wagę i niezależność (kronika miesięczna w *La Parisienne*) jest też powie-
ściopisarzem. Najlepsza powieść o obozie jeńców — w dziesięć lat po
wojnie.

Paul Mousset: *Neiges sur un amour nippon*, Grasset, Paris 1954.

Mousset, podróżnik i awanturnik, jest francuskim Hemingwayem. Po-
dobny głód życia i wrażeń, podobnie „męska” postawa, ale Dubonnet za-
miast whisky. Miłość na tle Korei i okupowanej Japonii.

Lucien Rebatet: *Les Epis Murs*, Gallimard, 1954.

Rebatet, kolaborcjonista i faszysta, dotąd siedzi w więzieniu w Fres-
nes. To nie przeszkadza Paulhanowi z NRF (który walczył w Résistance)
wiedzieć w nim największy współczesny talent powieściopisarski.

Jules Roy: *Le Navigateur*, Gallimard, 1954.

Oficer zawodowy, który nie będąc komunistą, umiał spojrzeć niekonwencjonalnie na wojnę w Indochinach. Powieść (lotnictwo, odwaga, strach i śmierć) w tradycji Saint-Exupéry.

Françoise Sagan: *Bonjour Tristesse*, Julliard, 1954.

Osiemnastoletnia dziewczyna dostaje „Prix de la Critique”, nagrodę ważniejszą literacko od Goncourta. Mauriac się oburza, Robert Kemp się zachwyca. „Dzień dobry, Smutku”, to wplecenie Saint-Germain-des-Près, cocktailli, Côte d'Azur, oschłości i inteligencji w klasyczną kanwę „Princesse de Clèves”.

Jean Giono: *Voyage en Italie*, Gallimard, 1954.

Już Stendhal, Goethe i pani De Stael mówili nam więcej o sobie niż o Włoszech. Giono nieraz pogardza sztuką, interesuje się makaronami, dziewczynami, chwilą. Tak jak M. Dupont, czy Mr. Smith: tylko że Giono jest ciekawszy.

Philippe Erlanger: *Monsieur, Frère de Louis XIV*, Hachette 1954

Monsieur, mąż dobrej Madame Henriette („Madame est morte...” Bosueta) i księżnej Palatyńskiej (autorki uroczu ordynarynych listów) kochał glupiego Chevalier d'Orléans i żył otoczony faworytami. Erlanger twierdzi, że wprowadził go do pederastii kardynał Mazarin, za pośrednictwem swych bratanków Mancinich, aby odsunąć go od polityki: dla „racji stanu”...

Louis Dalmas: *La Médecine Totale*, Juillard, 1954.

Medycyna przeszła w ciągu ostatnich dziesięciu lat przez rewolucję. Organizm ludzki jest całością, przestaje się już mówić o poszczególnych „chorobach”. Młody francuski lekarz tłumaczy znaczenie tej rewolucji.

Dr Henry J. Marriott: *Espoirs de la Médecine* (przedmowa Sir A. Fleminga), André Bonne, 1954.

Bardziej encyklopedyczna, mniej intelektualna analiza, dla laików, nowej medycyny. Na ten sam temat, pasjonujący artykuł w lipcowym numerze „Nouvelle NRF” (René Lariche, „La Nouvelle Médecine”).

La Musique et ses Problèmes contemporains (Cahiers de la Compagnie Madeleine Renaud — Jean-Louis Barrault), Juillard, 1954.

Barrault wydaje od blisko roku własne pismo, poświęcone głównie „matemu teatrowi Marigny”, który uważa za eksperymentalny. Odbywają się tam również koncerty muzyki nowoczesnej. Numer muzyczny, pod redakcją Pierre Bouleza, zawiera ciekawe studia o muzyce dodekafonicznej, muzyce „konkretnej”, doświadczeniach elektronicznych itd.

Martin Maurice: *Master William Shakespeare*, Gallimard 1954.

Ostatni przyczynek do wielkiej ankiety „kim był Szekspir?”, trwającej od stu lat z górą. Maurice inteligentnie daje prostą odpowiedź: „Szekspir był Szekspirem”.

André Maurois: *Olympio, ou la vie de Victor Hugo*, Hachette, 1954.

Najlepsza z biografii napisanych przez tego zdolnego popularyzatora. Hugo człowiek, Hugo polityk i Hugo, „niestety” największy francuski poeta...

Antonina Vallentin: *Le Drame d'Albert Einstein*, Plon, 1954.

Przyjaciółka od wielu lat odsłania wielkość Einsteina i jego prostotę — w życiu codziennym. Dramat — to konflikt pacyfisty i uczonego wobec odkryć, zagrażających człowiekowi.

AMERYKA

Louis Kronenberg: *Company Manners. A Cultural Inquiry into American Life*, Bobbs-Merrill, New York, 1954.

Ważne studium socjologiczne przez teatralnego krytyka. Autor przerażony jest konformizmem społecznym w USA (i w amerykanizującej się, choć anty-amerykańskiej Europie). Diagnoza pierwszorzędna.

Ray Bradbury: *Fahrenheit 451*, Rupert Hart Davis, N. Y., 1954.

Science-Fiction — z odcieniem orwellowskim. „F. 451” — to temperatura zapalna oprawnych książek. Bohater, strażak Montag (rzecz dzieje się w przyszłości) zajęty jest właśnie pospołu z ekipą, paleniem tych zdradliwych przedmiotów. Montag — z ciekawości i sylabizując — przeczyta raz książkę. Oczywiście przejdzie do oporu. W tłumaczeniu francuskim ukazały się tego samego autora ciekawe „Chroniques Martiennes”.

WIELKA BRYTANIA

R. C. Attlee: *As It Happened*, Heinemann, London, 1954.

Autobiografia byłego premiera. Attlee wie o co mu chodziło, ale teraz, gdy społeczeństwo brytyjskie osiągnęło równość ekonomiczną i maksimum społecznych ubezpieczeń — wyznaje że wobec nowych problemów (brukowa prasa, telewizja, Hollywood, hazard masowy itd.) trudno jest mu powiedzieć „co dalej”?

John Middleton Murry: *Jonathan Swift, a critical biography*, J. Cape, London, 1954.

Najlepsza i najpełniejsza biografia krytyczna wielkiego satyryka angielskiego.

Allan W. Watts: *Myth and Ritual in Christianity*, Thames and Hudson, London, 1954.

Teżą autora (który do religii stosuje klucz mitologiczny Junga) jest że chrześcijaństwo było w zarodku matriarchalną reformą religii patriarchalnej (stąd agapy, luźne reguły, czołowa rola kobiet). Ale św. Paweł powrócił do patriarchalnej koncepcji. Watts studiuje ścieranie się obu prądów w ciągu wieków.

NIEMCY

Hermann Kesten: *Meine Freunde die Poeten*. Donauverlag, Wien-München, 1954.

Pisarz niemiecki wspomina lata wygnania w epoce hitlerowskiej. Interesujące studium emigracji niemieckiej i jej zawsze żywych związków z Zachodem.

Erich Eyck: *Geschichte des Weimarer Republik*, Reutsch, Zurich-Stuttgart, 1954.

Biograf Bismarcka i Wilhelma II daje pierwszy tom bezstronnej historii przedhitlerowskich Niemiec.

SZWAJCARIA

Denis de Rougemont: *La Confédération Helvétique*, Editions du Rocher, Monaco, 1954.

Pierwszy tom kolekcji „Profile Narodów”, której patronuje UNESCO poświęcono — chyba słusznie — Szwajcarii. Analiza polityczna i psychologiczna jaką daje Rougemont jest pierwszorzędna.

Herbert Luthy: *Frankreichs Uhren gehen anders*, Europa-Verlag, Zurich, 1954.

Szwajcarski dziennikarz, kochający Francję, bezlitośnie odsłania absurdy jej polityki i gospodarki. Próbką precyzyjności myśli i jasności stylu: Kruchość rządu jest częścią systemu, w którym władza wykonawcza wciśnięta jest między parlament, wyobrażający sobie, że jest rządem i administrację która wyobraża sobie że jest Państwem”.

Przegląd miesięczników

W czerwcowym numerze *Temps Modernes* (pismo to ukazuje się zawsze pod koniec miesiąca), piękna nowela Faulknera, „Mississipi” i ciekawy artykuł René Leibowitza, „Le Compositeur et son Double”, o stosunku kompozytora i dyrygenta: Leibowitz dowodzi swej ciekawej tezy atakując Toscaniego. W tym samym numerze, Jean Pouillon broni też I. Deutschera w artykule pt. „Staline: Catoblepas ou Phénix”. Twierdzi on że stalinizacji i antykomuniści z uporem trzymają się tezy, że stalinizm jest wieczny. Pouillon zniekształca myśl Raymond Arona, który w „Preuves” zaatakował Deutschera. Artykuł jest jednak ciekawy, pod pozorną swobodą i paradokсами służy obecnej tezie polityki sowieckiej.

La nouvelle Nouvelle Revue Française poświęca sierpniowy numer uczczenia Jules Supervielle, jednego z pierwszych poetów francuskich. Urugwajczyka z urodzenia. Supervielle jest świadomy grozy epoki, ale celowo

daje nam poezję pogodną, organiczną. Dobrze oddają tę poezję te wiersze Armand Robin: „Jak na każdego z nas, co dzień biją nań burze rozpętanych wydarzeń; ale poprzez jego listowie, grożąca nam ulewa zmienia się na zwykły deszcz, który możemy wszyscy znieść”. Ale zapewne i na to trzeba żeby ulewa była daleka...

W *La Parisienne* (Sierpień-Wrzesień), Jacques Laurent daje listę książek które wydają mu się najlepsze w roku 1954: Paul Morand: „Hécate et ses Chiens”; Jean Giono: „Voyage en Italie”; Henry de Montherlant: „Histoire d'amour de la rose de sable”; François Mauriac: „L'Agneau”; Jacques Audiberti: „Les Jardins et les Fleuves”; Simone: „L'Autre Roman”; Dominique Aubier: „Vivre ce qu'on Raconte”; Michel Déon: „Le Dieu Pâle”; Jacques Perret: „Les Cheveux sur la Soupe”; Etienne Catin: „Trains en détresse”; Jean Burnat: „C'est sur le monument”. W tym samym numerze *Parisienne*, drugi odcinek opowiadania Alekseja Remizowa, „Sawa Grudzin”.

Sierpniowy numer *Preuves* daje kilka szkiców Remizowa, poprzedzonych wstępem Józefa Czapskiego pt. „Moje spotkania z Remizowem”. Jest to francuska wersja szkicu Czapskiego „Montagnes Russes”, który ukazał się w „Kulturze”. Ponadto w tymże numerze *Preuves* St. Vincenza „Kołomyja-Europa”.

W sierpniowym *Table Ronde* — nowa powieść E. M. Forstera pt. „Monteriano”. Jak się wydaje, jest to, po kilkunastu latach — zmieniona wersja „A Room with a View”.

Ostatnie prace niemieckiego biologa Karl von Fritsch rzuciły nowe światło na sprawę języka pszczół. Pasjonujące odkrycia Fritscha miały szereg ech w czasopiśmie: Emile Benveniste: „Communication animale et Langage Humain” (*Diogenes*, Nr 1); J. B. S. Haldane: „Rituel Humain et Communication Animale” (*Diogenes*, Nr 4); Et. Wolff: „Le Langage des Abeilles” (*Revue Philosophique*, czerwiec 1954), wreszcie wymiana listów pomiędzy Karl von Fritsch i Emile Benveniste w Nr 7 *Diogenes*. W tymże (ostatnim) numerze tego kwartalnika, Raoul Ergmann przeprowadza ciekawą analizę tez estetycznych Malraux z „Voix du Silence” i Berensona z jego ostatniej książki. Wykazuje on inteligentnie i rzeczowo do jakiego stopnia Malraux jest w swych osądach eksponentem „mody” swego środowiska i pokolenia. Ergmann ma więcej zaufania do Berensona mimo pozornej naiwności i pewnej „reakcyjnej” agresywności starego „B. B.”. Tym niemniej, mimo wielu różnic, istnieją pewne podobieństwa w podejściu eksperta Berensona i wizjonera Malraux do sztuki. Dlatego Ergmann nazwał swój artykuł „Les Chances d'un Dialogue”. Numer 7 „*Diogenes*” zawiera regulamin międzynarodowego konkursu „Prix International Diogenes” (otwartego bez ograniczeń do czerwca 1955) na krótką (50 stron maszynopisu) syntetyczną pracę przynoszącą „poglądy nowe i uzasadnione w jakiegokolwiek dziedzinie nauk humanistycznych”. Nagroda „*Diogenes*” wynosi 1.000 dolarów.

Nadesłane

nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

- LANGROD (Georges, prof.). *Les problèmes des réfugiés et apatrides*. Cztery zeszyty na powielaczu. Nakt. Université de Paris, Institut des Hautes Études Internationales, 1954).
- D'HARCOURT (Robert). *L'Allemagne est-elle inquiétante?* Pp. 180. (Ed. Flammarion, Paris, 1954. Frs 400).
- GOELDHIEUX (Claude). *Quinze mois prisonnier chez Viets*. Pp. 245. (Ed. Julliard, Paris, 1954. Frs 480).
- RIBBENTROP (Joachim von). *De Londres à Moscou*. Mémoires. Traduit de l'allemand par Claude Pascal. Pp. 260. (Ed. Grasset, Paris, 1954. Frs. 585).
- LAFFARGUE (André). *Le général Dentz (Paris 1940 - Syrie 1941)*. Préface du général Weygand. Pp. 212. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1954. Frs 495).
- FROSSARD (André). *Histoire paradoxale de la IV^e République*. Pp. 151. (Ed. Grasset, Paris, 1954. Frs 330).
- MADARIAGA (de Salvador). *De l'angoisse à la liberté*. Pp. 286. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954. Frs 570).
- NEUVECELLE (Jean). *Eglise capitale Vatican*. Pp. 301. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs. 625).
- PAPE (Richard). *Poursuivi par la mort*. Pp. 313. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs 630).
- SHAPIRO (Henry). *L'U.R.S.S. après Staline*. Pp. 254. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs 480).
- BERTRAND (Louis). *Mes ambassades (Espagne-Italie-Allemagne-Canada)*. Pp. 300. (Ed. Arthème Fayard, Paris, 1954, frs. 600).
- ANDRÉ (Valérie). *Ici ventilateur!* Pp. 225, 22 fotogr., 2 mapy (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954, frs. 450).

LITERATURA

- KOSSOWSKI (Jerzy). *Wici w puszczy*. Str. 287. (Nakt. Katolicki Ośrodek Wyd. „Veritas”, Londyn, 1954. Cena 15 sh.).
- KISIELEWSKI (Józef). *Powrót*. Str. 214. (Nakt. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas” Londyn, 1954. Cena 15 sh.).
- MAURIAC (François). *L'Agneau*. Pp. 244. (Ed. Flammarion, Paris, 1954, frs 425).
- BENN (Gottfried). *Double vie*. Traduit de l'allemand par A. Vialatie. Pp. 196. (Ed. de Minuit, Paris 1954).
- CLAUDIO (Jean). *Les torts réciproques*. Pp. 264. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954. Frs 470).
- WILSON (Angus). *La ciguë et après*. Traduit de l'anglais par Marie Tadié. Pp. 332. (Ed. Robert Laffont, Paris, 1954. Frs. 600).
- RICHTER (Conrad). *La ville*. Pp. 392. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).
- SIMON (Claude). *Le sacre du printemps*. Pp. 276. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1954).
- LAURENT (Jacques). *Le petit canard*. Pp. 226. (Ed. Grasset, Paris, 1954. Frs 480).
- CÉLINE (Louis-Ferdinand). *Féerie pour une autre fois*. Pp. 327. (Ed. Gallimard, Paris, 1954).
- CÉLINE (Louis-Ferdinand). *Normance*. (II^e partie de la Féerie pour une autre fois). Pp. 375. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, Frs 650).
- ORIEUX (Jean). *La mal mariée*. Pp. 236. (Ed. Flammarion, Paris 1954. Frs. 375).
- LANZMANN (Jacques). *La glace est rompue*. Pp. 222. (Ed. Julliard, Paris, 1954. Frs. 450).
- BECKETT (Samuel). *Murphy*. Pp. 201. (Ed. de Minuit, Paris, 1954).
- AUDIBERTI (Jacques). *Les jardins et les fleuves*. Pp. 398. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs 800).

- STIRLING (Monica). *Les dames à la licorne*. Pp. 236. (Ed. Robert Laffont, Paris, 1954. Frs 600).
- COCCIOLI (Carlo). *L'Image et les saisons*. Traduit de l'italien. Pp. 341. (Ed. Plon, Paris, 1954. Frs 690).
- HUXLEY (Aldous). *Les portes de la perception*. Essais. Traduit de l'anglais par Jules Castier. Pp. 262. (Ed. du Rocher, Monaco, Paris, 1954).
- DRUON (Maurice). *La volupté d'être*. Pp. 273. (Ed. Julliard, Paris, 1954. Frs 600).
- POEZJE**
- Od Kochanowskiego do Staffa. Antologia liryki polskiej. Ułożył Wacław Borowy. Str. 429. (Nakt. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, 1954. Cena).
- KOVTUN (Jiri). *Tu-Fuwo Zal*. Poezje. Str. 16. (Wyd. Paryż, 1954, frs. 250).
- DEN (Petr). *Mexické Divertimento*. Str. 23. (Nakładem autora, Skłizeń. Hamburg, 1954).
- MANIŁO (Ivan). *Bajkar*. (Poezje). Str. 104. (New York-Winnipeg, 1954).
- RÓZNE**
- HEMAR (Marian). *Fraszkiopis*. Str. 20. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, i. 1954).
- Stanisław Stroński w 50-lecie pracy pisarskiej (Praca zbiorowa). Str. 112. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, rok 1954).
- ZAJĄC (Józef). *Sily Zbrojne w Ustroju Demokratycznym*. Str. 15. (Nakt. Kom. Gł. PPS w W. Brytanii, Londyn, 1954. Cena 6 d.).
- CIOLKOSZ (Adam). *Socjalizm a komunizm*. Str. 11. (Nakt. Kom. Gł. PPS w W. Brytanii, Londyn, 1954. Cena 6 d.).
- White Paper on the Persecution of the Church in Poland*. Str. 78. Londyn, 1954).
- MARCEL (Gabriel). *La déclin de la sagesse*. Pp. 116. (Ed. Plon, Paris, 1954, Frs. 300).
- STRAUSS (Leo). *De la tyrannie et KOJEVE (Alexandre). Tyrannie et Sagesse*. Pp. 344. (Ed. Gallimard, Paris, 1954. Frs 690).
- DUCROCQ (A.) et VILMONTES (R.). *Nos risques et nos chances*. Pp. 237. (Ed. Plon, Paris, 1954. Frs 495).
- MAN (de Henri). *L'Ere des masses et le déclin de la civilisation*. Pp. 295. (Ed. Portulan, chez Flammarion, Paris, 1954. Frs 825).
- YOUSOUPOFF (Félix Prince). *En exil*. Pp. 254. (Ed. Plon, Paris, 1954. Frs 630).
- DEYDIER (Henri). *Łokapála*. Pp. 242. (Ed. Plon, Paris, 1954. Frs 690).
- DUPERIER (Bernard). *L'étoile, les ailes et la couronne*. Pp. 344. (Ed. Robert Laffont, Paris, 1954).
- PEQUIGNOT (Henri). *Médecine et monde moderne*. Pp. 163. (Ed. de Minuit, Paris, 1954).
- HRABYK (Klaudiusz). *List legalisty do Anonima*. Na rece prof. Adama Pragiera. Str. 32 (Wyd. Czas, Publishing Co, Inc., New York, 1954).
- NAŁEĆZ (Kazimierz). *Wszystko, co nasze, Polsce oddamy!* Str. 20. (Nakt. Zw. Harcerstwa Polskiego, Londyn, 1954, Biblioteka Ogniw Nr 2. Cena 1 sh. 6 d.).
- SICHYNSKY (Volodymyr). *Ukraine in foreign comments and descriptions from the VI-th to XX-th Century*. Str. 236. (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, Inc. New York, 1953).
- BRUNS (Ursule). *Chez soi*. Pp. 16 i 25 ilustracji. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris, 1953).
- SCHNEIDER (Reinhold). *François d'Assisi*. Pp. 18 i 25 ilustracji. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris, 1953).
- PETERICH (E.). *Les dieux grecs*. Pp. 15 i 25 ilustracji. (Ed. Desclée de Brouwer, Paris, 1954).
- DAUJAT (Jean). *Vivre le christianisme*. Pp. 187. (Ed. Plon, Paris, 1954, frs. 270).
- FEINBERG (J.-G.). *Histoire de l'atome*. Pp. 311 et 18 croquis. (Ed. Correa, Paris, 1954, frs. 690).

Jak piszemy

Na średniowiecznym progu



9. „ANGIELSKA” CERKIEW.

Cerkiew z popem nie zaginęła, ale dziś odnosi się już tylko do prawosławia. W średniowieczu *cerkiew* lub *cyrkiew* (drugi przypadek *cerekwie* lub *cyrekwie*) rywalizowała z *kościółem*, który tylko na czesko-polskim gruncie zrobił tę karierę ze skromnego łacińskiego *castellum*, 'zamku'. „Kiedy się modlą, ciało w *cerekwi* mają a serce na ulicy”, „głowa świętej *cerekwie* jest Kristus” — czytamy w Rozmyślanii. Hen, na Pomorzu, koło Chojnic, ostała się jeszcze z tych czasów *Cerekwica* (*), gdzie w roku 1454 szlachciury wielkopolskie, pod broń przez Kazimierza Jagiellończyka wezwane, wyszantażowały od króla szereg przywilejów, aby potem, pod Chojnicami, od Krzyżaków sromotną ponieść klęskę.

Słowo *pop*, używane obok częstszego *księdza* na oznaczenie 'księdza katolickiego', znajdziemy w cytowanym już wierszu Gałki o Wycliffe'ie: „Cesarscy *popowie* są Antykrystowie” — zaperzał się Gałka. Zostało nam z tych czasów *Popowo*.

Kmieć niegdyś bardzo wysoko, bo w radzie książęcej, królewskiej zasiadał, wywodząc się, jak twierdzą niektórzy (**), aż z łacińskiego *comes*, drugi przypadek *comitis*, 'towarzysz, członek świty władcy', skąd i dzisiejszy francuski *comte*. W dodatkach do Bogurodzicy, pochodzących z XIV wieku, pisze średniowieczny składacz-poeta: „Adamie, ty Boży *kmieciu*, Ty siedzisz u Boga w wiecu” (tj. w radzie). Z kolei słowo spadło na 'starszyzną wiejską', aż wreszcie i zwykłych chłopów zaczęło oznaczać. „Chytrze z pany bydlą (tj. przebywają, zachowują się)

(*) W roku 1273 zanotowana po raz pierwszy jako *Cirquiza*, tj. *Cyrkwica*.

(**) Nowszy wywód, z greckiego słowa oznaczającego 'wieśniaka' jest pewniejszy.

kmiecie” — skarżył się na chłopów jakiś szlachcic już w XV wieku.

Na myśl by nam zupełnie nie przyszło, że niektóre słowa w średniowieczu inną mogły mieć postać. Takie się nam prawieczne i jedyne wydają. Wrażenie to mylne. Dziś *łyż* ronimy, dawni Polacy *łyży puszcza*li: „I począł płakać miły Jezus i *łyży puszczać*” (Rozmyślanie). Ale już Jan Kochanowski za córką swą Urszulą, współczesne, lżejsze *łyż* przelewał.

Brama dawniej *broną* się zwała (rdzeń ten sam, co i w *bronie!*), z kolei pod wpływem czeskiej *brány* przeszła w *branę*, co się potem jeszcze w *bramę* przekształciło, bo wargowe *b-* wolało w przez się dowodzonym wyrazie nie zębowe *n* mieć, ale również wargowe *m*. „Otwarty będą *brony* twe” — zapowiada Biblia Królowej Zofii.

Dziś na drzewie jest *liść*, do przyjaciół zaś piszemy *list*. Dawniej jedno słowo było: *list*, co nie oznacza, żeby na liściach pisano, ale podobne są nieco oba. Jeszcze Kochanowski kazał stawiać „stół w cień lipowy, gdzie gospodarskiej głowy broni *list*”, wcale nie „*list żelazny*” jakiś Zygmunta Augusta, tylko zwykły, lipowy, czarnoleski.

Zabawny jest średniowieczny *pkieł* (odmieniali: *piekła*, *piekłu*, jak i my). Wywodzi się od *pieczenia* na rożnie lub w smole, i nie na darmo łacińskie *pix*, *picis* ('smoła' z *pik-s*, *pikis*) ten sam rdzeń ma. Grozi kaznodzieja ze Świętego Krzyża, iż, gdy ubodzy duchem dostaną się do nieba a cisi ziemię posiadą, „pysznym a gniewiwym” ostać się ma „wiernie sam *pkieł*”. Odpowiednio przymiotnik był: boleści *pkielne* (Psalterz floriański). *Pkieł*, nazwa ponurego zakładu represyjnego, nie ostał się. Wszystkich nęciło *niebo*, więc zadekretował Lucyper, że i jego instytucja ma nijakiego rodzaju nazwę mieć (łatwiej będzie o pomyłki) i *piekło* powstało.

Wojsko jest dziś nijakie, to jest nie jakie-takie, ale nijakiego rodzaju, jak i *piekło*, dawniej zaś miało postać rodzaju żeńskiego, z czego bynajmniej żadnych uwieczających wniosków wywodzić nie należy: też się dobrze bili, jeżeli nasi, albo źle, jeżeli — nie daj Boże — obcy. I dziś przecie *armia* jest rodzaju żeńskiego, jak dawna *wojska*. Nie powiemy już jednak iż „Judasz jest wziął *wojskę*, która była trzysta włodyk, a pospolnego (tj. pospolitego) luda było pięćset” (Rozmyślanie).

Dawniej *ksiądz* oznaczał tak 'władcę' (znaczenie pierwotne) jak i dzisiejszego 'księdza', jako że obydwu umieszczano na szczycie drabiny społecznej i *dominus* po łacinie zwano. To też, gdy w piętnastowiecznych Pieśniach Sandomierzanina wymieniony jest „ksiądz Bolesław”, rozumiemy, że mowa tu nie np. o proboszczu „sędomirskim”, ale o władcy, który w roku 1259, gdy Tatarzy na Sandomierz napadli, „Syriadam confugit cum nobilibus”: do Sieradza drapnął ze szlachtą. Zdrobniła (pier-

wotnie) postać *książę*, jak *dziecię* nijakiego rodzaju, służyła przez czas spory i władcy, i duchownemu: „*O książę złościwe, pełne grzechów i wszytkiej lichoty*” — woła do Kafjasza, najwyższego żydowskiego kapłana, autor Rozmyślenia. Z kolei nastąpił językowy rozbrat między Kościołem a Państwem, *ksiądz* przy Kościele pozostał, a *książę*, który także przeszedł na rodzaj męski i „ściągnął się” w liczbie pojedynczej z *książęciami* na *księcia*, związał się z Radziwiłłami. Podobnie Litwini zrazu tylko *kunigas*’a mieli, a potem, rozmyśliwszy się, księcia nazwali *kunigaikštis*’em *kunigas*’a księżom zostawiając.

Samotnikiem smutnym wyda się nam na pierwszy rzut oka przymiotnik *obfity*. Nie od razu będziemy wiedzieli, gdzie by go można „doczepić”. Dopiero średniowiecze ujawni nam, iż *obfity* istotnie dość obfitą ma rodzinę. W tej epoce nasze słowo występuje w nieco innej, pierwotniejszej postaci: „*padolowie opłwici będą żyta*” (Psałterz floriański), tj. „*doliny obfitować będą w zboże*” — jakbyśmy to dziś powiedzieli; albo: „*radujcie się a wiesielcie się, boć otpłata wasza opwita jest na niebiesiach*” (Kazanie praskie). Słowo *opłwity-opwity-obfity* wiązać należy z dawnym czasownikiem *plwieć*, spokrewnionym z dzisiejszym *plywać*. I dziś, przy odrobinie szczęścia, możemy *opływać* (łac. *abundare*) w dostatki.

Anioł — ulubione Juliusza Słowackiego słowo — brzmiał w średniowieczu ciężiej, dzwonniej i łacinniej: *anięł* lub *angięł*(*). Gdy pieśń z 1424 roku „*zdrow bądź krolu angięlski*” woła, nie są to życzenia dla ówczesnego władcy mgłą owitej wyspy, ale wezwanie do Pana Aniołów. A nawet szkoda, bo Henryk VI bardzo był chorowity, na granicy obłąkania nieledwie, i polska *człowieść*, ładną pieśnią wyrażona, może by mu przyniosła nieco ulgi w cierpieniu. W Psałterzu floriańskim „*chleb angięlski jadł człowiek*”. To oczywiście nie o emigrancie-biedoklepcy, co nad Tamizą wojnę przesiedział, ale o tym, którego, za Bożym zrzędzeniem, nakarmić raczyli anieli. Jeszcze w roku 1543 diabeł przybierał na się „*własność angięlską*”, tj. *anięlską* postać. Anglicy lubią za aniołów się podawać, ale tylko w polityce i tylko w nowszych czasach niż średniowiecze. Ale my się na to wcale, wcale nie nabieramy: ratuje nas różnica między *anięlskością* i *angięlskością* — nasza główna ostoja orientacyjna.

Po aniołach mówić o gotówce, rzecz mało uzasadniona. Po prostu ni przypiął, ni przyłatał. Gdzieś jednak o tym wieczyście ważnym i niezmiennie miłym artykule pierwszej potrzeby wspomnieć trzeba. Owóż już w średniowieczu byli Polacy, którzy żenili się dla *gotowych pieniędzy*: „*kiedym za Staszka szła, tedym wniosła dziesięć kop gotowych pieniędzy*” — zeznaje w roku

(*) Dziś przeważają zwolennicy czytania „*anjol*”, bo — mówią — g przed niektórymi samogłoskami brzmiało w łacinie *j* począwszy od upadku Rzymu aż po renesans. Ale przecież Polak miał własne *g* miękkie, por. np. *nagie skały*. Najprawdopodobniej więc w średniowieczu były trzy wymowy: *anięł* i *anięł* i *anieli*.

1434 przed sądem jakaś, najprawdopodobniej „*wielmi urepna*”, zakroczymianka. *Gotowe pieniądze* znane były również i w XVI wieku. Kusa, acz zawsze ponętna *gotowizna* (*) a zwłaszcza *gotówka* (XVIII w.), to słowa nowsze.

Sumienie też przeszło swoje koleje. Na początku było *sq-mnie-nie*, prefiks jak w *sq-siedzie* ('razem siedzącym'), rdzeń jak we *wspo-mnie-ć*. Później, że aż trzy nosowe spółgłoski w słowie były: dwa *n* i jedno *m*, musiało nosowe *q* ze szranków ustąpić, bo tak całość brzęczała, że ani grzeszyć przy takim jak dzwonoń kościelnych bębniecie, hałasie nie było sposobu, ani nieszczęsny przestępca Bożych przykazań nie mógł zaznać odpoczynku po grzechu. A zastąpiono samogłoską *u* i *sumnienie* nastąpiło, znane jeszcze w XIX wieku. Jeszcze zbyt dzwonne było słowo i grzesznicy polscy jedno *n* usunęli. W ten sposób doszliśmy do dzisiejszego *sumienia*, bardzo już gładkiego, swój mores znającego, wygodnego, niemal tresowanego.

Nie tylko więc lecą słowa jako liście z drzew, nie tylko umierają, ale i zmieniają postać, kształt i barwę, póki tylko drzewo trwa...

10. BOLKO CHROBRY.

Jako się wyżej rzekło, że średniowiecznej polszczyzny znamy jedynie język ostatnich dwustu lat; trzynasto- lub dwunastowiecznej Bogurodzicy nie liczymy, bo za krótka, ani owego pierwszego zdania zapisanego w księdze henrykowskiej na Śląsku (**), ani Złotej Bulli z roku 1136, ani innych dokumentów zawierających tylko poszczególne wyrazy, nazwy miejscowe i imiona osobowe. O poprzednich stuleciach możemy mieć jedynie ogólne wyobrażenia ukształtowane drogą rozumowania lingwistycznego oraz zestawienia z najwcześniejszymi fazami innych języków słowiańskich, na przykład południowo-słowiańskiego, podsalonickiego dialektu, w którym, w IX wieku, Cyryl spisał święte chrześcijańskie teksty (język cerkiewno-słowiański).

W niniejszej części omówione zostały ważniejsze i ciekawsze cechy języka późnego średniowiecza: rzeczownikowa liczba podwójna, rozkład końcówek trzech przypadków liczby mnogiej, bezokolicznik na *-ci*, aoryst i imperfekt, „nowy”, złożony czas przeszły, formy *znaje-umieję*, oraz garść dziś już zaginionych lub odmienionych słów średniowiecznych.

Jeżeli sięgniemy dalej w przeszłość, w latach 900-1300, stwierdzić wypadnie w ramach wymienionych cech, iż np.:

(*) *Gotowiznę* znał Marcin Bielski. Oto fragment z Rozmowy dwu baranu: „*Dziś młodzion krasny pyszno pogładając chodzi,*

Gdzie by dostał *pieniędzy gotowych*, tam godzi.

Gdy mu wszystko nie sporo, nie masz *gotowizny*.

Będzie mówił częstokroć: *zły to rok, niezyczny!*”

(**) „*Daj ac pobruszę, a ty poczujawaj*” — mówi staropolski małżonek do żony mielącej na żarnach.

a) użycie form liczby podwójnej musiało z pewnością być intensywniejsze i konsekwentniejsze; innymi słowy, rzadziej występowały zastępczo formy liczby mnogiej;

b) bezokolicznik, im dalej wstecz, tym częściej miał *-ci*, aż do epoki wyłączności tego pełniejszego zakończenia, kiedy zresztą było jeszcze *-ti*;

c) znacznie częstszy był aoryst i imperfekt, proporcjonalnie rzadszy zaś „nowy”, złożony czas przeszły;

d) proporcja *znaję-umię*: *znam-umiem* — im dalej wstecz — wzrasta na korzyść formy „nie ściągniętej” aż do zupełnej jej jedności.

Wymowa, którą pominęliśmy, była z gruntu inna. Rozróżniano samogłoski krótkie i długie, które to rozróżnienie język polski (oprócz dialektów kaszubskich) zatracił albo w XII-XIII, albo dopiero w XV wieku. W przeciwstawieniu do dzisiejszego stałego akcentu, padającego na zgłoskę przedostatnią, był — w owej dawnej, nieznannej fazie średniowiecza, najprawdopodobniej jeszcze w dobie wyłaniania się plemion polskich z prastowiańskiego morza — akcent ruchomy, podobny jak dziś jeszcze w języku rosyjskim i ukraińskim. Było — niegdyś, niegdyś — nie jakieś *rz* szesnastowieczne, które pisownia jako *rz* utrwaliła, ale *r* miękkie, jak dziś jeszcze w rosyjskim. Nie *é* i nie *dź*, lecz miękkie *i* (*t'*) i *d* (*d'*). Była — sięgając do słownictwa — chmara słów, z których sporo możemy wygrzebać badając albo nazwy miejscowe, albo zasoby innych Słowian.

Słowem, gdybyśmy, cudem jakimś, mieli usłyszeć mowę z epoki Mieszków i Bolków, z pewnością słabo byśmy ją rozumieli, a brzmiałaby bardzo nieswojsko. Szanse usłyszenia są co najmniej bardzo ograniczone. Bo albo uczeni wynajdą aparat chwytający dźwięki-głosy dawnych wieków, tułające się w multimiliardowych ułamkach po przestworzach, a innym aparatem przywrócą je do pierwotnej postaci, albo chwycimy się spirytyzmu. Oczywiście czysta to tylko fantazja.

Popuśmy jednak wodze fantazji. Wyobraźmy sobie, że moglibyśmy, jakimś cudem, porozmawiać z największym Polakiem średniowiecza, z Bolkiem Chrobrym, monarchą, który zawsze będzie porywał nasze serca. Że Bolko zagada po swojemu, średnim średniowieczem, nieskażonym, przeczystym. Rozumielibyśmy najpewniej tylko piąte przez dziesiąte. Raz po raz przemylałoby nam przez myśl — najniestęśniej w świecie — że potężny władca tak trochę, po matce Dobrawce, z czeska gada, że czasem wtrąca kijowskie słowa albo łużyckimi zdanie okrasza na wyprawach zaraziwszy się obczyzną. On zaś miałby nas na początek za jakichś Załabiaków w mowie słabych, podniemczonych, łaciną i greką pobrzękujących, gadających jakąś namiastką, mieszkanką, półsłowiańskim, zepsutym dialektem.

I w sprawach wielu nie znaleźlibyśmy z Bolkiem Chrobrym wspólnego języka. Warszawa w tych czasach była najprawdopodobniej ledwie lichą osadziną, znaną w najbliższym tylko okolicy, i może nawet zupełnie inaczej się nazywała. Nie zapłakałby chro-

bry monarcha nad jej losem... O tej nowej Rusi gdybyśmy mu powiedział, nie pojąłby nic a nic. My mu o Stalinie, a on nam o swoim zięciu tylko, o Świętopetku, i o bracie jego, Jarosławie... Ze między Łabą a Odrą już prawie zupełnie po słowieńsku nie gwarzą, nie chciałby wierzyć... Że pan Churchill nam Odrę żałuje, i naszego Śląska — co ma jakiś wyspiarz daleki z włości Kanuta, syna siostry-obieźyświatki, mieszać się do tej ziemi... Przecież Niemcom nic do Odry. Co się który z niej wody napije, krwią ku morzu spływa...

Chyba tylko o Niemcach mówilibyśmy z nim podobnie, że zachłanne, bojowe plemię, ale w opowieściach monarchy dźwięczałaby nuta dumy ze zwycięstw nad Niemcami odniesionych, a nami przede wszystkim targałaby pamięć napaści i okrucieństwa...

Od śmierci Bolka Chrobrego upłynęło już przeszło dziewięć wieków. Inność wieków dzieli nas od wielkiego władcy przepaścią nieprzebytą. Nie czytamy guseł żadnych złych, aby go na rozmowę wywołać. Niech duch jego, nie nagabywany, dalej spokojnie przebywa w zaświatach...

Stanisław WESTFAL

POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŹNIE

Największa na emigracji

KSIĘGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIĄŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

A. B. C. instytucji międzynarodowych

IV. — MIĘDZYNARODÓWKI.

INFORMATION BUREAU OF COMMUNIST PARTIES AND WORKERS	COMINFORM
BUREAU D'INFORMATION DES PARTIS COMMUNISTES ET OUVRIERS	KOMINFORM
BIURO INFORMACYJNE PARTII KOMUNISTYCZNYCH I ROBOTNICZYCH	KOMINFORM

Patrz grupa V. (Organizacje o tendencji komunistycznej).

INTERNATIONAL PEASANT UNION
UNION INTERATIONALE PAYSANNE
MIĘDZYNARODOWA UNIA CHŁOPIKA
(organizacja społeczna)

Siedziba : Waszyngton.

Data założenia : 1921 w Pradze i odbudowana w 1947 roku w U.S.A.

Cele : Obrona zasad demokratycznych. Obrona politycznych, gospodarczych, społecznych i kulturalnych interesów chłopów i świata pracy w ogólności oraz popieranie współpracy międzynarodowej w obrębie O.N.Z. Stworzenie warunków dla federacji małych narodów i ewentualnie dla zrealizowania Stanów Zjednoczonych Europy. Zwalczenie wszelkiego rodzaju dyktatur i ustrojów totalitarnych.

Członkowie : Partie ludowe krajów zza żelaznej kurtyny.

Uwagi : Unia wydaje miesięczny biuletyn.

LIBERAL INTERNATIONAL (WORLD LIBERAL UNION)
UNION LIBERALE MONDIALE
ŚWIATOWY ZWIĄZEK LIBERALNY
(organizacja społeczna)

Siedziba : Londyn.

Data założenia : 1947.

Cele : Szerzenie idei liberalnej wśród wolnych narodów.

Członkowie : Członkami Związku są partie, ugrupowania, jak również poszczególne jednostki o tendencjach liberalnych (14 państw zachodnich . ugrupowania uchodźcze).

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Związek jest członkiem nadzwyczajnym Ruchu Europejskiego.

Uwagi : Organizacja wydaje kwartalnik World Liberalism. The World Federation of Liberal and Radical. Youth jest sekcją młodzieżową Związku.

NOUVELLES EQUIPES INTERNATIONALES
UNION DES DEMOCRATES-CHRETIENS
UNIA CHRZEŚCIJAŃSKO-DEMOKRATYCZNA
(organizacja społeczna)

N.E.I.

Siedziba : Paryż.

Data założenia : Czerwiec 1947.

Cele : Rozwijają kontakty między grupami politycznymi, które opierają się na zasadach chrześcijańskiej demokracji, w celu wspólnego rozwiązania zagadnień międzynarodowych.

Członkowie : Ekipy narodowe. W pewnych krajach utożsamiają się one z partiami chrześcijańsko-demokratycznymi, zaś w innych złożone są z członków indywidualnych.

N.E.I. posiadają ekipy narodowe uchodźcze.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : N.E.I. są członkami Ruchu Europejskiego.

Uwagi : N.E.I. jest formalnie organizacją światową, faktycznie jednak grupuje ona wyłącznie organizacje europejskie. Akcja jej skierowana jest coraz bardziej zdecydowanie w kierunku Zjednoczenia Europy.

SOCIALIST INTERNATIONAL
 INTERNATIONALE SOCIALISTE
 MIĘDZYNARODÓWKA SOCJALISTYCZNA
 (organizacja społeczna)

Siedziba : Londyn.

Data założenia : 1946 (Organizacja ta jest kontynuacją drugiej międzynarodówki założonej w 1889 w Paryżu).

Cele : Koordynacja polityki poszczególnych partii socjalistycznych wchodzących w skład Międzynarodówki.

Członkowie : 26 partii państw zachodniego świata oraz ugrupowania uchodźcze.

Uwagi : Międzynarodówka wydaje miesięcznik Socialist International Information.



V. — ORGANIZACJE O TENDENCJI KOMUNISTYCZNEJ

INFORMATION BUREAU OF COMMUNIST PARTIES AND WORKERS	COMINFORM
BUREAU D'INFORMATION DES PARTIS COMMUNISTES ET OUVRIERS	KOMINFORM
BIURO INFORMACYJNE PARTII KOMUNISTYCZNYCH I ROBOTNICZYCH	KOMINFORM

(organizacja społeczna)

Siedziba : Bukareszt.

Data założenia : Październik 1947, po oficjalnym rozwiązaniu Kominternu w 1943.

Cele : Centrum propagandowe i koordynacja działalności partii komunistycznych.

Członkowie : Partie komunistyczne bloku sowieckiego i niektóre partie państw zachodnich (Jugosławia została wykluczona w 1949 roku).

Uwagi : W Azji istnieje podobna organizacja założona przez partie komunistyczne Z.S.S.R., Mongolii, Północnej Korei i Chin.

Kominform wydaje tygodnik „For a durable Peace, for a Popular Democracy” w szesnastu językach, między innymi po polsku pt. „Za trwały Pokój, za Demokrację Ludową”.

WORLD PEACE COUNCIL	W.P.C.
CONSEIL MONDIAL DE LA PAIX	C.M.P.
ŚWIATOWA RADA POKOJU	
(organizacja społeczna)	

Siedziba : Praga.

Data założenia : Listopad 1950.

Cele : Umożliwić narodom świata nawiązania z sobą kontaktu w celu walki o pokój.

Członkowie : Członkowie Rady wybierani są przez „Kongresy Pokoju”. Jest ich obecnie 262 z 60 krajów.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Rada utrzymuje ścisłe stosunki z wszystkimi organizacjami międzynarodowymi o tendencji komunistycznej, takimi jak na przykład : Federacja Światowa Młodzieży Demokratycznej, Federacja Międzynarodowa byłych Więźniów Politycznych Faszystów, Międzynarodowa Unia Studentów i Międzynarodowa Organizacja Dziennikarzy itd.

Uwagi : Rada organizuje liczne konferencje międzynarodowe poświęcone specyficznym problemom takim jak na przykład : Konferencja robotników europejskich przeciwko zbrojeniu Niemiec (marzec 1951), Międzynarodowa Konferencja Ekonomiczna (Moskwa 1951), Konferencja Regionalna krajów Ameryki Północnej i Ameryki Łacińskiej itd.

Najbardziej głośną działalnością Rady był zbiór podpisów pod Apelem Pokoju (Apel ten został uchwalony na zebraniu, które odbyło się w 1950 roku w Sztokholmie). Według danych pochodzących od Rady zebrano 450 milionów podpisów. W ostatnim okresie akcja Rady skoncentrowana została na propagandzie mającej na celu zwołanie konferencji pięciu mocarstw.

WORLD FEDERATION OF DEMOCRATIC YOUTH	W.F.D.Y.
FÉDÉRATION MONDIALE DE LA JEUNESSE DÉMOCRATIQUE	F.M.J.D.
ŚWIATOWA FEDERACJA MŁODZIEŻY DEMOKRATYCZNEJ	
(organizacja społeczna)	

Siedziba : Bruksela.

Data założenia : Sierpień 1945, na Światowej Konferencji Młodzieżowej (Londyn).

Cele : Walka młodzieży o pokój, polepszenie porozumienia międzynarodowego, walka z faszyzmem, polepszenie warunków życia młodych.

Członkowie : Komitety narodowe młodzieży, organizacje narodowe i międzynarodowe mogą być członkami.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Łączność konsultatywna z U.N.E.S.C.O. i Radą Gospodarczą i Społeczną Organizacji Narodów Zjednoczonych (E.C.O.S.O.C.), ścisłe stosunki z innymi organizacjami międzynarodowymi o tendencji komunistycznej.

Uwagi : Organizacja znana jest z zorganizowanych festiwalów młodzieżowych, mających niewątpliwie wielkie znaczenie propagandowe. Pierwszy z nich odbył się w 1947 roku w Pradze (120.000 uczestników), drugi w 1951 w Berlinie (200.000 uczestników), a ostatni w Bukareszcie w 1953 roku. Federacja wydaje cztery periodyki w szeregu języków.

WORLD FEDERATION OF TRADE UNIONS W.F.T.U.
FÉDÉRATION SYNDICALE MONDIALE F.S.M.
ŚWIATOWA FEDERACJA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
(organizacja społeczna)

Siedziba : Wiedeń.

Data założenia : Sierpień 1945.

Cele : Koordynacja związków zawodowych na świecie, zwalczanie faszyzmu, walka o pokój, i polepszenie bytu robotniczego.

Członkowie : Związki zawodowe.

Stosunek do innych organizacji międzynarodowych : Federacja ma ścisłą łączność z innymi organizacjami międzynarodowymi o tendencji komunistycznej, takimi jak Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej itd. Posiada uprawnienia konsultatywne w U.N.E.S.C.O., F.A.O. i I.L.O. i uprawnienia konsultatywne kategorii A w Radzie Gospodarczej i Społecznej Organizacji Narodów Zjednoczonych (E.C.O.S.O.C.).

Uwagi : Coraz silniej zarysowana tendencja komunistyczna organizacji spowodowała wycofanie się z niej prawie wszystkich zachodnich związków zawodowych i stworzenie konfederacji wolnych związków zawodowych. Obecnie członkami Federacji są związki zawodowe krajów bloku sowieckiego, komunistyczne związki Francji i Włoch i niektórych krajów Ameryki Południowej.

(Dokończenie nastąpi)

Jerzy RENCKI

Wielce Szanowny Panie,

Z prawdziwym zadowoleniem czytałem w czerwcowym numerze „Kultury” Jerzego Renckiego *ABC Instytucji Międzynarodowych*. Artykuł ten jest dowodem, że „Kultura” nie zamierza zacieśniać swych zainteresowań do spraw dotyczących Polski, czy Europy, ale sięga do spraw o znaczeniu światowym.

Do artykułu tego zakradły się jednak dwie istotne pomyłki, które chciałbym przy tej sposobności sprostować.

1) Rada Mandatowa O.N.Z. jest przedstawiona w artykule jak następuje : „Składa się z 12 przedstawicieli państw, którym jest powierzona opieka (mandat) nad terytoriami kolonialnymi”.

Pomyłki w tym stwierdzeniu są dwie. Po pierwsze opieką nad terytoriami kolonialnymi nie zajmuje się ta Rada, gdyż to nie należy nawet do jej kompetencji. Na podstawie artykułu 73 karty Narodów Zjednoczonych państwa posiadające kolonie powinny składać sprawozdania o administracji do Narodów Zjednoczonych. Zajmuje się tym jednak specjalna komisja Zgromadzenia. Rada Mandatowa natomiast zajmuje się administracją, a raczej nadzorem nad administracją, dawnych kolonii niemieckich i włoskich (obecnie z tych ostatnich pozostało jedynie Somali Włoskie). Z dawnych kolonii niemieckich pod nadzorem tej rady nie pozostaje jedynie Afryka Południowo-Zachodnia dzięki oporowi Unii Południowo-Afrykańskiej.

Ciekawy jest również skład tej Rady. Należą do niej bowiem państwa, którym powierzono opiekę nad poszczególnymi terytoriami mandatowymi (w obecnej chwili Belgia, Australia, Francja, Nowa Zelandia, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania), oraz równa ilość państw nie administrujących w tym reszta wielkiej piątki nie uwzględniona w pierwszej kategorii. Na uwagę zasługuje fakt, że Włochom powierzono administrację Somali, ale nie są one członkiem Rady, nie należąc w tej chwili do O.N.Z.

2) Rada Pomocy Technicznej nie jest „członkiem” O.N.Z. Członkiem tej organizacji może być jedynie państwo. Zaszła więc tu pomyłka techniczna. Rada Techniczna jest „organem” O.N.Z., byłoby bardziej prawidłowym stwierdzeniem.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Jerzy HAUPTMANN,
Park College Parkville Missouri.

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTÉRAIRE ET POLITIQUE
SEPTEMBRE

IGNAZIO SILONE : Le choix des camarades; ROGER CAILLOIS : Un officier progressiste sous Louis XVI; ERNST JUNGER : La part à Dieu; BERTRAND RUSSELL : Souvenirs sur D.H. Lawrence; F. BORKENAU : Un acte de naissance de l'Occident.

Textes et chroniques de :

Victor ALBA, Suzanne LABIN,
Claude MAURIAC, PHAM VAN KY, etc.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8^e). — C.C.P. 178-00.

Le numéro de 104 pages ill. : 150 francs.

Un ancien numéro sera envoyé gracieusement sur demande comme specimen.

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Uznanie i gratulacje należą się *Kulturze* za wydanie książki Stefana Korbońskiego „W imieniu Rzeczypospolitej”. Jemu należy się wdzięczność nas wszystkich.

W książce tej natknąłem się na wzmiankę, która ożywiła mą pamięć. Na stronie 52-ej pisze autor o wskazaniu kandydata na Delegata Rządu (w 1940 roku) „emisariuszowi Karskiemu” przez „P.P.S. i Stronnictwo Ludowe przy opozycji Stronnictwa Narodowego”. Pan Korboński nie podaje nazwiska kandydata.

Posiedzenie Politycznego Komitetu Porozumiewawczego (P.K.P.) odnośnie tej sprawy odbyło się w Warszawie, na początku drugiej połowy maja 1940 roku. Uczestnikami byli: generał (wtedy pułkownik) Rowecki i płk. Kruk-Strzelecki — z ramienia Z.W.Z.; Dębski — z ramienia Stronnictwa Narodowego; Pużak — z ramienia P.P.S.; Korboński — z ramienia Stronnictwa Ludowego i ja, jako kurier, idący po raz wtóry do Paryża. Nazwisko kandydata, które wiozłem do Paryża brzmiało: *Stefan Korboński*. Dla ścisłości muszę dodać, że i P.P.S. i S.N. dały mi do przekazania w Paryżu wewnętrzno-partyjne oświetlenie i zalecenia, dotyczące się tej kandydatury. Oświetlenia te i zalecenia miałem przekazać ściśle wskazanym osobom, im wyłącznie, tajnie, mechanicznie i bez prawa wyrażania jakiegokolwiek własnej opinii. W tej części misji miałem być czymś w rodzaju żywej skrzynki pocztowej.

Misji mojej wtedy nie spełniłem, mówiąc językiem urzędowym, „z powodów niezależnych ode mnie”.

Choć nigdy nie miałem okazji wracać do treści tej, niedoszłej misji, i choć miała ona miejsce ponad czterdzieści lat temu — jestem przekonany, że pamięć mnie nie zawodzi.

Nie wiem, jakimi motywami kierował się pan Korboński, przemilczając ten ważny przecież szczegół. Zdają sobie również sprawę, że powyższa informacja, pochodząca ode mnie, musi brzmieć dla każdego dziwnie czy dziwacznie. Z wymienionych osób tylko pan Korboński i ja przeżyliśmy wojnę — przy czym On o sprawie tej nie wspomina. Niemniej jednak zdecydowałem się uzupełnić Jego informacje, kierując się względami ścisłości historycznej.

Mam nadzieję, że list ten, jeśli łaskawie zostanie przez Pana Redaktora opublikowany, dojdzie pana Korbońskiego. Być może, uzna On za stosowne wypowiedzieć się w tej sprawie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Jan KARSKI

Washington, 18 lipca 1954.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na przesłany mi odpis listu p. Karskiego z dnia 18 lipca br., wyjaśniam uprzejmie, że pamięć dopisuje p. Karskiemu należycie. Istotnie zostało mu zlecone przedstawienie rządowi mojej kandydatury na Delegata Rządu w kraju. Wysunął ją Pużak, w porozumieniu z generałem Roweckim i została poparta przez Str. Ludowe, natomiast sprzeciwiło jej się — tak jak w wypadku kandydatury Marszałka Rataja (strona 45 mojej książki) — Stronnictwo Narodowe. Stronnictwo Pracy wówczas jeszcze nie wchodziło w skład P.K.P.

Pan Karski misji tej nie mógł wykonać z powodów, które skromnie nazywa „niezależnymi od niego”. W rzeczywistości, został aresztowany przez Gestapo i tak torturowany, że usiłując popelnąć samobójstwo, przeciął sobie żyły u obu rąk. Wykradziony ze szpitala przez Podziemie, musiał pozostać przez dłuższy czas w kraju.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Stefan KORBONSKI

Dnia 3 sierpnia 1954.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Mieroszewskiego „Niemcy” wpuścił trochę świeżego powietrza do naszego zakażonego patriotycznym dymkiem podwórka. Nie często się czyta w polskiej prasie emigracyjnej o tych sprawach bez dodatkowych wzmianek o „odwieczności” o „nie rzucim ziemi” o „wara od” itp. upięknień znakomicie nadających się przy komponowaniu wierszy i pieśni patriotycznych, ale tragicznie i absolutnie nie praktycznych.

Wojowaliśmy z Niemcami od tysiąca lat i bilans tych wojowań dla obu stron okazał się ujemny, dla nas nawet więcej niż ujemny. Wydaje się, że skoro wojowanie zawiadło należy te sprawy rozważać na innej płaszczyźnie, szukać innych dróg wyjścia z impasu.

Dobrze by było gdyby Niemcy sami doszli do tego zrozumienia, ale cóż my ich do tego zmusić nie możemy przynajmniej dopóty, dopóki sami jakiegoś rozwiązania nie znajdziemy i zaproponujemy.

Wydaje mi się, że polscy pisarze i publicyści powinni wypowiedzieć się na ten temat, jak też to oni te rzeczy rozumieją, jakie wskazówki mogą nam — szarym ludziom — dać i jak naszym myśleniem w tych sprawach pokierować. Pomoże, nie pomoże, spróbować warto.

Podkreślam: pisarze i publicyści, a nie zawodowi politycy i wojskowi, bo pierwsi za bardzo przejęci formułkami, a drudzy tych rzeczy nie rozumieją. Polska już od dobrych paruset lat nie miała dobrego polityka, a o dobrym i prawdziwym dowódcy tośmy od czasów Sobieskiego nie słyszeli ani o jednym (jeżeli się oczywiście nie bierze pod uwagę starych, nowszych i najnowszych legend różnokolorowych).

Niech się o to nikt nie obraża, bo to prawda. Bezprzykładne poświęcenie i odwaga szarych obywateli były od stuleci grzebane na pobojowiskach Raclawic, Westerplatte, Warszawy, Stoczka i Monte Cassino bez jakichkolwiek najmniejszych korzyści dla Narodu czy Państwa. Ot, po prostu dla nowego rymu dla poety, nowego orderu dla dowódcy, nowego frazesu dla polityka. Gdzie to się ta polska krew nie przelewała. Wszędzie — i Polacy w niewoli od 160 lat z dwudziestoletnią przerwą!

Dlatego też dzisiaj, kiedy dymy ze wschodu zatruwają i niszczą to wszystko cośmy budowali od tysiąclecia: naszą kulturę — kulturę zachod-

nią, musimy szukać rozwiązań we wszystkich innych kierunkach : na zachodzie, na północy, na południu. To, że dzisiaj wschód jest czerwony to ani lepiej, ani gorzej, wystarczy ze wschód.

Spróbujemy rozważyć możliwości żeby nasza Polska była trochę mniej walcząca, ale za to więcej żyjąca, a przede wszystkim zachodnia.

K. ZIEMIŃSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mam zamiaru w krótkim i tak mocno spóźnionym — nie z mej winy — liście, zajmować się licznymi, mocno kontrowersyjnymi problemami, które p. Juliusz Mieroszewski tak często wysuwa w *Kulturze*. Zatrzymam się przy jednym problemie „zachodniości”.

Pan Mieroszewski jest olśniony „zachodniością” jak niektórzy z naszych emigrantów po przyjeździe do Ameryki zachwycali się możliwością posiadania swego auta, lodówki i telewizji, ale już po krótkim czasie doszli do świadomości, że te wielkie zdobycze są zwykłą koniecznością codziennego tutaj życia, więc często słyszy się głosy, że ludzie ci chętnie zostawiliby te auta, lodówki i telewizję, gdyby tylko mogli wrócić do swego kraju, bo chociaż mniej tam wygod i dostatków, ale w sumie, życie na ziemi ojczystej było radośniejsze, szczęśliwsze.

Polska z okresu dwudziestolecia Niepodległości — wedle słów p. Mieroszewskiego — „mniej zachodnia niż przed rozbiorami” nie wychowała jednak ludzi gorszych, ale tak samo jak kiedyś, gotowych walczyć o wolność nie tylko swoją ale i innych.

W artykule wstępnym zeszytu grudniowego, pt. „Czerwone drzewa i polski las” p. Mieroszewski wysuwa pogląd, że : „chłopi polscy nie wiele mieli wspólnego z Zachodem, bo „zachodniość” to problem szlachecko-inteligencki”. Wypowiedź ta jest dowodem że autor nie zna problemu, o którym tak zdecydowanie wyrokuje. Idąc po linii rozumowania p. Mieroszewskiego wolno twierdzić, że tak samo chłopci niemieccy, duńscy, francuscy, czy holenderscy, tylko tyle mieli wspólnego z Zachodem, że tam mieszkali... A przecież jest wiele danych na to, by dowieść, że chłopci polscy posiadają wiele cech dodatnich, które stawiają ich wyżej — nad chłopów z krajów Zachodu. Z zarobkowej emigracji chłopów polskich rekrutowały się rzesze robotników w przemyśle amerykańskim, a jacy to byli ludzie — wymownie opowiedział Henry Ford w swych pamiętnikach pt. „Moje życie i dzieło”. Pan M. zapomina o prostej zasadzie, że nie ilość maszyn, wodociągów i kanalizacji, ale duchowe wartości człowieka stwarzają istotny sens i znaczenie „zachodniości”. Wiadomo natomiast, że gdyby chłopci polscy korzystali z tej swobody w urządzaniu się i gospodarowaniu, jaką posiadali od dawna chłopci na Zachodzie, to w niedługim okresie czasu chłopci polscy prześcignęliby tamtych o całe niebo. P. Mieroszewski w tym samym artykule mówi :

„Tylko u nas można było znaleźć taki kontrast cywilizacyjny : — przekulturzony, łaciński, horacjuszowski i helleński Ludwik Morstin w plaszowickim dworze, otoczony morzem analfabetyzmu i ciemnoty kieleckiej wsi...”

Tutaj p. Mieroszewski naprawdę wydał się, że wcale wsi nie zna. Niech p. M. weźmie do ręki stare, bo z lat 1904-1907 roczniki warszawskiego tygodnika ludowego pt. „Zorza” a znajdzie tam opisy, jak przed 50 laty wyglądała wieś kielecka na wystawie rolniczej w Miechowie. A w okresie dwudziestolecia ileż to w kielecczyźnie istniało szkół rolniczych, ile tam działało prawdziwie czynnych spółdzielni rolniczych, organizacji społecznych i zawodowych, ile kół młodzieży wiejskiej, zespołów teatralnych

i domów ludowych... Ta ciemnota i analfabetyzm wsi kieleckiej istniała raczej w nieświadomej wyobraźni p. Mieroszewskiego, ale nie w realnej rzeczywistości. O ile zaś chodzi o złośliwą przymówkę do kultury Ludwika Morstina, to faktem jest, że wysoce kulturalni właściciele ziemscy umieli kulturalnie oddziaływać na wieś okoliczne, natomiast „dziedzice” o kulturze niewielkiej, egoiści i zarozumialcy patrzyli na chłopca z pogardą. Natomiast z dworów polskich o podobieństwie Płaszowic szła na wieś zachęta do nauki, szły elementarze i książki do czytania, szły gazety przesyłane od domu do domu, szły dobre rady, by tworzyć na wsi spółdzielnie, kółka rolnicze itp. Przeciwnie, dwór z właścicielem ograniczonym i egoistą, wedle słów Wyspiańskiego „bał się we wsi ruchu”. Oczywiście, wynikało to z fałszywie pojmowanych interesów klasowych. Przyzna p. Mieroszewski, że Ludwik Morstin do takich ograniczonych ludzi nie należał.

Że masy chłopskie nie były jedynie „morzem analfabetyzmu i ciemnoty”, ale przed pięćdziesięciu laty dawały silny wyraz swych dążeń do postępu, świadczą dzieje pism ludowych : „Wieńca i Pszczółki”, „Przyjaciela Ludu”, „Piasta”, „Zarania” (później „Wyzwolenia”). Do walki z tymi pismami i z ruchem politycznym wśród chłopów stawali zacofani i wsteczni panowie i mało inteligentni księża. Walkę tę jednak chłopci wytrzymali i wygrali. Walnie przyczynili się do tego księża o większej kulturze. Iluż było takich księży którzy setkami prenumerowali dla parafian „Gazetę Świąteczną i „Zorzę” zachęcając również do czytania książek i innych gazet. Iluż to księży podczas kołędowania, oprócz tradycyjnych obrazków z wizerunkami świętych, rozdawało również dzieciom elementarze Promyka. Sam rozpoczynałem naukę czytania właśnie na takim elementarzu Promyka, otrzymanym od księdza w czasie kołędowania i pamiętam pełen kosz z tymi elementarzami, które dźwigał chodzący z księdzem organista. Wszystko to działo się daleko przed pierwszą wojną. Chłop polski na pewno stoczył większą walkę o swój postęp i rozwój kulturalny, niż chłopci z innych krajów i zapewne z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej nie gorzej pojmował swój obowiązek wobec Polski Walczącej, niż pełen „zachodniości” p. Mieroszewski.

Wincenty GORTAT

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytając artykuł Wittlina o Tuwimie w marcowym numerze „Kultury” przypomniał mi się epizod z Detroit, który do pewnego stopnia tłumaczy powrót Tuwima do Polski.

W roku 1943 czy 1944 odbyło się w Detroit a raczej w Hamtramck zebranie miejscowej Polonii na której omawiano propagandę, dokładniej mówiąc niedomagania oficjalnej polskiej propagandy w Nowym Jorku. Po zebraniu (jak zwykle) poszło się do „tawerny” gdzie w dalszym ciągu walcowano temat zebrania, tym razem więcej otwarcie. Mój sąsiad z prawej, który z wyglądu i wymowy, był miejscowym businessmenem (piekarz czy właściciel warsztatu) wiedząc że ja wracam na drugi dzień do Nowego Jorku przedstawił swój pogląd : „Bo my, proszę Pana, to nie tylko chcemy żeby nam przysyłano więcej mówców na nasze zebrania, ale tak samo żeby przysyłali nam prawdziwych Polaków. Bo wyobraź sobie Pan, kogo nam tu kiedyś przysyłano : żydowskiego poetę, który czytał nam swoje żydowskie wierszyki”. Na zapytanie, kto był tym żydowskim poetą, mój sąsiad poinformował mnie : A np. Tuwin (?). Gdy drogiemu rodakowi powiedziałem, że Tuwim jest największym polskim poetą, a jego własne wnuki

(owego rodaka) będą za kilkadziesiąt lat opowiadały z dumą, że ich dziadek widział Tuwima, „bysnesista” po prostu nie wiedział czy mówię prawdę czy kpię z niego. „To może dla was z Warszawy, to największy poeta, ale dla nas to Żyd i my takiego tu nie chcemy by nam mówił o Polsce”. Tym się skończyła rozmowa.

Faktem jest, że Tuwim po paru występach literackich pomiędzy Polonią amerykańską, zupełnie z nią zerwał. Żył tylko przeszłością i przyszłością w Polsce.

Kończąc dodaję, że powyższy szczegół mej rozmowy z rodakami w Detroit podaję z obowiązku, bez względu czy nadaje się on do publikacji czy nie.

Z wysokim poważaniem

Jerzy GRUCEL (New York)

Wielmożny Panie Redaktorze,

Wspomnienia p. Feldhuzena, zwłaszcza te, które dotyczą polskich obozów odosobnienia w Szkocji, stawiają moim zdaniem sprawę całą na błędnej płaszczyźnie. Może się wyda śmieszne, że właśnie ja, jako Żyd i pacyfista wystąpię jakby w obronie wojska. Znam te nadużycia władzy, o jakich wspominał p. Feldhuzen i inni. Odczułem je na własnej skórze i to na skutek szczególnie podłej i tchórzliwej metody postępowania. Gdy w drodze do wojska w Wielkiej Brytanii, w Gibraltarze, wspominałem, że zamierzam w Londynie złożyć meldunek o pewnych brudach, tamujących napływ zwykłych żołnierzy do wojska, oraz że winię wydział wojskowy w Tuluzie, zostałem w pół dnia potem aresztowany przez Anglików. Podczas transportu morskiego do Wielkiej Brytanii umieszczono mnie razem z włoskimi jeńcami wojennymi, wziętymi z łodzi podwodnej, która na nasz statek niefortunnie zapłowała. Mój „dowódca transportu” i sprawca aresztowania major Chytrós nie zareagował na kartkę, że proszę o oddzielenie od jeńców, ani nie zareagował na głodówkę pięciodniową, aż do wylądowania w Anglii. Nie zameldował on polskim władzom o moim aresztowaniu i zamieszaniu na 4 i pół miesiąca, bez aktu oskarżenia, między kompetencją brytyjską a polską, w próżni. Od żołnierzy, kolegów młodzików, którzy przekradali się do mnie na statku bym im słowem poręczył, że szpiegiem nie jestem, dowiedziałem się, że czynione są próby dyfamacji, a potem, na wolności, słyszałem, że pilnie rozsiewano zarzut, że jestem komunistą. Wolność odzyskałem w ogóle tylko dlatego, że mój wypadek nie był jedynym, lecz w jednym więzieniu tylko, w którym byłem zatrzymany, było około dwudziestu takich polskich wypadków podejrzeń o piątą kolumnę. Był między tymi wypadkami dyrektor fabryki motorów samolotowych Skoda w Warszawie, Czech Leśniewski, z pseudonimu i zdaje się Waldmueller czy podobnie w rzeczywistości. Przez niego dostaliśmy adresy posłów Ciołkosza, Filipowicza i Schwarczarta i ich interwencji zawdzięczałem, wraz z kilkoma innymi, wstawiennictwo gen. Sikorskiego i uwolnienie w kilka miesięcy potem. Gdy potem zgłosił się do dalszej walki, znalazłem się na krótki czas w osławionym obozie Abernety, ale w części tzw. obozu przejściowego.

Znam zatem gorycz i hańbę tych spraw, o jakich wspominał p. Feldhuzen. Nie bronię sprawców, ale źródło zła leży w nas samych. Źródło zła leży w tym, że uważaliśmy i chcemy nadal uważać, nawet bez państwa,

oficerstwo jako zaszczyt w pierwszym rzędzie, i to jako zaszczyt raz nabyty już dożywotni. Dopiero gdzieś w dalekich zakamarkach naszej mózgowicy tkwi świadomość, że oficerstwo jest funkcją i że powinno być tylko funkcją, a zaszczyt może być tylko funkcją funkcji, niczym mniej i niczym więcej. Posiadałem starszeństwo oficerskie zweryfikowane i zatwierdzone z roku 1917 ale nie chcąc pełnić pewnych funkcji, zrzekłem się stopnia w drodze zwykłego podania do Naczelnika Państwa, które to podanie zostało pozytywnie rozstrzygnięte. Nie było niczego hańbiącego ani śladu degradacji. Wszystko odbyło się z wielką kurtuazją, nawet tak dalece, że równocześnie otrzymałem pozytywne załatwienie podania i możliwość objęcia innej funkcji. Byłem od tego czasu zwykłym szeregowcem i nigdy się tym nie czułem ponizony. Za ponizenie, tak samo jak inni żołnierze, odczuwałem tylko, że degradowanych oficerów się uważało także za takich samych jak my żołnierzy. Podczas wojny 1939 do 1945 ani razu nie starałem się o przywrócenie tego czegom się był swego czasu zrzekł, pomimo, że wobec oczywistego najazdu na Polskę moje pacyfistyczne skrupuły nie miały sensu i mnie nie ograniczały w wyborze czynności. Byłem kanonierem, mogąc pretendować o dowództwo baterii, a gdy zbyt „służalczość” przełożonych (gdy dowiedzieli się, że byłem kolegą z frontu i że szkoły oficerskiej dowódcy brygady) zaczęła mi mącić normalne żołnierskie współzycie ze zwykłymi żołnierzami, przenieśliem się do piechoty jako pionier piechoty, a więc do broni również nie pacyfistycznej. To mi umożliwiło pobyt na froncie; jako dowódca byłbym już poza dopuszczalną granicą wieku. To mnie broniło przed poczuciem ponizenia, że funkcji nie spełniłem.

W polskim wojsku takie funkcyjne pojmowanie oficerstwa obrażało dumę wielu oficerów. W życiu cywilnym jest rzeczą normalną, że człowiek z chwilą gdy przestaje pełnić jakąś funkcję traci tytuł funkcyjny. Nie ma w tym wstydu, jest wstydem trzymanie się tytułu, który przeczy rzeczywistości. We wojskach innych istniały stopnie oficerów czasowych na czas pełnienia funkcji i ktoś, kto wczoraj był pułkownikiem czasowym, wcale nie był ponizony, że po spełnieniu funkcji, nawet w najlepszy sposób, z ustaniem funkcji dostawał stopień niższy.

Nasze oficerstwo było stanem, kastą, nie czynnością. Gdy zmalała ilość żołnierzy, gdy zaistniał nadmiar oficerów, stopnie pozostały i pozostały pretensje stanowe. Człowiek, który korzysta z przywilejów przeznaczonych dla pewnych funkcji nawet wtedy, gdy funkcji nie pełni, nie czuje się w pełnym porządku, jeśli jest ambitny i uczciwy. Stan sprzeczny z ambicją i uczciwością stał się dla setek oficerów naszych stanem przymusowym wobec sposobu interpretacji oficerstwa, narzuconego niedacą i przepisami. Od jednego kroku na drogę pochyłą, do innych jest niedaleko. Granice tego co się godzi a co nie godzi ulegały zatarciu. Zamiast solidarności w emulacji z wydajnością, powstać musiał i powstał inny rodzaj solidarności koleżeńskej, nie sportowej, nie rycerskiej, pobłażliwej dla siebie samego. Ktoś, kto w walce nie uczestniczył z braku przydziału, nie mógł być surowym sędzią dla kogoś, kto brał udział w walce i nie dorósł. Na froncie, w boju mogła jeszcze istnieć selekcja in plus, na podstawie wartości bojowej, ale na tyłach to było niemożliwością. Protekcja zastępowała konkurencję. Tak się zaczęło we Francji w Coëtquidan, gdy przygotowywano się do organizacji większych jednostek, ale brakło ludzi, a napływali oficerowie bez swoich oddziałów. Tak było w Wielkiej Brytanii. Nie należy zapominać, że byliśmy niedobitkami po klęskach. Prawie nikt z dowódców niższych lub wyższych nie stał poza możliwością zarzutu, że to albo tamto źle zrobił. Jedni wobec tego pławili się w szukaniu cudzych win, inni w obronie własnej stwarzali atmosferę zniewieściałego pobłażania. Żołnierz zwykły jest sędzią bardzo wymagającym, znacznie ostrzejszym od są-

dów oficerskich. Żołnierz selekcji nie widział. Była ona tajna. Wyczuwał on klikę wzajemnego popierania się, obcą mu, pogardzaną. Formalna dyscyplina stała mu kością w gardle. On był ochotnikiem, który szedł walczyć a nie kłaniać się lub wygłupiać, lub by pozwalać innym by się wywyższali nad nim dzień i noc, dnie, tygodnie, miesiące, lata. Ponieważ oficerstwo nie było funkcją, a stało się stanem, straciło respekt. Istniał respekt indywidualny dla jednostek, nie dla stopnia. Posłuszeństwo wobec ludzi pogardzanych można tylko symulować lub wykonywać pod przymusem. Atmosfera poza frontem była taka, że przywrócenie mi mego stopnia oficerskiego plus awanse normalne (po kursach) dla danego starszeństwa trudno byłoby odczuwać inaczej, jak jako degradację. Człowiek czułby się fikcją.

Gdyby żołnierzom w czasie czekania ułatwiano naprawę nauk, gdyby prawo do przygotowania sobie możliwości awansu społecznego po wojnie było przez to otworem dla dobrych żołnierzy, ludzie by szukali ujęcia dla swojej gorczy w innym kierunku, jak „sprzeciwianie się biernie lub czynnie” przepisom lub rozkazom. Naukę jednak udostępniono w Szkocji właśnie dla tych, którzy nie byli dość dobrymi żołnierzami by ich zaliczyć do „niezastąpionych”. Toteż z rozmysłu ludzie się opuszczali, zaniedbywali, tworzyli sprawy karne.

Znałem szereg młodych ludzi, którzy rozpili się i stawali nałogowymi karciarzami, nieposłusznym elementem, istną zakałą dla całego oddziału przez atmosferę, jaką dookoła siebie tworzyli. Czekali oni na okazję wyrwania się z bajora, do którego ich przykuwał regulamin i stan rzeczywistości. Gdy przyszły szanse dostania się do spadochroniarzy, do lotnictwa, do skoków w Polsce sponad 50 procent szansy śmierci, oni byli pierwsi, którzy się zgłaszali, oni opozycjoniści, jak śp. Pluta Wilhelm, śp. Stołycho i wielu, wielu innych, odważnych do szaleństwa, gotowych do każdej ofiary, ale nie do poniżania się.

Obozy koncentracyjne, fałszywe denuncjacje, temu podobne represje, podle, tchórzliwe, brudne, to była tylko reakcja na ten bunt, często reakcja rozpaczy, głupia, bezwórcza, destrukcyjna... akurat na poziomie atmosfery bez selekcji w korpusie oficerskim. Korpus oficerski trwał nadal w swej nietykalności praw nabytych, nawet bawi się dalej w operetkowe awanse, nawet przyjmuje awanse za cudzą, a nie osobiście własną krew przelaną. Wystawia się on na obmowę, że bierze procenty od ilości mogił nie tylko nieprzyjacielskich. Choroba trwa. Wytykanie przyszczy pojedynczych, wywołanych czarną ospą, do niczego nie prowadzi. Trzeba leczyć przyczyny choroby. Szczepić nowe podejście do oficerstwa.

Władysław DIAMAND

Parana, Brasil, dn. 10 lipca 1954.

Szanowny Panie Redaktorze !

Niech mi wolno będzie na wstępie powiedzieć : „Viva Henryk Polowiec !”

Będąc zwykłym robotnikiem fabrycznym czuję się moralnie zobowiązany podziękować p. Polowcowi, za przedstawienie w prawdziwym świetle sytuacji robotnika polskiego w tym kraju. Zbyteczne byłoby przytaczanie w niniejszym liście tych samych słusznych wypowiedzi i pisać o tym, że rzekome £ 18. tygodniowo, które zarabiać ma robotnik polski, pracujący w godzinach nadliczbowych, to chyba wymysł p. Zweiga; że robotnik

polski w istocie rzeczy nie pracuje tak ochoczo, jak to się, niestety, wydaje p. Zweigowi; że stopa życiowa robotnika polskiego jest niejednokrotnie wyższa, itd., itd...

Powracając jednak do artykułu p. Zweiga, trzeba sobie to dobrze wyjaśnić, jak się to stało, iż on, p. Zweig, urzędnik brytyjski, tak wszystko „zbadal” i, że „wykradł” tajemnicę „szczęścia robotnika polskiego” w kopalniach i fabrykach brytyjskich. Ja, będąc robotnikiem i obracając się w środowisku robotniczym polskim, „szczęścia” tego nie widziałem. Widziałem natomiast ukrytą niechęć, głęboki żal i narzekanie na ciężki los. Nie widziałem prawie nigdy robotnika polskiego, idącego w niedzielę wieczorem, na nocną „zmiangę”, by gniewnie nie zaklął. Ale szedł. Bo za tych kilka groszy dodatkowych mógł sobie na coś więcej „pozwolić”, albo na nową koszulę, albo lepszy płaszcz, buciki, kino itd. Doprawdy, jakież p. Zweig jest naiwny. Czy zdaje mu się, że każdy otworzy mu szczerze bramę do uczuć, które kryje jego serce ? Powie mu to a tamto... Wszystko ? Na tyle znam mych współrodaków i robotników, że wiem, iż mają oni (i ja, gdyż jestem z nimi i z nimi pozostanę) wielką nieufność i urazę w stosunku do inteligencji polskiej na emigracji. Boją się jej. I służnie.

Bolesław SIRKO

Drogi Panie Redaktorze,

W *Kulturze* Nr 6/80 dałem charakterystykę polityki Mikołajczyka, na co paryski *Narodowiec* odpowiedział stekiem pseudo-argumentów, napaści osobistych i sprostowań, które niczego nie prostują. Nie warto wdawać się w merytoryczną polemikę z wywodami, stojącymi na tak niskim poziomie : najlepszą odpowiedzią na nie jest — bez gniewu choć z odrazą — rzucić je do kosza. Jedną tylko rzecz zainteresowała mnie w wypadzie *Narodowca*: oto dla dodania „smaku” swym beznadnym gwałtom, musiał on zrobić ze mnie... „szefa prasowego Becka”. O tej nominacji nic dotąd nie słyszałem, urzędnikiem państwowym nigdy nie byłem. Chciałbym też wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy — wielce zabawnej : w numerze z 18 czerwca *Narodowiec*, omawiając mój artykuł pt. „Fetysze i Fikcje Emigracji” pisał o mnie jako o „niezależnym pisarzu polskim” i „niezależnie myślącym pilsudczyku”, teraz zaś, gdy scharakteryzowałem Mikołajczyka jako „katastroficznie złego polityka” wylał na mnie kubeł pomysł. Rzecz oczywista, że pochwały i potępienia ze strony pisma, pozbawionego wszelkiej kultury politycznej, nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Łączę uścisk dłoni.

St. ZARZEWSKI

Drogi Redaktorze,

Numer 7/81 - 8/82 *Kultury*, artykuł „Echo Minionej Epoki”. Autor, Jan Brzękowski na stronie 197 przypisuje mi powiedzenie Gide'a, że uważa on „Corydon” za najlepszą ze swoich książek. Proszę o ścisłość. Nie najlepszą, powiedział Gide, a ja napisałem w *Wiadomościach*, ale *najważniejszą*. To duża różnica. Dla pisarza zupełnie zasadnicza różnica.

Aleksander JANTA

Szanowny Panie Redaktorze,

Prosiłbym o łaskawe zamieszczenie następującej „mise au point”: Zobowiązany jestem ambasadorowi Morawskiemu, którego pełną urokiem inteligencją, koronkowy esprit i głęboką europejską kulturę, z czasów naszej współpracy najwdzięczniej wspominam — za krytykę mego listu w Nr. 6/80 *Kultury*. Istotnie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybym okazał się jeszcze jednym „bujającym w obłokach” Polakiem. Ale i w tym wypadku, podjęcie metodycznej dyskusji możliwe jest tylko przy odgraniczeniu: 1) rozważań ściśle politycznych od pseudo-moralizującej deklamacji; 2) sfery personalii od meritum spraw.

Ad 1). Jedynym argumentem do dyskusji, który zdołałem wyłowić z listu ambasadora Morawskiego jest jego teza, że zarówno poglądy Studnickiego jak moje własne przeceniają elastyczność moralną narodu polskiego. Można i winno się dyskutować, przy ustalaniu optimum politycznego, trudności jego zastosowania wynikające z imponderabiliów moralnych. Niemniej i tutaj wydaje się, że politycznie trzeźwe decyzje uniemożliwia narodowi polskiemu nie tyle jego moralna nieelastyczność, co niemoralna elastyczność jego leaderów w ukrywaniu przed nim sytuacji rzeczywistych, okraszona ohydny lub bezmyślnym oportunizmem nadwornych błaznów różnych „osobistości”. Parę przykładów: mętna polityczna historia powstań, sytuacyjne okłamywanie narodu przez reżym Śmigłego, podobne okłamywanie żołnierza i Kraju przez rządy Sikorskiego i Mikołajczyka, „moralna” pieczęć ultra nieelastycznego powstania Warszawy dymiąca w niemoralnym sosie ultra elastycznej moskiewskiej pertraktacji premiera na jednej patelni arcybłędnej polityki, ostatni „cyrk” zjednoczeniowy, etc., etc., etc.

Ad 2). Narzędziem tych niemoralnych eskamotaży są fikcje, w reżyserii klik personalnych. Obnażenie, przez ambasadora Morawskiego, moich własnych personalii, nie zmienia meritum poruszanych spraw. Jego „wychowawcze” konkluzje pomijam. Że od moich herezji wypada się odciąć rozumem.

Nie oczekiwana jest marginesowa sugestia ambasadora Morawskiego, że zalecam emigracji „chyba pełne oderwanie się od kraju”. Uważam, obok „godzenia” narodowości, obiektywne i niestrudzone śledzenie przemian w kraju za jedną z najwyższych zasług zespołu *Kultury* (od którego, być może, dzieli mnie inne problemy).

Łączę wyrazy poważania,

Jerzy KRZECZUNOWICZ

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Pawel HOSTOWIEC analyse dans son essai *Dix ans de littérature dirigée*, le rôle de la censure et du « réalisme socialiste » en littérature, en insistant sur la politique culturelle du régime polonais actuel et la situation des écrivains derrière le « rideau de fer ».

Czesław MIŁOZS continue sa série de « Portraits » des poètes polonais les plus caractéristiques de la période d'entre les deux guerres. La personne de Théodor *Bujnicki*, assassiné vers la fin de la guerre, permet à Miłosz de broser un tableau de la vie culturelle de Wilno.

Les Archives Politiques de *Kultura* parlent de la crise politique actuelle de l'émigration polonaise. Juliusz Mieroszewski propose une réforme radicale, compte tenu de la situation internationale.

Jerzy Zubrzycki nous donne la deuxième partie de son étude *sociologique de l'émigration polonaise*. Cette essai est en grande partie consacré à la caractéristique du processus de l'assimilation de l'émigration en France et en Belgique.

Stanislas Zarzewski, dans son article intitulé « *Après le Dunkerque politique* », analyse les conséquences économiques de l'armistice indo-chinois et les récents événements du Guatemala.

La Chronique Allemande de *Kultura* est consacrée au Dr. John, à la politique orientale de l'Allemagne de Bonn et contient un résumé de l'article sensationnel du philosophe allemand connu, K. Jaspers, article publié en juillet par « Foreign Affairs ».

La Chronique Culturelle est consacrée à la *Biennale 1954*, au 26^e Congrès des Pen-Clubs d'Amsterdam et aux représentations du Théâtre polonais Kameralny, dans le cadre du Festival international du Théâtre à Paris.

Jerzy RENCKI continue son « alphabet » des organisations internationales.

Des revues de livres et de revues mensuelles complètent le présent numéro de *Kultura*.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-(IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 3^e trimestre 1954



PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycza, rua Guiará 139, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que.; St. L. Leński, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radoski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec” 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, Seehammer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun-Oslo	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan B/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Paluski, Calle Itu 2060, Montevideo-Malvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 615 Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 1818 No Sierra Bonita Ave., Hollywood 46, Calif.; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dzienowski, 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; S. Sokolowski, 2719 E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; K. Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Avenue Cornaille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka + 50%)

Najnowsze wydawnictwa Biblioteki "Kultury"

TOM VII

STEFANA KORBOŃSKIEGO

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

Jak powstało Polskie Państwo Podziemne? — Jakie były wewnętrzne konflikty pomiędzy Politycznym Komitetem Porozumiewawczym, Dowództwem Armii Krajowej i Delegaturą Rządu? — Jakie były formy łączności pomiędzy Krajem i Rządem w Londynie? — Czy były formy współpracy polsko-niemieckiej w Kraju pod okupacją? — Czym była „Walka Cywilna”? — Skąd czerpała swe informacje radiostacja „Świt”? — Jaka jest prawda o podziemnym wymiarze sprawiedliwości? — Jaka była rola armii ludowej Żymierskiego? — Dlaczego Berling popadł w niełaskę? — Jaki był stosunek polskich władz podziemnych do komunistów? — Jakie były losy tajnej misji Retingera? — Dlaczego Kierownik Walki Cywilnej dowiedział się o wybuchu Powstania przypadkiem? — Jakie były pierwsze kroki Mikolajczyka po powrocie do Polski? — Jak wyglądały stosunki w U.B.?

Na te pytania odpowiada książka Korbońskiego.

Cena egzemplarza wynosi : 1,250 frs (dol. 3,50; sh. 25)

TOM VIII

JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

ZŁOTA HRAMOTA

ZŁOTA HRAMOTA stanowi zwarty zbiór poematów i wierszy, osadzonych na tej samej osi tematycznej. Jest to poetycką próbą rozrachunku polsko-ukraińskiego zarówno w płaszczyźnie historiozoficznej jak moralnej.

Do książki dołączono kilka wierszy tego zbioru w przekładach na ukraiński, dokonanych przez Horodyńskiego, Pottawę i Sławutycza.

Cena egzemplarza : 700 frs (14 sh., 2 dolary)

Zamówienia można nadsyłać do Redakcji „Kultury”
1, av. Corneille, MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.), France
oraz do Przedstawicielstw.

Cena 180 frs.